



JONATHAN CARROLL



KOLACJA DLA WRONY



JONATHAN CARROLL
KOLACJA DLA WRONY

Wybór i tłumaczenie Jacek Wieteki



DOM WYDAWNICZY REBIS

Spis treści

Jonathan Carroll w REBISIE Dedykacja Uratowany przez niewidzialne Anioł pod wodą Roznosiciele bólu Najsamotniejszy dzień w roku Miłość z oddali Ona wychodzi z domu Lśnienie szaleństwa Wojna o mur Beznadzieja Deszczowi opętańcy Układ z Peterem Niewidomy rowerzysta Truskawkowe pola nie na wieki Piksele istnienia Mapa mnie Opera bez muzyki Trzy rozmiary wyrzutów sumienia W ostępach ustępów Lew w mojej głowie Zgryźliwe pochwały Noc latających spodków Zmienacka O miłości i papierowych ręcznikach Zagubiony rekrut Pens za twoją duszę Pachnący zestaw survivalowy Moje haruspicje Pan Nowatorski Na wyścigach z Hemingwayem Zaraz-zaraz, czy ja cię znam? Złodziej poezji Co weźmie, a czego nie Wypisany Moje 243-stronicowe życie Święta uczy nas jeść kurczaki Szczerość morderców Martwe uśmiechy Bandziory jak ty i ja Mapa naszego życia Niesiony przez Paula Newmana Jak odnaleźć godzinę Sztuka złamanego serca Pisarz o świecie Czy naprawdę chcę wiedzieć, kim byłem? Gry, w które nie gramy Jego sierść na spacerze O której północ? Siostry Zrzucić skórę Ewangelia według dzinsów Piękno strachu Smak kiepskiej magii Żeglując ku wyspie obsesji Dwaj starsi panowie popijają Borgesa Przepraszam... Twój bohater to palant Wizyta w aptece Buddyjska walizka Stare miłości, dawne urazy Być jak Gene Kelly Jak ona mogła? Moja opowieść o Petrasie Jedno życzenie Prawdziwe twardzielki Ty za młodu Dystans łagodności Niewidzialne listy Małyśnie Podaj dalej Wyraz twarzy Meblując nową historię Szklane kulki Pałac po ciemku Świetna książka i kiepska pizza Kiedy umarłem Prośba o wyjaśnienie Psy języka Kleopatra z supermarketu Paulie odszedł Realizm niemożliwy Pan Brown Poprawna odpowiedź brzmi „tak i nie” Świąteczna chwila Wybraniec Prawda na twarzy tuż po Na strychu pamięci Niespodziewany całusek Dom w mojej głowie Luddyta i beżowy robot Obcy w twoim łóżku Ona nie pasuje Hamburgerowy przyjaciel w twojej głowie Współzależni Adonis i trzmiel Grawitacja i flirt Magiczne ciasteczka Ostatnia choinka Jacka Żywot ze świątecznej kartki Nie będziesz moją przyjaciółką, ukochana! Jej serce, jej wróg Zagubiony skarb Jedno parfait, proszę Uliczna rafa koralowa Dawne miłości Na przekór falom Jak to robisz Więcej niż ty znaczy lepiej Futrzana miłość Ukraść kapelusz! Pisać to także umieć sobie odpuścić Moje życie w sześciu słowach Szpitalne dni To, co trwa... Książkobójcy i książkociałowacze Nic gorszego Ślepoty Ty w limitowanej edycji Ależ sami dobrze o tym wiecie Kilka minut z Marilyn i Johnem Dobre błędy Moje słowa w twoich ustach Duchy miłości Ci, którzy niosą piękno Moja dwubiegunowa przyszłość Recydywiści Czekać na ciebie Odciążenie Mispa Płaszcz żalości Nie budź złych dni Peter zawsze ma do powiedzenia coś ciekawego Miłość za kółkiem Tokijski randkowicz Uczta, którą jesteśmy Sklepik Ali Baby Talerze i obrus Nasza istota Początek na urodziny Szminka na trupach Brak wakatów Słowa, które pomogły Z drogi! Odpowiedź kartki Znamy to uczucie Człowiek, któremu rano myję zęby

Mroczne życzenie Piętnastolatek, którym byłem Jesteś moim sercem na ulicy
Wewnętrzny konflikt Klucz do ciebie Nienarodziny gwiazdy Dzień dobry, buty!
Coś na bożonarodzeniowe zaparcie Kolacja dla wrony Obrazek Lektury umarłych
Lekcja Anthony'ego Mamo, odejdz! Uduś mnie, proszę Bulgoczący kocioł
Opowieść skóry Twoje zadanie domowe Tatuś Nikego Okamgnienia Przepis na
opowiadanie Maślany popcorn Ostatni śmiech Jedyna słuszna interpretacja Halo,
kto mówi? Gwiazdy na ciężarówce Od czego są przyjaciele? Arcydzieło w
śmietniku Pan Sturm i pani Drang Niedojedzony lunch Pytanie do samego siebie
Rozzłoszczony cień Ty i twoje menu Niebezpieczne mapy Ty jako chmura Kilka
myśli z notatnika Moje Narody Zjednoczone Oddychający świat Smutek brzucha
Przyszłość na dziesięciu tysiącach metrów Dzień i noc Małe anioły Opowiedz mi
Małe cuda Moja chwila z Janine Ludzie jak LEGO Fryzury i tatuaże Diabeł i pies
Zło Dźwiękowe perfumy Jedni przynoszą basen, a inni trampolinę Bagaż twoich
cieni Espresso staruszek Moja kosmitka Papierowa alchemia Kim jesteś? Nasze
ego na smyczy Walc ciężarowców Abiav Magazyn Ty: miasto Duchy na moim
biurku Łazarzowe szkło Pragnę cię tak zgłodniałej... Cięcie Wstęp do Krainy
Chichów Wstęp do Zaślubin patyków Wstęp do Głosu naszego cienia Wstęp do Na
pastwę aniołów Wstęp do Muzeum Psów Wstęp do Poza ciszą Wstęp do Dziecka
na niebie Wstęp do Śpiąc w płomieniu Mapa jej wszechświata Epitafium

Jonathan Carroll w REBISIE

Białe jabłka

Całując UI

Cylinder Heidelberga

Drewniane morze

Durne serce

Dziecko na niebie

Głos naszego cienia

Kąpiąc lwa

Kobieta, która wyszła za chmurę

Kolacja dla wrony

Kości Księżyca

Kraina Chichów

Muzeum Psów

Na pastwę aniołów

Oko dnia

Poza ciszą

Szklana zupa

Śpiąc w płomieniu

Ucząc psa czytać

Upiorna dłoń

Zakochany duch

Zaślubiny patyków

Grażynie i Tomaszowi Szponderom –

za wieloletnią przyjaźń, wsparcie

i zawsze najlepszy żurek

Uratowany przez niewidzialne

Ile razy na dzień, tydzień, miesiąc ratuje nas to, co niewidzialne? Te drobne, nieznaczące obrazy, dźwięki, zapachy, zdarzenia, nad którymi przechodzimy do porządku, a które przytrafiają się nam w tak istotnych momentach życia, że trudno dać wiarę, iż to nie jakiś kosmiczny szachista stawia tę oto figurę na naszej drodze w określonym celu – czasem dobrym, a czasem złym.

Dziś rano sterczę na rogu ulicy, mając w głowie mokry żwir, i czekam, aż się zapali zielone światło. Nie zapala się. Z jakiejś nikczemnej przyczyny stanąłem oko w oko z sygnalizatorem ulicznym, który mnie nienawidzi i nie przepuści na drugą stronę. Mam ochotę przejść, ale zważywszy na prześladowającego mnie dziś pecha, daję głowę, że ledwo bym to zrobił, zaraz by mnie obskoczyło pięciu policjantów z notesami w rękę. Szary żwir nabiera mrocznych odcieni. Stoję i czekam, i czekam...

Spoglądam na ukos przez ulicę i moim oczom ukazuje się następujący widok: przy kawiarnianym stoliku siedzi ubrany od stóp do głów na biało sędziwy mężczyzna i czyta wielką gazetę. Koło niego waruje równie stary golden retriever – nie tyle złoty, co siwy – z pyskiem pogodnym jak oblicze Buddy. W sumie oba te ziemskie anioły mają pewnie z setkę na karku. Zaczynam się uśmiechać, obserwując ich niezmacony spokój i piękno. Ale to jeszcze nie koniec. Pies bardzo wolno unosi łapę i kładzie ją na kolanach mężczyzny. Po dłuższej chwili tamten, nie odrywając wzroku od gazety, odłamuje wielki kawał ciasta leżącego przed nim na stoliku i podaje go swemu *compañero*, który przyjmuje poczęstunek z nieśpieszną godnością. Łapa usuwa się z kolana i obaj starsi panowie wracają do swoich zajęć.

Choć mój wróg-sygnalizator włącza w końcu zielone światło, ja wciąż tkwię w tym samym miejscu, uśmiechnięty i wdzięczny. Raz jeszcze uratowany przez niewidzialne...

Anioł pod wodą

Kiedy miałem dwanaście lat, siostra zatrudniła się w teatrze letnim w naszym mieście. Wystawiali właśnie nową sztukę i chcieli to rozgłosić. zaproponowała, że zapłaci mnie i mojemu kumplowi Joemu po pięć dolarów na łebka, jeśli pójdziemy rano na dworzec kolejowy i rozdamy pasażerom ulotki reklamujące nowy spektakl.

Stacja leżała niedaleko rzeki Hudson. Gdy skończyły nam się ulotki, Joe i ja poszliśmy nad rzekę i – jak to chłopcy – zaczęliśmy puszczać „kaczki” na wodzie. Po jakimś czasie rzeką przemknęła łódź motorowa, wzbijając fale idące w stronę brzegu. Coś kolebało się na wodzie nieopodal miejsca, gdzie staliśmy. Natychmiast zorientowaliśmy się, że jest to nagie ramię w kształcie odwróconej litery „V”. Joe pobiegł zadzwonić na policję, a ja wszedłem do rzeki, aby przyholować to ludzkie V do brzegu. Przez lata ludzie pytali mnie, czy się bałem, ale prawdę mówiąc, byłem wtedy podekscytowany. Dorastałem w miasteczku, w którym nic się nie działo, a tutaj proszę – brodząc w rzece, idę po martwe ciało.

Unosiła się tuż pod powierzchnią – ubrana tylko w biały biustonosz i majtki, które jarzyły się jak fosfor w mętnej, zielonkawej wodzie. Bez wahania chwyciłem to zgięte ramię i pociągnąłem je powoli do brzegu. Dopiero wtedy mogłem jej się tak naprawdę przyjrzeć. Twarz okrywała lepka biała błona, podobna do czepka noworodka, przesłaniająca jej rysy. Starłem ją najdelikatniej, jak umiałem. Śmierć dodała jej spokoju i urody, jakby przez cały czas drzemała pod wodą. Przykucnąłem obok niej i czekałem na pojawienie się policji.

W policyjnym aucie, który zabrało Joego i mnie na przesłuchanie, było włączone radio. Gdy ruszaliśmy znad rzeki, ciało dziewczyny wkładano właśnie do ambulansu. Prowadzący program disc jockey zapowiedział podnieconym tonem, że zaraz puści NOWIUTKĄ PIOSENKĘ BEATLESÓW! Po chwili rozległ się pierwszy ogłuszający akord *A Hard Day's Night*. Od tamtego czasu, mimo upływu lat, ilekroć słyszę ten wspaniały, seksowny kawałek, zaraz nasuwa mi się na myśl scena nad rzeką, gdy przepływająca łódź posyła fale w stronę brzegu i odsłania pierwszy raz czaszkę pod skórą mojego życia.

To doświadczenie, nie licząc paru zmian, stanowi jądro powieści *Całując Ul*. Jeśli kiedykolwiek pisarz powie wam, że jego dzieło nie jest ani trochę autobiograficzne, to prawdopodobnie kłamie. Uwierzcie mi na słowo.

Roznosiciele bólu

„Dzikię zwierzę może zranić twoje ciało, ale zły przyjaciel zrani ci umysł”

– przysłowie zen

Nie mam żadnych wątpliwości, że są ludzie, którzy roznoszą ból. Nie chodzi mi o ludzi pokroju Hitlera ani innych wielkich złoczyńców. Zwykle są to tacy sami ludzie jak ty i ja, próbujący żyć po swojemu. Ale tak się jakoś dziwnie składa, że „roznosiciele bólu” są naznaczeni mrocznym talentem do obracania wszystkiego w zło, że zostawiają po sobie wściekle złamane serca, zniszczone marzenia, pokrzyżowane plany... Świadomie czy nie – ciągle uprzykrzają innym życie, utrudniają najprostsze zadania, wprowadzają zamęt tam, gdzie można by go uniknąć, tworzą zawiązy tam, gdzie sprawy idą gładko. Brużdżą na małą skalę i na wielką skalę. Gdy wkroczą w czyjeś życie, zaraz nanoszą coś w rodzaju psychicznego błota; trudno potem wyczyścić te plamy, czasem jest to wręcz niemożliwe. Bywa, że zachowują się podle albo egoistycznie, ale nie musi to być regułą. Podobnie jak nieszczęśnicy, którzy z jakiegoś tajemniczego powodu zostają wielokrotnie porażeni piorunem, tak roznosiciele bólu sprawiają – zbyt często, aby był to zwykły przypadek – że rzeczy, z którymi mają do czynienia, zaczynają się psuć i iść w złym kierunku.

Dużo o tym myślałem i mogę wymienić trzech znanych mi ludzi, którzy należą do tej kategorii. Nie sposób przy tym rozpoznać ich na oko. Często są przekonujący, namiętni, zabawni, zdolni, pociągający, atrakcyjni, a nawet szczodrzy wobec innych. Ale jeśli nawiązesz z nimi głębszą więź, możesz być niemal pewien, że uderzy cię ich piorun – i że ponad wszelką wątpliwość osmali i oszpeci twoją psychikę/życie /serce/pracę/zaufanie/wartości/przekonania/duszę...

Najsamotniejszy dzień w roku

Gdybym miał bar albo restaurację, byłyby one otwarte i w wieczór wigilijny, i w Boże Narodzenie. Prawie wszystko w Wiedniu jest wtedy pozamykane na cztery spusty. Wielu ludzi przyjeżdża tu specjalnie na święta; smutno się robi na widok turystów i samotników łązących po mieście w poszukiwaniu miejsca, w którym mogliby coś przekąsić albo побыć z innymi ludźmi, podczas gdy reszta wiedeńczyków siedzi w domowych pieleszach i świętuje zgodnie z tradycją.

Kilka lat temu wybrałem się na drinka z przyjacielem, który przyjechał na Wigilię z innego miasta. Początkowo mieliśmy ponure wrażenie, jakbyśmy trafili do jakiegoś horroru; wokół ciemność i zamknięte sklepy, ani żywego ducha, kilka samochodów na krzyż. Czynne były tylko chińskie restauracje, zresztą kompletnie opustoszałe i podejrzanie wyglądające. W końcu po dłuższej wędrówce natknęliśmy się w zaułku na mały, jasno oświetlony bar, który na dodatek był otwarty. Weszliśmy tam. I wydało nam się nagle, że znaleźliśmy się w telewizyjnej reklamie piwa. Gdy tylko otworzyliśmy drzwi, uderzył nas tętniący życiem gwar i wszyscy zwrócili się w naszą stronę z wielkimi uśmiechami na twarzach. Wydaje mi się nawet, że niektórzy niczym starych przyjaciół zachęcali nas gestem do wejścia. Zupełnie jak byśmy byli rozbitkami, którzy podobnie jak oni wyratowali się ze świątecznego sztormu i dopłynawszy do brzegu, znaleźli bezpieczną przystań. Cały bar emanował niesamowitym ciepłem i... wesołością. Nigdy tego nie zapomnę. Ludzie stawiali sobie drinki. Aż się nie chciało stamtąd wychodzić. I nie wychodziliśmy.

Miłość z oddali

Zakochani to zjawisko jedyne w swoim rodzaju. Widuje się ich na ulicach, jak obściskują się i całują, śmieją się i przytulają do siebie, próbując pożreć się nawzajem po kawałku. Uśmiechasz się, ale zarazem czujesz ukłucie w sercu, jak gdybyś jedząc pyszną rybę, natrafił nagle na twardą ość. Natychmiast przestajesz jeść i gmerasz palcami w ustach, żeby się nie zadławić. Tak samo rzecz się ma z zakochanymi: uśmiechasz się wprawdzie na ich widok, ale też budzi się w tobie pewna antypatia. Nie podoba ci się ich absolutna radość, spełnienie, „ważność-tej-właśnie-chwili”. Masz na głowie tysiące spraw, pozbawionych jednak większego znaczenia. Zakochani myślą tylko o jednym i jest to dla nich ważniejsze niż cokolwiek innego. Osoba, którą obejmują, to cały ich świat, bez reszty przesłaniający im widok za przednią szybą. Ty też tego pragniesz: łakniesz tej ich namiętności tak, jak łaknie się powietrza, będąc zanurzonym głęboko pod wodą. Można śmiało założyć, że dawno już nie szalałeś za nikim, za niczym tak gwałtownie. Widok kochanków dowodzi, że takie szczęście, choć rzadko, jest przecież możliwe. Korci cię, by zwolnić kroku i przyglądać się ich szczęściu. A zarazem chcesz jak najszybciej się oddalić, zanim następne wierzgnięcie duszy przypomni ci, jak cudowne bywa niekiedy życie – w tym momencie nie dla ciebie.

Ona wychodzi z domu

Dwie kobiety przy obiedzie – od razu widać, że to matka i córka. Dziewczyna jest niemal piękna, wysoka, ma około siedemnastu lat. Nie może spokojnie usiedzieć na krześle. Wierci się, zamiata włosami, je łapczywie i gada jak katarynka, ciągle rozglądając się dokoła, jakby w obawie, że przegapi coś ciekawego. Matka wygląda oszłamiająco; ma zapewne czterdzieści kilka lat i oczy, o których można by napisać epepeję. Uśmiecha się spokojnie: jest dokładnym przeciwieństwem młodszej kobiety, która siedzi naprzeciw niej. Nie ulega wątpliwości, że córka jest jej dumą i szczęściem – ta sama, która jeszcze parę lat wcześniej doprowadzała ją na skraj załamania nerwowego. Trudna uczennica, dotknięta dysleksją albo ADHD, wiecznie zniecierpliwiona, niczym niezainteresowana. A teraz – proszę tylko spojrzeć na tę ślicznotkę, która usuwa się z mojego życia i zaczyna swoje własne. Już rozwinęła żagle, mogą jedynie patrzeć, jak odpływa w dal. Ale dziś je obiad z mamą, swoją pierwszą, najlepszą przyjaciółką, i mówi jej o ważnych sprawach. Kompletnie nie zdaje sobie sprawy, jaki to dar od losu. Ale jej mama – owszem.

Lśnienie szaleństwa

Przyjaciół zaprosił mnie na przyjęcie odbywające się podczas weekendu w domu pewnej zamożnej damy. Od dawna próbował nas sobie przedstawić, pani ta bowiem uwielbia literaturę, sztukę i tym podobne. Uwielbia je do tego stopnia, że w swojej willi ma prywatną galerię, w której co miesiąc organizuje wernisaż. Przyjęcie wiązało się właśnie z otwarciem nowej wystawy. Pełny szyk i gala.

Poszedłem tam na zasadzie „co mi szkodzi?”. Dom robił wrażenie, a goście byli tacy, jakich należało się spodziewać na podobnej uroczystości. Miałem ochotę wyjść po dziesięciu minutach, ale przyjaciel namówił mnie, żebym się wstrzymał do rozpoczęcia wystawy. Wreszcie pani domu zebrała nas wszystkich i powiodła do znajdującej się piętro niżej galerii. Wygłosiła krótką przemowę o wzruszeniu, jakim przejmują ją ten artysta i ta wystawa, która na pewno nam się spodoba. Weszliśmy powoli do środka i zobaczyliśmy przymocowane do ścian drewniane skrzynki wielkości dwadzieścia pięć na dwadzieścia pięć centymetrów. Z bliska ukazywały się przyklepione z przodu skrzynek gazetowe wycinki z kilkoma przypadkowymi słowami. Teksty w rodzaju: „Parada króliczków z prażonej kukurydzy”. Po chwili docierało do Ciebie, że słowa te umieszczone są na drzwiczkach, które otwierają się na zawiasach. Wewnątrz każdej skrzynki widniały inne przypadkowe słowa wycięte z gazety. „Banalna kurza wykałaczką”. Przeszedłem się po wystawie, sprawdzając, czy wszystkie skrzynki są takie same. Były.

Właśnie patrzyłem na szóstą czy siódmą, kiedy usłyszałem jedwabisty, seksownie schrypnięty głos, mówiący z zachwytem: „Czyż nie są genialne? Pierwszy raz widzę coś takiego”. Zerknąłem i zobaczyłem piękną kobietę, absolutną seksbombę. Spoglądała na mnie badawczo, czekając na odpowiedź. Powoli na mojej twarzy wykwitł dziwny, złowieszczy uśmiech, który – co uświadomiłem sobie dopiero po tym, jak kobieta uciekła – przypominał uśmiech Jacka Nicholsona w scenie *Lśnienia*, kiedy ten rozwała siekierą drzwi, próbując odnaleźć i zabić swoją żonę.

Wojna o mur

W parku naprzeciwko toczy się wojna. Wojna o mur. Jedną ze ścian boiska do koszykówki oddano we władanie miejscowym artystom graffiti. Dłuższy czas zdobiły ją chaotyczne zygzaki i krzywe inicjały – głupawe bazgroły, przez które sztuka graffiti kojarzy się z bezsensownością i lenistwem. Ostatnio jednak coś się zmieniło. Jestem ciekawy, czy to się utrzyma. Któregoś popołudnia zobaczyłem w parku mężczyznę w szarej bluzie z kapturem zawzięcie malującego na murze. Przy jego nogach stały puszki z farbami; mimo że dopiero zaczął, było oczywiste, że zna się na rzeczy. Później poszedłem tam specjalnie po to, aby obejrzeć skończone dzieło. Była to piękna robota – wspaniale namalowana, z wyobraźnią, w stylu Kenny’ego Scharfa. Po dwóch dniach jednak graffiti zniknęło: zakryła je plątanina czarnych, zielonych i wściekle pomarańczowych krech, liter i głupich bzdur. Wyglądało to tak, jakby mur zaatakowała uzbrojona w spray banda dziesięciolatków z ADHD, którzy obzarli się cukrem. Żal było patrzeć na ich wypociny pokrywające dzieło prawdziwego artysty.

Parę dni później wyszczerzyłem się w uśmiechu, zobaczywszy znajomego grafficiarza w szarej bluzie, obstawionego farbami w aerozolu. Tym razem stworzył coś całkiem innego, ale równie dobrego jak poprzednio. Korciło mnie, żeby podejść i mu pogratulować – świetna robota, stary! – ale przegrałem z własną nieśmiałością. Trzymając się z daleka, obserwowałem go przy pracy. Malował prędko i sprawnie – wiedział dokładnie, co robi. Tylko raz przerwał pracę, odszedł na kilka kroków, aby przyjrzeć się swojemu dziełu, i wrócił ponownie. Po jakimś czasie do parku znów wparowali barbarzyńcy i zmasakrowali nowy malunek. Zastanawiałem się, jak na to zareaguje. Włożył w tę robotę wiele godzin, tworząc coś własnego i niepowtarzalnego. Podarunek dla świata zniszczony przez horde dzikusów.

Dzisiaj wczesnie rano, kiedy prowadziłem psa po parku, serce urosło mi w piersi: wrócił i raz jeszcze zostawił na murze próbkę swojego artyzmu. Przypomniały mi się słowa piosenki Bruce’a Cockburna: „Musisz kopać ciemność, póki nie zaczniesz broczyć światłem dnia”.

Beznadzieja

Wchodząc nocą do izolatki, myślałam, że będzie pusta albo że przynajmniej pacjent będzie spał. Było jednak inaczej. Na łóżku leżał mężczyzna około trzydziestki. Światła były zgaszone, więc nie od razu dostrzegłam kształt ciała spoczywającego w ciemności. Zrobiłam może dziesięć kroków w jego stronę, kiedy się odezwał:

– O co chodzi? Co pani tu robi? – W jego głosie nie było ani zdziwienia, ani zdenerwowania. Mówił całkiem spokojnie, jak gdyby to, że ktoś wchodzi do jego izolatki o drugiej nad ranem, było czymś najnormalniejszym w świecie. Kiedy parę dni temu leżałam tu jako pacjentka, mniej więcej o tej porze zjawiała się pielęgniarka, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, i zostawić na stoliku tabletki, które miałam zażyć po przebudzeniu.

– Jestem pielęgniarką na nocnym dyżurze – odparłam cicho. – Sprawdzam, czy wszystko u pana w porządku.

– Nieprawda, pielęgniarka była pół godziny temu. Czego pani chce? – Wciąż nie podnosił głosu, jakbyśmy prowadzili zwykłą pogawędkę. W jego tonie nie było ani jednej nuty strachu. Dlatego postanowiłam być z nim szczerą.

– Byłam tu przedwczoraj. Zajmowałam ten pokój przed panem.

– Jako pacjentka?

– Tak.

– No więc, po co pani wróciła? I to jeszcze w środku nocy. – Prychnął rozbawiony.

– Wydaje mi się, że zostawiłam tutaj coś, co muszę odzyskać. Szukałam tego wszędzie, ale nie udało mi się odnaleźć zguby.

– Czemu nie przyszła pani w dzień?

– Bo to nie jest coś takiego jak walizka albo parasolka. Nie mogłam tak po prostu zadzwonić do szpitala i zapytać, czy znaleźli to w mojej izolatce.

– Co to jest?

– Nadzieja. Straciłam ją. Od kiedy stąd wyszłam, zniknęła bez śladu. MUSI być gdzieś tutaj, przejrzałem wszystkie kąty...

Mężczyzna, o dziwo, milczał. Cisza rozděła się i wypełniła sobą mroczny pokój jak ogromny czarny balon.

W końcu jednak się odezwał.

– Jest, a raczej BYŁA tu. Należy do mnie. Zjadłem ją na kolację pierwszego dnia.

Wyznanie to było tak zaskakujące, że przez chwilę nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Oddech uwiązł mi w płucach.

– Zjadł pan moją nadzieję? DLACZEGO?! Była moja, jest mi potrzebna.

– Trudno: mnie potrzebna jest bardziej. Leżała tu, kiedy przywieziono mnie do izolatki. Pomyślałem sobie, że ktoś, kto ją zostawił, już jej nie potrzebuje, więc ją zjadłem. Kiedy przyjmowano mnie do szpitala, prawie nie miałem nadziei. A teraz mam – może nie tyle, ile bym sobie życzył, ale zawsze coś.

– A ja? Co JA mam zrobić?

– Nie wiem. Wszystko mi jedno. Może jak zjawisz się tu następnym razem, znajdziesz nadzieję pozostawioną przez kogoś innego. Możesz ją sobie zjeść.

Deszczowi opętańcy

Trudno o większy cud niż letnia ulewa, ale mnie zdarzyło się go ujrzeć. Burza przyszła nagle, choć od jakichś piętnastu minut było wiadomo, że galopujące po niebie bure chmury odezwą się pełnym głosem. Gdy się rozpętała, pisałem przy swoim biurku. Uniosłem wzrok, kiedy otwarte okiennice zaczęły trzepotać na wietrze. Potem rozległy się wrzaski. Zanim wstałem, przysłuchiwałem im się przez chwilę, wydawało mi się bowiem, że chociaż brzmia piskliwie, nie ma w nich strachu ani stresu. Po prostu radosne okrzyki. Kiedy zamykałem okna, burza hulała już na całego – deszcz zaczynał ukośnie, wiatr dął wściekle, a krople deszczu były wielkości piłek golfowych.

Obchodząc mieszkanie, dostrzegłem w końcu źródło całego tego rwetesu: na chodniku stała klasa ośmio- albo dziewięciolatków czekających na zielone światło. Nauczycielka i uczniowie byli przemoczeni do suchej nitki. Szkoła leży niedaleko, zapewne wracali akurat z wycieczki, kiedy burza ich zaskoczyła.

Najwspanialsze było to, że wszystkie dzieciaki – bez wyjątku – tańczyły jak szalone, odstawiając jakieś wariackie boogie-woogie. A jeśli nie tańczyły, to skakały, skakały, skakały jak w ekstazie, moknąc na deszczu. Mokły jak jasna cholera, stojąc na przejściu dla pieszych: cieszyły się tą chwilą i okazywały to tak, jak potrafią tylko dzieciaki – tańcząc opętańczo i wydzierając się ile sił w płucach. Nie byłem nawet w stanie dostrzec nauczycielki, ponieważ deszcz lał się strumieniami. Dawno nie widziałem tak gremialnego wybuchu radości.

Układ z Peterem

Jej pies jest uroczy, ale strasznie neurotyczny. Do tego stopnia, że demoluje mieszkanie, ilekroć zostawi go samego na dłużej niż pół godziny. Ona jest pracownicą socjalną, zwierzęta nie mają wstępu do jej biura. Nie mogła znaleźć na to rady, dopóki nie poznała Petera – bezdomnego mężczyzny w średnim wieku, który pół roku spędza w Austrii, a pół w Szwajcarii. Będąc w Wiedniu, mieszka w namiocie nad rzeką na Wyspie Dunajskiej. Jej zdaniem Peter to porządny facet: nie bierze narkotyków, nie pije, dba o siebie i ładnie się wyraża. Jest po prostu wolnym duchem, który zamiast pracować od dziewiątej do siedemnastej, woli żyć swobodnie, choć bez wygod. Poznali się przed kilku laty i zaprzyjaźnili. Gdy pojawił się problem z psem, Peter zaproponował jej rozwiązanie: weźmie psa na całodzienną włóczęgę, a wieczorem odstawi go do domu. Lubi zwierzaka i będzie się cieszył, że ma towarzysza. Zapytała, ile będzie mu winna. Nic, odparł, są przyjaciółmi i chętnie wyświadczy jej tę przysługę. Jako osoba o dobrym sercu nie mogła na to przystać, więc zawarli porozumienie: trzy razy w tygodniu gotuje mu kolację. Jej wiecznie zapracowany narzeczony także bardzo lubi Petera, toteż stara się zdążyć na czas, aby mogli zjeść we troje. Gość raczy ich opowieściami o życiu na ulicy. Ona mówi, że zawsze kiedy Peter siedzi przy stole, pies siada obok niego i kładzie mu łeb na kolanie.

Niewidomy rowerzysta

Kupiłem dziś w centrum twoją nową książkę i przyszło mi na myśl idealne miejsce na jej lekturę. Dzielnicę Muzeów dzieli od mojego mieszkania zaledwie kilka minut drogi; otwiera się tam ogromna przestrzeń, coś w rodzaju miejskiego placu, pomiędzy dwoma nowymi muzeami. To ulubione miejsce spotkań wiedeńców, jeśli pogoda dopisuje. Jest tu kilkanaście kafejek, restauracji i wielki basen, w którym podczas upałów brodzą zgodnie dzieci i psy. Wokół stoją liczne ławki, więc nawet kiedy jest tłoczno, można gdzieś usiąść. Poszedłem tam, wyjąłem z torby twoją książkę i przeczytałem pierwszą stronę. Uśmiechałem się. Odłożyłem książkę na kolana i podniosłem wzrok, aby podumać chwilę i poczuć słońce na twarzy. I wtedy zobaczyłem coś, co sprawiło, że – powiem wprost – zapomniałem o książce, o placu i całej reszcie.

Na rowerku z doczepionymi kółkami jechał chłopiec. Przed nim szła matka, trzymając w rękach coś, co wyglądało jak psia smycz uwiązana do kierownicy. Spojrzałem na twarz dziecka i zrozumiałem, że jest niewidome. Oczy tak bardzo zapadły się w czaszkę, że odniosłem wrażenie, jakby zamiast nich miało dwie ciemne dziury. Chłopiec uśmiechał się i mówił z ożywieniem do matki. Roześmiała się, po czym odeszła na kilkanaście kroków; popedałował w jej stronę, kierując się, jak sądzę, dźwiękiem jej głosu.

Zdałem sobie sprawę, że przyszli tutaj ze względów bezpieczeństwa, chłopiec mógł jeździć, gdzie tylko chciał. Dlatego matka wybrała ten olbrzymi plac. Co prawda założyła smycz na kierownicę, ale chciała, żeby to on był kapitanem własnego statku, i nie mogła wybrać lepiej. Zacząłem sobie wyobrażać, jak to jest jechać na rowerze, będąc ociemniałym, a potem zastanawiałem się nad innymi życiowymi konsekwencjami ślepoty. Niemniej jednak, obserwując tych dwoje, myślami ciągle wracałem do matki: jak wielką wrażliwością się wykazała, dając synowi całą tę przestrzeń i wolność, których potrzebował, żeby być dzieckiem.

Truskawkowe pola nie na wieki

Nawet jeśli miłość kończy się fiaskiem, istnieją takie promienne chwile i doświadczenia z nią związane, które trwale zapisują się w naszej osobistej historii. Truskawki. Ilekroć dojrzewały na wiosnę, przypominał jej się dzień, w którym przywiózł jej truskawki. Umówili się o drugiej. Mieli jechać na wieś. Od rana biegła po mieście, załatwiając różne drobiazgi. Była cała rozgorączkowana, gdy jego samochód zatrzymał się przed nią przy krawężniku. Mechanicznie otworzyła drzwi. Chciała wreszcie usiąść gdzieś spokojnie i odsapnąć; pojechać na wieś, z dala od tego nerwowego zgiełku.

Upłynęło kilka długich sekund, zanim dotarło do niej, że na fotelu pasażera coś leży. Eksplodując plamą czerwieni i brązu, spoczywała tam drewniana kobiałka wypełniona dwoma kilogramami truskawek – najdorodniejszych i najdojrzalszych, jakie kiedykolwiek widziała. Były tak wielkie, zmysłowe i czerwone na tle beżowego koszyka, że gapiała się na nie zahipnotyzowanym wzrokiem. W końcu oprzytomniała i popatrzyła na niego. Szczerzył się w uśmiechu, podekscytowany tym, że jego niespodzianka zrobiła na niej tak kolosalne wrażenie. „Zobaczyłem je na przydrożnym straganie. Nie mogłem się oprzeć pokusie. Zjemy je po drodze”. I tak właśnie zrobili.

Później pogorszyło się między nimi, i to bardzo. Ale jakby rzucono na nią jakąś klątwę – począwszy od tego dnia, widząc truskawki, natychmiast myślała o nim.

Piksele istnienia

W miarę jak przybywa nam lat, coraz rzadziej używamy słów „kocham” i „nienawidzę”. Kiedy byłem młodszy, szafowałem nimi beztrąsko. Dwadzieścia razy dziennie coś albo ktoś był „ukochany” albo „znienawidzony”, bez względu na to, czy chodziło o ludzi, pomysły, miejsca czy o jedzenie. Oczywiście tak naprawdę ani tej osoby lub rzeczy nie kochałem, ani ich nie nienawidziłem. Przez moment wywoływała ona gwałtowny przyływ emocji, i tyle.

Obecnie rzadko posługuję się tymi słowami. Są zbyt ogólne i dosadne. Teraz, kiedy kogoś lub czegoś szczerze nienawidzę, chciałbym wymazać każdy piksel jego istnienia ze swojej pamięci.

Mapa mnie

Kiedy jechałem niedawno autobusem przez Wiedeń, zaświtała mi pewna myśl, która nigdy przedtem nie przyszła mi do głowy: w trakcie jazdy widziałem miejsca i obiekty wciąż żyjące w mojej wyobraźni ze względu na to, co się w nich stało. Podupadła czeska gospoda, w której przy trzeszczącym mrozie jadałem kolacje i gdzie pewnego wieczoru, zanim podano do stołu, skończyłem pisać swoją powieść *Drewniane morze*. Kawiarnia na Naschmarkt, w której pewnego cudownego lipcowego popołudnia siedzieliśmy – A. ubrana w swoją czerwoną koszulę – i rozmawialiśmy o wszystkim, co ważne, i o niczym szczególnym, nieziemsko szczęśliwi, że znowu jesteśmy razem...

Tym podobne wspomnienia. Uświadomiłem sobie, że każdy z nas ma własną – prywatną i osobistą – mapę miejsc, które w nim żyją. Milion mieszkańców miasta nosi w sobie milion oryginalnych map.

Czy to w metropolii, czy w miasteczku, są na tej mapie punkty, krzyżyki oznaczające miejsca ważne, święte, a czasem i tragiczne – ale wyłącznie dla ciebie, ewentualnie też dla tych, którzy dzielili z tobą daną chwilę czy doświadczenie. Mimo że każdy ma własną mapę, rzadko kiedy pokrywają się one ze sobą. Bo to, co liczy się dla mnie, co zapamiętałem jako szczególnie istotne w tym miejscu, dla ciebie zwykle znaczy niewiele, i na odwrót. Musisz spędzić z drugą osobą szmat czasu, aby wasze mapy upodobniły się do siebie. Wciąż zostaną tam miejsca prywatne, których znaczenia nie poznają nawet najbliżsi: parkowa ławka, na której się całowaliśmy, bar, w którym płakaliśmy, restauracja z wielkimi oknami, w której podawano genialne bajgle, wyjściowe drzwi na lotnisku, w które wpatrywałeś się z natężeniem, czekając, aż wyłoni się z nich ona lub on... Pozostali mieszkańcy planety mijają te miejsca, nie zauważając ich istnienia. Ilekroć jednak TY je mijasz, błyska w tobie myśl – o tam, tamto miejsce jest na mojej mapie.

Opera bez muzyki

Niech żyją starcy i staruszki – ci szaleńcy albo półszaleńcy, którzy idąc ulicą, z furią wygrażają całemu światu. Ludzie huragany, z tornadami na językach, których widok sprawia, że stajesz jak wryty: do kogo oni mówią? Do mnie? Kiedy się połapiesz, że nie mówią do nikogo konkretnego, stoisz i patrzysz, jak wściekłość miota nimi na wszystkie strony. Wyglądają zarazem strasznie i smutno-śmiesznie. Dramatyzm o najwyższej skali. Opera bez muzyki. Lepiej obejść ich szerokim łukiem.

Kiedy ostatnio tak wyłeś? Najłatwiej byłoby zbyć ich zachowanie stwierdzeniem: „Biedacy, pod koniec życia pomieszało im się w głowach”. Ale to przecież namiętność, taka czy inna, pobudza krew do krążenia, zwłaszcza kiedy człowiek ma osiemdziesiąt trzy lata i zero szans na odmianę, na przygodę albo pocałunek. Właśnie to miał na myśli Dylan Thomas, zachęcając w swoim słynnym wierszu do „buntowania się, gdy światło się mroczy”. Skoro nie jest nam dane kochać, niech przynajmniej nasza furia przypomina światu, że jeszcze żyjemy – walcząc, wywijając pięściami, widzialni i ordynarni, odpychając od siebie koc milczenia, który chce nam okryć głowę.

Trzy rozmiary wyrzutów sumienia

Całe życie uczymy się racjonalizować niedoskonałe zachowania, ale coś wam powiem w tej kwestii: Wszystko sprowadza się do trzech rozmiarów wyrzutów sumienia. Jeśli są małe, wsuwamy je do kieszeni i nie myślimy o nich przez resztę dnia. Zaniedbałeś ćwiczeń fizycznych? Nie napisałeś tego listu do matki? Nie zadzwoniłeś? Miałeś ugotować wyśmienitą zupę dla całej rodziny? Chrzań to: za tobą ciężki dzień; nie oszczędzałeś się. Średni rozmiar winy nie zmieści się w kieszeni, toteż trzeba go nosić w ręku jak żelazną sztangę albo – w najgorszym razie – jak szamoczące się zwierzę. Bez przerwy przypomina o sobie, jednak udaje nam się jakoś uwolnić od niego albo przynajmniej uśmierzyć dyskomfort. Wdałeś się w pozamałżeński romans i nie jesteś już dla niej tak miły, jak niegdyś, bo poświęcasz energię nowej miłości? Kup starej miłości jakiś nieprzyzwoicie drogi, wyrafinowany prezent, a przy każdej sposobności okazuj jej troskę i namiętność, od których zapłoniesz w mroku. Wyrzuty sumienia w rozmiarze „L” albo rozetrą cię na miazgę, albo przygwożdżą do ziemi, tak że nie będziesz się mógł ruszyć. To jest ciężar, którego nie można z siebie zrzucić i spod którego nie da się wyslizgnąć.

W ostępach ustępów

Ilekcroć jestem w Polsce, zawsze się kompromituję, kiedy mam skorzystać z publicznej toalety. Za żadne skarby nie mogę zapamiętać, że na drzwiach męskich ustępów widnieje trójkąt, a na damskich – kółko. Polska to jedyny kraj, w którym spotkałem się z takimi symbolami, i przy każdej nowej wizycie po prostu zapominam, co one znaczą. Za każdym razem, do cholery, wślizguję się (zwykle szybko) przez drzwi oznaczone kółkiem i wprawiam w zaskoczenie jakąś sympatyczną kobietę, która akurat znajduje się w środku.

Jestem pewien, że gdy po raz piętnasty z rzędu pytam, jakim symbolem, do diabła, oznaczona jest męska toaleta, i kiedy mimo to wciąż się myślę, moi polscy gospodarze uważają mnie albo za skończonego półgłówka, albo za bardzo sprawnego „przypadkowego” podglądacza.

Lew w mojej głowie

Zawsze intrygowało mnie to, jak rodzi się nowa powieść. U mnie to zazwyczaj tytuł wypływa najpierw na powierzchnię. Na przykład *Muzeum Psów* jest wariacją na temat tytułu niemieckiej fotografii z przełomu wieków, przedstawiającej cyrk w środku Düsseldorfu, którą zobaczyłem w starym czasopiśmie fotograficznym. *Na pastwę aniołów* wzięło się z błędnie zasłyszanego fragmentu piosenki Johna Hiatta. *Białe jabłka* zostały wydłubane z wiersza rosyjskiego poety Siergieja Jesienina. I tak dalej.

Przed kilku laty, podczas letniego spaceru z psem, natknąłem się w parku na dziecięcy rysunek. Na ziemi widniał wielki koń z małym domkiem usadowionym na zadzie. I tyle. Nie mając nic innego do roboty, zacząłem się bawić tą zbitką słów. Dom na koniu. Koński dom. Wreszcie wykombinowałem wariację, o której wiedziałem, że wejdzie do mojej nowej powieści. Nie miałem – i nadal nie mam – pojęcia, co ona znaczy, ale byłem pewien, że wykorzystam ten tytuł w książce. Jakiś czas potem zanotowałem uwagę, o której od razu wiedziałem, że jest pierwszą linijką tejże fabuły. „Większość mężczyzn uważa się za dobrych kierowców. Większość kobiet uważa się za dobre w łóżku. I oni, i one się mylą”. Napłynęły nowe obrazy i pomysły: samotny mężczyzna jadący zimą na sankach, metafora ludzi jako koni trojańskich – i tak, powoli, mozolnie, różnorakie elementy zaczęły się scalać i nabierać określonego kształtu. Nie miałem pojęcia, jaki ten kształt będzie, ale nawet w czasie posuchy po napisaniu *Zakochanego ducha* czułem, że poszczególne drobiny lgną do siebie niczym opiłki żelaza przyciągane przez magnes (jak w filmie popularnonaukowym dla uczniów). Wreszcie wszystkie złączyły się w postaci powieści *Kapiąc lwa*.

Zgryźliwe pochwały

Wiele miesięcy po tym, jak z sobą zerwali, naszła go mrożąca krew w żyłach myśl: że opowiadając o ich romansie innym mężczyznom, posługiwała się tym samym spokojnym, rzeczowym tonem, jakim przedtem tłumaczyła *jemu*, dlaczego jej poprzednie związki musiały się rozpaść. Nie raz, nie dwa wysłuchiwał jej analiz – subtelnych, dowcipnych, pełnych dystansu do samej siebie – dlaczego ten czy ów okazał się nieodpowiedni. Czasem mówił o którymś z jej dawnych narzeczonych: „Wygląda na to, że to był porządny facet. Co się stało?”. Nabierała powietrza w płuca i uśmiechając się lekko, wypuszczała je wolno, dramatycznie. Sam wydech starczał za cały komentarz. Po chwili spoglądała mu w oczy i odpowiadała z nostalgiczną zadumą: „Owszem, to BYŁ porządny facet, bardzo porządny, ale nasze serca się nie rozumiały”. Jak uzasadni rozpad ich związku, opowiadając o nim swemu następnemu chłopakowi? Czy powoła się na brak prawdziwej bliskości fizycznej? Czy powie, że ich poglądy na świat i życie nie pasowały do siebie? On także był porządnym facetem, ale w końcu odeszła od niego, tak jak odeszła od pozostałych. Jakie zgryźliwe pochwały wypowie pod *jego* adresem, przeprowadzając retrospekcyjną analizę ich wygasłej miłości?

Noc latających spodków

Wyznała, że się w nim zakochała w noc latających spodków. Byli na jednej z pierwszych randek. Nie ulegało wątpliwości, że on jest nią bardziej zainteresowany niż ona nim. Nie żeby był jej obojętny, ale nie przyprawiał jej o ciarki na plecach. Wstąpili do jadalni na Manhattanie i usiadłszy przy kontuarze, zamówili po filiżance kawy. Tamte czasy należały do kawy i papierosów – o każdej porze dnia i nocy. Zapalili i zaczęli rozmawiać. Obsługiwał ich niski, szczupły kelner – mizerny chudzielec. Postawił przed nimi kawę i powędrował na drugi koniec lady, gdzie zagaił rozmowę z jakimś grubasem.

Parę minut później grubas i chudzielec zaczęli się kłócić. Drobną początkowo sprzeczka zamieniła się po chwili w głośną pyskówkę, przyciągając uwagę zebranych w jadalni klientów – wszystkich oprócz jej narzeczonego, który cały czas mówił do niej jakby nigdy nic. Nie raczył nawet zerknąć na wydzierających się na siebie mężczyzn. Raptem rozległ się huk. Grubas zerwał się na równe nogi i roztrzaskał spodek o kontuar. Kawałki ceramiki rozprysnęły się na wszystkie strony. „Zapłacisz za to!” – krzyknął chudy kelner. W odpowiedzi wielkolud chwycił następny spodek i cisnął nim o ścianę. Rozwścieczony kelner złapał go za koszulę, wołając, aby ktoś wezwał policję. Walczący przepychali się wzdłuż kontuaru, aż dotoczyli się do siedzących na drugim końcu kobiety i mężczyzny. Klienci, którzy nadal trwali na swoich miejscach, teraz czmychnęli w najdalszy kąt sali, by uniknąć awantury. Wszyscy z wyjątkiem jej chłopaka, ten bowiem, nie ruszając się z krzesła, sączył dalej kawę i śledził bijatykę z umiarkowanym zainteresowaniem. Krzyknęła, żeby się odsunął – zwariował czy co? Spojrzał na nią z uśmiechem i wzruszył ramionami, dając jej do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Na szczęście wkrótce zjawiała się policja i rozdzieliła walczących. Chudzielec i grubas uspokoili się i zmieszani usiłowali wytłumaczyć policjantom, co się stało.

Szarmanckim gestem zaprosił ją, by zajęła opuszczone krzesło obok niego. Jak gdyby mówił: „Niebezpieczeństwo minęło, możesz wracać”.

WTEDY.

Dokładnie wtedy się w nim zakochała – po uszy.

Znienacka

Znienacka napisał do mnie ktoś, od kogo nie miałem wiadomości od dwudziestu lat. W długim liście rozwodził się szczegółowo, co mu się od tamtej pory zdarzyło. Potem zatrzymał się przy naszym ostatnim spotkaniu. Świetnie je pamiętał, choć mnie całkiem wywietrzało ono z pamięci. Najkrócej rzecz ujmując, przechodziliśmy przez ruchliwą ulicę, gdy nagle wyprzedził nas pies i wpadł pod koła pędzącego samochodu. Uderzenie było tak silne, że sporych rozmiarów zwierzak poleciał jak wirujący bąk. Zaledwie przeczytałem tę historię, w głowie zapaliła mi się lampka: „No jasne, przypominam sobie!”.

Pobudziło mnie to do refleksji na tym, jak wiele innych rzeczy z mojego życia zapomniałem – utraciłem, do których inni zachowali dostęp. Tak wiele przydarza się nam po drodze, że po prostu zapominamy. Ktoś inny jednak pamięta, tak jak my pamiętamy to, co przeżyli oni – i o czym zapomnieli. Czy to nie dziwne, że wydarzenia z NASZEGO życia należą teraz do tych ludzi? Jeśli z nimi nie porozmawiamy lub się nie spotkamy, to utracimy je raz na zawsze. Nawet pod naszą nieobecność zdarzenia te żyją w umysłach ludzi, o których zdążyliśmy zapomnieć albo których przestaliśmy widywać. Nasze życie zapisane na ich twardych dyskach...

O miłości i papierowych ręcznikach

Siadając, szczerzył się w uśmiechu, jakby zdarzył się nie wiadomo jaki cud. I chyba się zdarzył. „Rozwiązałem właśnie zagadkę mojego małżeństwa”, obwieścił. „Papierowe ręczniki”. Obrzuciłem go wzrokiem, jakim patrzy się na kogoś, kto bredzi w malignie. „Papierowe ręczniki są kluczem do zagadki twojego małżeństwa?” – upewniłem się. „Tak. Ann (jego żona) ma do nich słabość. Używa ich do czego się tylko da, nie tyka ścierek ani innych kuchennych szmatek. Przez całe lata jej powtarzałem: «Nie chciałabyś uratować kilku drzew, używając mniej papieru?». Tak w ogóle Ann segreguje śmieci i dba o środowisko, ale papierowe ręczniki to wyjątek. Ma na ich punkcie fioła”. Milczałem, czekając, aż pociągnie wątek. Nie bardzo wiedziałem, do czego zmierza. „Od lat kłócimy się o to idiotyczne głupstwo. Obywa się bez awantur, ale ręczniki wciąż są na tapecie. Tłumaczę jej, że nie chodzi mi o same ręczniki, tylko o marnotrawstwo papieru. Ona słucha mnie uważnie, a potem robi dokładnie to co zawsze. Ja wiem, że to jest w sumie błahostka, ale ona wie, że mnie to irytuje... No więc tydzień temu przed kolacją umyła ręce nad zlewozmywakiem i oderwała ręcznik z rulonu na blacie. Obok leżały świeżo wyprane przeze mnie ręczniki do rąk, które specjalnie tam położyłem. Jak zwykle nie zwróciła na nie uwagi – i sięgnęła po papierowe. Już miałem palnąć osiemdziesiąte z rzędu kazanie, gdy nagle doznałem epifanii. A niech ma te swoje ręczniki – pomyślałem. Nie zachowuj się jak idiota i pozwól jej używać tych #\$%& ręczników aż do ostatniego dnia jej ziemskiego żywota. Sekundę później oznajmiłem jej to na głos. Jej twarz rozdziawiła się w uśmiechu wielkim jak słońce. W gigantycznym uśmiechu. Przeszła przez kuchnię i objęła mnie. To było tydzień temu. Dzisiaj wyznała mi: «Nie masz pojęcia, ile to głupstwo dla mnie znaczy. Ciągle o tym myślę. Powiedziałeś sobie – ona już taka jest, dziwna albo ekscentryczna: trudno, daj spokój. Nie będę się jej więcej czepiał. Niech sobie będzie taka, jaka jest. I za to cię Kocham»”.

Sięgnął po torbę, którą postawił na stole, i pokazał mi jej zawartość: papierowe ręczniki.

Zagubiony rekrut

Czasami wspomnienia przypominają ogromne morskie stwory, które – nie wiedzieć czemu – wylaniają się z głębi oceanu i lądują wyrzucone na plażę. Niektóre są bardzo rzadkie, pochodzą z niezgłębionych odmętów. Żeby ustalić, czym są, do licha, trzeba zatrudnić pięciu ekspertów. Inne stworzenia można rozpoznać od razu, mimo to nie przestają zdumiewać swoją wielkością i kształtem, a przede wszystkim tym, jak rzadko się pojawiają. Od czasu do czasu przypominasz sobie nagle o czymś, co zdarzyło się – powiedzmy – we wczesnym dzieciństwie i co jest równie ogromne i doniosłe. Jak mogłem o tym zapomnieć? – dziwisz się.

Kiedy byłem mały, pewnego dnia pojechaliśmy całą rodziną do Nowego Jorku, żeby obejrzeć sztukę (albo coś podobnego). Gdy było po wszystkim, ruszyliśmy Times Square i Czterdziestą Drugą ulicą. W pewnym momencie oddzieliłem się od reszty. Miałem najwyżej cztery albo pięć lat i zagubiłem się w części Manhattanu, która wtedy cieszyła się złą sławą. Wiedziałem jedynie tyle, że aby przeżyć, powinienem zaufać ludziom w mundurach. Toteż mimo przerażenia i łez zacząłem rozglądać się za człowiekiem w mundurze, jakimkolwiek mundurze, żeby mi pomógł.

W tamtym czasie pośrodku Times Square znajdowało się wojskowe centrum rekrutacji. Czterech mężczyzn, ubranych w kolorowe mundury czterech rodzajów wojsk, siedziało prosto za czterema biurkami i czekało na potencjalnych rekrutów. Niewielki budynek był niemal cały przeszklony. Zobaczyłem mundury i niczego więcej nie było mi trzeba.

Przeszedłem z tłumem na drugą stronę ulicy i otworzyłem drzwi. W dalszym ciągu, po pół wieku, pamiętam wyraźnie, że jeden z wojskowych popatrzył na mnie stojącego w drzwiach. „Będziesz musiał wrócić za kilka lat, mały”, zagadnął. Mężczyźni śmiali się z jego dowcipu. Ale potem powiedziałem im, co mi się przytrafiło. Jak przystało na superbohaterów, za jakich ich uważałem, w jakiś magiczny sposób odnaleźli i sprowadzili moich roztrzęsionych rodziców. Wydaje się, że już po chwili matka wpadła do środka i porwała mnie w ramiona. Jakże mogłem o tym zapomnieć?

Najprawdopodobniej wszyscy ci mężczyźni, podobnie jak moi rodzice, już nie żyją. A ja jestem dziś starszy niż którykolwiek z nich tamtego dnia.

Pens za twoją duszę

Ktoś napisał do mnie z informacją, że zapłacił za moją książkę jednego pensa. Uśmiechnąłem się. Do diaska, co można dziś kupić za pensa? Nawet jeśli książka nie przypadnie ci do gustu, taka cena to jedna z lepszych okazji, jakie mogą się trafić. Przypomniałem sobie, jak bardzo lubię bobrować w antykwariatach, na pchlich targach i wyprzedażach, szukając nieodkrytych skarbów (albo czegoś nieznanego). Pierwszy tomik wierszy Charlesa Bukowskiego, który przeczytałem, wyceniono w antykwariacie na dziesięć centów. Zdjąłem go z półki (kim jest ten facet?), zerknąłem do środka i zamarłem w bezruchu. Oczy wyskakiwały mi z orbit, kiedy czytałem kolejne, szorstkie i zabawne, wiersze, których jako dwudziestolatek nigdy wcześniej nie widziałem, ba, nie zaświtało mi w głowie, że coś takiego może istnieć. Dziesięć centów. Podobno w niektórych amerykańskich miastach paczka papierosów kosztuje teraz osiem dolarów. Jedna fajka = czterdzieści centów. Cztery razy tyle, ile mój pierwszy bukiet Bukowskiego. *Piąta osoba dramatu* Robertsona Davisa, którą znalazłem w pudełku z książkami na podwórkowej wyprzedaży w New Jersey, kosztowała dwadzieścia pięć centów. Gdyby ktoś mnie zapytał o pięć powieści, które najsilniej wpłynęły na mnie jako pisarza – *Piąta osoba dramatu* znalazłaby się na krótkiej liście.

Dwadzieścia pięć centów. Każdy chce być dobrze wynagradzany za pracę, którą wykonuje. Ale też fajnie jest wiedzieć, że twoje dzieła bywają dostępne dla szperaczy za jednego pensa.

Pachnący zestaw survivalowy

Straszny korek. Samochody zastawiają całą ulicę. Mijam miejski autobus, w którym ludzie stoją lub siedzą ściśnięci jak sardynki. Wszyscy mają smutne, sfrustrowane albo rozeźlone twarze. Co jest grane, do cholery? Czemu stoimy? Spóźnię się na spotkanie... Przechodząc obok kabiny, spostrzegam kierowcę: z zamkniętymi oczami wacha wielki krzew bzu i uśmiecha się pełną gębą.

Moje haruspicje

Na moje konto na Twitterze (jscarroll) przychodzi dużo odpowiedzi od ludzi, którym podobają się lub nie podobają zamieszczane tam komentarze i linki. Większość uwag jest miła i roztropna, ale spośród moich korespondentów wyróżnia się jeden gość, który mnie zainteresował. Nie wiem, czemu, prawie codziennie przysyła mi filmiki z YouTube'a niemające absolutnie nic wspólnego ze mną, z moją twórczością ani z moimi postami. Na moje konto przychodzą urywki starych rosyjskich filmów z lat 50., występ jednorękiego węgierskiego skrzypka, marnej jakości dokument o włoskim studiu filmowym Cinecittà i tym podobne kawałki. Z początku wziąłem faceta za wariata i usuwałem jego posty, wzdychając za każdym razem „o nie, ten znowu swoje”. Ale potem zaczął przysyłać takie dziwactwa – na przykład szwedzką (i koszmarnie nudną) reklamę gumy do żucia z lat 70. – że postanowiłem się im przyjrzeć, by spróbować zrozumieć, dlaczego jego zdaniem jest to coś, co chciałbym albo powinienem zobaczyć.

Najwyżsi kapłani w starożytnym Egipcie stosowali tak zwaną haruspicję, czyli wróżenie z wnętrzości zwierząt ofiarnych. Coś w rodzaju dzisiejszego wróżenia z fusów, tyle że ówcześni kapłani wierzyli, że wszystko jest przeniknięte kosmicznym porządkiem i jeśli okażemy się dość mądrzy, aby go rozszyfrować, bez trudu dojrzymy to, co ma nas w życiu dopiero spotkać. Nie jestem wprawdzie kapłanem, ale dzisiaj, gdy mój specjalny „fan” podesłał następny dziwny link, nasunęła mi się na myśl haruspicja. Pomyślałem, że jeśli zdołam rozgryźć, dlaczego go dostałem, to może się okazać – kto wie? – że poznam odpowiedź na pytanie o sens tego wszystkiego. Wystarczy tylko, że wyciągnę po nią rękę – albo obejrzę jeszcze jeden dziwny klip z YouTube'a.

Pan Nowatorski

Nad moim biurkiem wisi piękna lampa, którą kupiłem przed laty. Niedawno się zepsuła, więc zaniósłem ją do naprawy do pobliskiego sklepu z lampami. Właściciel okazał się wyluzowany i arogancki. Pooglądał lampę i wypluwając z siebie słowa, powiedział: „To przestarzały model”. Jakbym wszedł do jego sklepu z kundlem mającym gówno na łapach. „Tak, ale co z tego?” – zapytałem delikatnie. „Wygląda identycznie jak te wystawione na sprzedaż. Można ją zreperować?” Wokół nas stały nowe modele tej samej marki. Kilka lamp na wystawie przypominało moją, tyle że wyprodukowano je dzisiaj, a nie wczoraj. Jakby nie mógł wymyślić nic innego, tamten powtórzył swoje: „Ale jest *stara*. Ma pewnie jakieś piętnaście lat”. Z zaplecza wyłonił się inny mężczyzna, który, jak się po chwili dowiedziałem, zajmował się naprawami. Popatrzył na moją lampę i skinął głową. „Jasne, mogę ją naprawić. Jest stara, ale to znaczy, że kupił ją, gdy tylko ten model się pojawił. Ten człowiek wyprzedził swój czas. To nowator”. Spojrzał na mnie i powściągnął uśmiech – co starczyło za tysiąc słów komentarza na temat jego relacji z pracodawcą. Szef zmarszczył się i oddalił nagle, zostawiając nas samych, żebyśmy ustalili szczegóły. Gdy parę minut później wychodziłem stamtąd, zobaczyłem go patrzącego na mnie z kwaśną miną...

Pan Nowatorski.

Na wyścigach z Hemingwayem

Przez lata moi rodzice mieszkali w Nowym Jorku. Na najwyższym piętrze ich budynku mieszkał drobny staruszek. Natykałem się na niego raz po raz, kiedy odwiedzałem rodziców. Zawsze nosił idealnie skrojony trzyczęściowy garnitur, gruby jedwabny krawat i białą koszulę ze spinkami w mankietach. Uśmiechaliśmy się i kłanialiśmy sobie, ale nie doszło do nawiązania rozmowy. Któregoś dnia ojciec i ja spotkaliśmy go na korytarzu i zostaliśmy sobie przedstawieni. Nazywał się Lewis Galantiere – był istnym uosobieniem elegancji zarówno w ubiorze, jak i w sposobie wysławiania się. Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu ojciec oznajmił mu, że studiuje literaturę na uniwersytecie i że mam nadzieję zostać kiedyś pisarzem. Jego twarz rozjaśniła się: no cóż, odrzekł, powinniśmy porozmawiać – zapraszam was na podwieczorek. Gdy się pożegnaliśmy, ojciec poinformował mnie, że Galantiere jest jednym z najwybitniejszych tłumaczy z języka francuskiego na angielski. Jego przekłady Prousta cieszyły się światową sławą i korzystano z nich na wielu uniwersytetach. Jeszcze ciekawsze było to, że człowiek ten mieszkał w latach dwudziestych w Paryżu, gdzie poznał wszystkich wielkich artystów: Hemingwaya, Fitzgeralda, Gertrudę Stein, Picassa – całe gwiazdziste niebo talentów dodające blasku temu wspaniałemu miastu.

Tydzień później złożyliśmy mu wizytę. Mieszkanie było małe, ale stylowo urządzone. Dalekowschodnie dywany na podłogach, solidne meble ze skóry i drewna, dzieła sztuki na ścianach. Ojciec przez dłuższy czas studiował obrazy i powiedział mi później, że znalazł tam oryginalne szkice Matisse'a i Cezanne'a, fotografie Mana Raya, kucharski przepis odręcznie napisany przez Alicję B. Toklas i wiele innych perełek. Siedzieliśmy u Galantierego kilka ładnych godzin, myślę, że nasze towarzystwo sprawiło mu przyjemność. Cichym, ironicznym głosem, bez zadęcia opowiadał o piknikach, na które jeździł z Fitzgeraldami, o wypadach na wyścigi konne z Hemingwayem i o kłótniach z wybuchową panią Stein. Nie popisował się – po prostu mówił, jak wyglądały tamte lata jego życia. Opowiadał niesamowite historie, nigdy bardziej nie zbliżę się do tych bożyszczy ani nie poznam ich z takiej perspektywy. Późnym popołudniem zaszło coś, co utkwilo mi w pamięci. Gdy spotkanie dobiegało końca, wyraźnie znużony Galantiere umilkł i zapatrzył się zamyślony w swoje dłonie. „O jednym biografowie tych ludzi piszą rzadko – odezwał się. – O tym mianowicie, jak *ciężko* harowali. Większość biografów rozwodzi się nad pijaństwem Fitzgeralda oraz brutalnością i hulankami Hemingwaya. Ale pomija ich ciężką pracę, całkowite oddanie się swemu rzemiosłu, przynajmniej w tamtym czasie. Nie spotkałem potem ludzi, którzy by tak ciężko harowali – jakby kopali rowy. Kiedy kończyli dzień pracy, zawsze mieli brudne ręce”.

Zaraz-zaraz, czy ja cię znam?

Oboje zgadzali się co do tego, że film był pierwszorzędny. Miłosna historia kończyła się smutno: samobójstwem kobiety. Kiedy wychodzili z kina, jego dziewczyna wyznała, że choć film jej się podobał, złości ją to, że tak często filmowi bohaterowie zabijają się z miłości. Ilu ludzi tak postępuje w prawdziwym życiu? Słowem, czysty melodramatyczny nonsens à la Hollywood. Zatrzymał się i spojrzał na nią dziwnie.

„Bohaterka nie zabija się z *miłości*. Zabija się, bo wie, że jej życie osiągnęło maksimum szczęścia. Jest przekonana, że wszystko, co się dalej stanie, będzie jednym wielkim niespełnieniem i rozczarowaniem. Toteż woli umrzeć teraz – w pełni życia. To cudowne umieć się zdobyć na taki krok. Umrzeć, płonąc jasno, zamiast dogasać, obracając się wolno w popiół”.

Dziewczyna potrząsnęła głową i uśmiechnęła się pod nosem, jakby miała do czynienia z rozkosznym idiotą. Widział tę jej minę już przedtem. Maszerowali dalej zamyśleni, pogrążeni we własnych odmiennych interpretacjach filmu. W końcu ujęła go pod ramię i powiedziała, ściskając go mocno: „Ty zawsze widzisz wszystko w optymistycznym świetle”. Skrzywił się. Zdał sobie sprawę, że patrzą na życie tak odmiennie, że chyba im się nie uda.

I tak się stało.

Złodziej poezji

Przed laty znałem kobietę, która zakochała się w mężczyźnie szybko i ogromnie. Jednym z jego atrybutów (poinformowała mnie) był poetycki talent – odkąd się poznali, pisał niesamowite wiersze o niej i dla niej. Zapytała, czy chciałbym je zobaczyć; odparłem, że bardzo chętnie. Wręczyła mi kilkanaście stron maszynopisu. Przeczytałem dwa wiersze i prześlizgnąłem się po kilku pozostałych. To wystarczyło. Popatrzyłem na ich adresatkę i oświadczyłem: „Tych wierszy nie napisał twój przyjaciel. Wyszły spod pióra Pabla Nerudy. To część jego młodzieńczych wierszy miłosnych, które natychmiast przyniosły mu sławę”.

Czy postąpiłem słusznie, mówiąc jej prawdę? Czy miałem do tego prawo? Często o tym myślałem, ale wciąż nie wiem. Ona zerwała ze złodziejem poezji, lecz nie dowiedziałem się, czy uczyniła tak dlatego, że ją okłamywał, czy też z innego powodu.

Po latach opowiedziałem tę historię bliskiej przyjaciółce. „Kiedy się na nowo zakochasz – usłyszałem od niej – nie dawaj tej osobie niczego, co otrzymałeś od *poprzedniej* ukochanej albo od nieznajomego, nawet jeśli to wielki poeta. Takie zachowanie oznacza brak szacunku dla tego nowego człowieka w twoim życiu. W nowym, ważnym związku powinniśmy stworzyć *nowy język*, coś, co należy jedynie do nas obojga”. „Poza tym kiedy przywłaszczasz sobie cudze słowa albo pomysły, twoja dusza zachowuje się tak, jakby miała znowu dwanaście lat, wychodząc z siebie, byle tylko polubiły cię najfajniejsze dzieciaki. Myślę, że to bardzo smutne”.

Co weźmie, a czego nie

Kobieta grzebiąca w śmieciach pracuje według systemu, którego jednak – choć obserwuję ją przez jakiś czas – nie udaje mi się rozgryźć. Otwiera kubek, przegląda zawartość, po czym wyciąga stamtąd – a to jakieś papierzyska, a to czerwony drut lub sznurek (z daleka trudno dojrzeć), to znowu pustą butelkę, którą po wnikliwych oględzinach decyduje się zachować. Jest wybredna: większość przedmiotów łąduje z powrotem w śmietniku. Obok niej stoi mały wózek na kółkach, do którego wkłada swoje zdobycze. Co weźmie i ile z tego sprzeda? Które miejskie odrzuty mają dla niej na tyle dużą wartość, żeby je zachować? Ciekawe, czy potrafiłaby wyjaśnić, jak działa jej system, gdyby ją o to zapytać. Być może to kwestia instynktu – podoba mi się kolor tej pustej butelki, i tyle. Może kiedyś przyda mi się ten kawałek drutu. Papier jest zapisany z jednej strony, ale mogę pisać na drugiej.

Gdy po paru minutach znowu podnoszę wzrok, kobieta stoi w głębi ulicy, przy kolejnym rzędzie kubłów, które są opróżniane w każdy poniedziałek. Tym razem trzyma w dłoni podłużny przedmiot przypominający pomadkę do ust. Postanawia ją zatrzymać, ale saszetkę, z której ją wyjęła, wrzuca z powrotem do śmieci.

Wypisany

Kiedy byłem w Polsce, promując swoje książki, jedna z dziennikarek zapytała, czy wyobrażam sobie, że któregoś dnia wyczerpią mi się pomysły i przestanę tworzyć. Że „się wypiszę”, że nie będę miał nic więcej do powiedzenia. Jasne, odparłem, prędzej czy później przytrafia się to wszystkim pisarzom.

– Kiedy? – spytała.

– Co proszę?

– Kiedy przytrafi się to panu?

Spojrzałem na nią zdziwiony, aby się upewnić, że dobrze ją zrozumiałem.

Jej wyraz twarzy dowodził, że nie ma mowy o pomyłce.

– Och, nie wiem – może w przyszły czwartek?

Moje 243-stronicowe życie

Większość ludzi widzi siebie jako ogromne powieści – ośmiusetstronicowe cegły, w których występuje czterdzieści fascynujących postaci biegających dokoła siebie, wielkie wzloty i upadki, a może i światowe wstrząsy, wojny albo klęski naturalne, gdzieś na drugim planie. Wszystko to powinno być opisane z rozmachem i poezją godną rosyjskiego mistrza – na przykład Tołstoja – albo francuskiego artysty słowa – na przykład Prousta.

W gruncie rzeczy jednak życie większości z nas jest rozpisane na góra dwieście czterdzieści trzy strony albo jeszcze mniej. W naszej historii pojawia się ledwie parę ważniejszych postaci, jakiś kryzys albo dwa w połowie fabuły, jakiś triumf albo tragedia rozsmarowane po całości. Nic z tego nie jest jednak na tyle głębokie czy interesujące, aby poświęcać temu wiele stron wyjaśnień lub opisów. Jak zauważył kiedyś Henry David Thoreau, większość ludzi prowadzi życie w cichej desperacji. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że życie większości ludzi daje się zamknąć na dwustu stronach napisanych przez przyzwoitej klasy powieściopisarza, którego książki nie trafiają na listy bestsellerów.

Święta uczy nas jeść kurczaki

Jest taka cudowna historia o św. Teresie z Avili, którą bardzo lubię i którą – jak pamiętam – wykorzystałem kiedyś w jednej z moich powieści. Nawet jeżeli to apokryf, to zawiera ziarno prawdy będące metaforą tego, co jest ważne w wielu różnych aspektach życia.

Św. Teresa była średniowieczną karmelitanką słynącą z bezgranicznego oddania Bogu. Jej wizerunki ukazują pogrążoną w modlitwie kobietę z ekstatycznym wyrazem twarzy. Badacze określają jej związek z Bogiem jako niemal orgazmiczny, seksualny; jej uwielbienie było absolutne. Karmelitanki darzyły ją najwyższym respektem, właśnie ze względu na jej świętość i pobożność. Modliła się dłużej i żarliwiej niż inne zakonnice, codziennie biczowała się w akcie pokuty za grzechy, większość czasu poświęcała na pomoc potrzebującym itp., itd.

Jednego wieczoru kilka mniszek weszło do zakonnej kuchni i ujrzało św. Teresę jedzącą pieczonego kurczaka. Widok był zdumiewający: rozrywała ptaka palcami, obsmarowywała sobie ręce i twarz, mlaskała i siorbała głośno... Jak mówią Amerykanie, „żarła jak świnia”. Zakonnice nie posiadały się ze zdumienia, uważano ją bowiem za świętą, ideał pobożności, skromności i czystości. „Siostrzo Tereso, cóż siostra robi?” – spytały delikatnie.

Popatrzyła na nie z twarzą powalaną tłuszczem i uśmiechając się, odrzekła: „Kiedy się modlicie, to się módlcie. A kiedy jecie kurczaka, to *jedzcie kurczaka!*”.

Szczerłość morderców

Niedawno poznałem popularnego autora, który zasłynął jako twórca thrillerów prawniczych w stylu Johna Grishama. Zanim został pisarzem, przez lata praktykował jako adwokat. Specjalizował się w obronie ludzi oskarżonych o morderstwo. W trakcie rozmowy zapytałem, czy podczas któregoś z procesów odkrył, że jego klienci są winni. A może poza protokołem, skoro zgadzał się ich reprezentować, przyznawali się do winy. Moje pytanie wyraźnie go rozbawiło. „Prawie wszyscy byli winni”, powiedział. „Większość oznajmiała mi to zaraz na dzień dobry”.

Martwe uśmiechy

Są takie uśmiechy, które niszczą twarze. Nie ma przy tym znaczenia, czy twarze te są piękne, brzydkie, sympatyczne czy przeciętne. Jak tylko pojawia się na nich uśmiech – klamka zapada. Zamykasz przed nimi swoje mentalne drzwi. Czasami uśmiech ten bywa fałszywy, zimny, dziwny, szalony albo wyrachowany – w ułamku sekundy mówi ci wiele o osobie, która się uśmiecha. Może to nie fair, ale coś każe ci się cofnąć, choćby jeszcze chwilę temu osoba ta wydawała ci się pociągająca.

Bandziory jak ty i ja

Niektóre przedmioty stają się dziełami sztuki w sposób niezamierzony. Mistrzowsko proste biurko w stylu biedermeierowskim, futurystyczne wieczne pióro Parker 51, tkaniny w stylu Bauhausu, przedmioty wykonane w estetyce wabi-sabi, produkty Brauna zaprojektowane przez Dietera Ramsa, zegarek marki Schofield albo czcionka Gill Sans... To przykłady rzeczy, które powstały z myślą o codziennym użytkowaniu, a nie przyozdabianiu muzealnych ekspozycji. Okazały się jednak na tyle wyjątkowe i oryginalne, że z czasem wywindowały się na najwyższe piętro Sztuki, gdzie pozostają do dzisiaj. Podobnie było z fotografią. Czarno-białe zdjęcia Weegego, fotografie Vivian Maier pokazujące Nowy Jork lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku, fotografie Paryża wykonane przez Lartigue'a i Doisneau, portrety gwiazd filmowych George'a Hurrella, obrazy Wielkiego Kryzysu na łamach magazynu „Life”, a nawet najlepsze fotki z nurtu lomografii – wszystkie te zrazu zwyczajne zdjęcia dostały skrzydeł i zamieszkały między aniołami Sztuki.

Jedną z moich ulubionych książek jest album Petera Doyle'a *Crooks Like Us*. Doyle przekopał się przez archiwum fotografii policyjnych znajdujące się w Muzeum Sprawiedliwości i Policji w australijskim Sydney. Książka przedstawia zdjęcia przestępców z lat dwudziestych, których schwytano i którym założono kartotekę. Czarno-białe fotki pokazują wpatrzonych w obiektyw kieszonkowców, kanciarzy, dziwki, morderców, drobnych naciągaczy, włamywaczy, narkomanów, fałszerzy... Wszyscy oni, zanim trafili przed sąd, zostali uwiecznieni en face i z profilu. Album wyróżnia się mimowolną urodą i piękną kompozycją wielu z tych zdjęć. Mój przyjaciel stwierdził, że większość postaci wygląda jak modele w strojach od Thoma Browne'a albo ludzie pozujący dla „GQ” lub „Vogue'a”. Mężczyźni mają na głowach zawadiacko przekrzywione kapelusze, noszą białe koszule i krawaty, eleganckie tweedowe marynarki. Choć niektórzy wyglądają na groźnych zbirów, cechuje ich wyrafinowany styl i szyk. Gdybyś zobaczył któregoś z nich idącego ulicą, pomyślałbyś niechybnie: „Co za niesamowity gość!”. Kobiety patrzą prosto i bez lęku w oko aparatu. Można niemal dosłyszeć ich kpiące pytanie: „Co wywalasz gały? Coś ci się nie pasuje, kolego?”. Emanują siłą, sprytem, seksualnością i w kilku przypadkach – tajemniczością.

Tak oto kłamcy i oszuści, gotowi prehandlować własne dzieci, pchnąć nożem matkę i okraść ślepą zakonnice – potwory, mendy, pijawki, zboczeńcy – przemieniają się w cudowne, niepokojące, ponadczasowe portrety ludzkie. Ich oczy opowiadają tysiące historii. Stoją dumnie wyprostowani, z rękoma w kieszeniach, z zaczesanymi do tyłu włosami; na twarzach maluje się przekora

albo rozbawienie. Nie pokonasz ich, w końcu i tak postawią na swoim. Sto lat później trudno pozbyć się wrażenia, że ci bandyci wiedzieli o rzeczach, o których chciałbyś się dowiedzieć. Że wiele byś dał, by wyjść poza tę jedną, fascynującą migawkę i zajrzeć do ich życia. W pewnym momencie dociera do ciebie wstrząsająca prawda, że wszystkie te osoby są już martwe. Na tym właśnie polega cud wielkiej Sztuki: że potrafi na moment wskrzesić prawie wszystko, tak iż można niemal usłyszeć żywy oddech.

Mapa naszego życia

Życie nas rani. Nie da się tego uniknąć. Uczymy się z tymi ranami żyć albo zabijają nas one na długo przedtem, zanim w istocie umrzemy. Blizny małe, wielkie, szerokie i głębokie jak ocean – definiują nas. Stają się częścią naszej mapy życia. Moja przyjaciółka straciła niedawno dziecko i zapytała mnie, jak ma żyć po jego śmierci. Wydaje mi się, iż najlepsze, co możesz zrobić w tej sytuacji – odparłem – to żyć dla was obojga. Pokaż swojemu dziecku, na czym polega życie, noś je w duchu tak, jakbyś je niosła na barana. Pokaż mu wszystko, co TY w życiu kochasz, albo jeszcze więcej, jeśli to możliwe. Skoro w tobie żyje, niech ujrzy świat twoimi oczami. Im głębiej wejdiesz w życie, tym więcej zobaczy. Im dalej wycofasz się z życia, tym bardziej odbierzesz mu szansę obejrzenia pięknego widoku. Być może oznacza to, że w twoim życiu trzeba wprowadzić duże zmiany. Zmiany, które budzą twój strach, których pod żadnym pozorem NIE CHCESZ wprowadzać. Musisz to jednak uczynić, jeżeli masz pójść naprzód i dać swemu duchowemu dziecku możliwość cieszenia się bogactwem twojego życia, przeżywanego odtąd przez was dwoje.

Niesiony przez Paula Newmana

Paula Newmana poznałem na planie filmu *Bilardzista*, do którego ojciec napisał scenariusz. Byłem małym chłopcem, szybko znudziło mi się to, co działo się na planie. Z tamtego dnia pamiętam, że w przerwach między ujęciami Newman podchodził do mnie, siadał obok i pokazywał mi głupawe sztuczki. Palił papierosy marki Salem i z samą paczką zrobił chyba cztery triki. Byłem oczarowany i uważałem go za wspaniałego gościa. Nic nie znaczył dla mnie fakt, że miał się niebawem stać najsłynniejszym gwiazdorem filmowym na świecie. Tamtego dnia był ulubionym wujkiem, z tych, którzy sypią żartami i wykonują sztuczki i cuda specjalnie dla ciebie.

Parę lat później znalazłem się w Los Angeles w święto Czwartego Lipca. Moja rodzina udała się na przyjęcie wydane przez przyjaciela Newmana. Aktor przybył z gromadką własnych dzieci. Miał na sobie jasnopomarańczowy kombinezon lotniczy, taki, jakie noszą piloci myśliwców. Pomyślałem sobie wtedy, że fajnie jest się tak ubierać, nieważne – w dzień zwyczajny czy od święta. Pomachałem mu, ale mi nie odpowiedział. Na przyjęciu było mnóstwo ludzi i Newman wkrótce zniknął w tłumie.

Pół godziny później ktoś dotknął mojego ramienia. Nie zdążyłem się dobrze odwrócić, kiedy doszedł mnie jego głos: „Nie mów nikomu, ale mam przy sobie petardy. Idziemy postrzelać?”. Fajerwerki dla dwunastolatka są jak seks dla dorosłego, więc poszedłbym „postrzelać” z samym Draculą. Obróciłem się w stronę głosu i zobaczyłem pomarańczowy kombinezon. Wyślizgnęliśmy się cichaczem. Dokładnie wiedział, dokąd zmierza: za domem rozciągało się pole. Podreptaliśmy tam obaj różnym truchtem, bo Newmanowi wyraźnie śpieszyło się, żeby już zacząć. Patrzył na mnie i szczerzył się w swoim słynnym uśmiechu à la Nieugięty Luke; dwóch awanturników idących na tajną misję.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, włożył rękę do kieszeni i wyciągnął kilka małych czerwonych petard. Jedną z nich zapalił i rzucił w powietrze. Odkoczyliśmy. Rozległo się głośnie, rozkoszne BUM! Podał mi drugą petardę razem z paczką zapalek. Ledwie ją zapaliłem, momentalnie wybuchła mi w dłoni. Staliśmy oszołomieni i gapiliśmy się na moją rękę. Nie pamiętam, czy była poczerwiała czy zakrwawiona, ale musiała wyglądać nieciekawie, bo Newman chwycił mnie i przerzucił sobie przez ramię, po czym ruszył na pełnym gazie w stronę domu. Rana okazała się niegroźna. Błahostka. Umyto mi ręce i przyklejono parę plastrów, po czym wróciłem na przyjęcie.

Paul Newman biegnący z dzieciakiem na ramieniu, ojciec zdjęty strachem, że chłopiec jest ranny, gotów na wszystko, aby to naprawić. Oto, jak go zapamiętam.

Jak odnaleźć godzinę

– Nie nosisz zegarka, prawda?

– Nie. Kiedy mam go na rękę, bez przerwy sprawdzam czas. Czuję się jak niewolnik.

– A jeśli chcesz się dowiedzieć, która godzina? Jeśli masz umówione spotkanie?

– Godzinę można znaleźć wszędzie. Zegary są na wystawach sklepów, na reklamach, na ulicy. W najgorszym razie można kogoś zapytać, ale zwykle nie ma takiej potrzeby... Zaczynij odliczać i rozejrzyj się za najbliższym zegarem. Zanim policzysz do trzydziestu, na pewno natkniesz się gdzieś na godzinę. W witrynie jubilera albo w sklepie z narzędziami...

– Komórka też pokazuje czas.

– Przesadny pragmatyzm. Oczywiście, że komórka pokazuje czas, ale ja chwilowo wolę się rozejrzeć za zegarem. No wiesz, skupić uwagę na otoczeniu i odszukać godzinę w TEN sposób.

Sztuka złamanego serca

Całkiem niedawno wpadła mi w ręce historia o tym, jak artystka country Chely Wright napisała piosenkę *The Bumper of My SUV*, która stała się – jak słyszę – jej największym hitem. Brat artystki, który przez lata służył w amerykańskiej piechocie morskiej, przysłał jej naklejkę z napisem „Marines”, a ona umieściła ją na zderzaku swojego samochodu. Kiedy zatrzymała się na światłach, jakaś kobieta, zauważywszy tę naklejkę, krzyknęła: „Pomyliła ci się wojna!” i pokazała jej środkowy palec. Wright była tak wzburzona, że po powrocie do domu natychmiast napisała piosenkę, która po pewnym czasie została wielkim przebojem.

Przeczytawszy tę anegdotę, zacząłem się zastanawiać, ile popularnych dzieł narodziło się ze złości albo z poczucia krzywdy, zdrady lub życiowej porażki. Podobno J.K. Rowling wzięła się do pisania pierwszego tomu Harry’ego Pottera, gdyż była doszczętnie splukana, świeżo rozwiedziona i dosłownie nie miała nic do stracenia. Zawsze chciała pisać, więc – co tam, żyje się raz! – czemu by nie zacząć, będąc na dnie? Edmond Rostand napisał *Cyrano de Bergeraca*, jedną z najgenialniejszych historii miłosnych wszech czasów, po tym, jak porzuciła go kobieta. Ile cudownych pieśni miłosnych i poematów, powieści i obrazów powstało w efekcie złamanego lub zdradzonego serca? Ile wspaniałej twórczości narodziło się w odpowiedzi na konkretny ból, jako kontra wymierzona życiu, które właśnie obito nam duszę, albo na coś, co ścięło nas z nóg? Może na tym, i tylko na tym, polega prawdziwa alchemia: na zamianie ołowiu nędzy, okropności i podłości w szczerze złoto sztuki.

Pisarz o świcie

W szkole najgorzej szło mi z matematyki. Zdany egzamin wprawiał mnie w zachwyty, ale z reguły oblewałem testy i musiałem powtarzać klasę albo doksztalać się na kursach wakacyjnych. Kiedy byłem w dziesiątej klasie, rodzice wyekspediowali mnie do prywatnej męskiej szkoły z internatem, ponieważ w szkole publicznej zupełnie sobie nie radziłem. To była katastrofa. Pierwszego roku nie zdałem egzaminów ani z matematyki, ani z większości innych przedmiotów. Groziły mi letnie kursy, które na domiar złego miały się odbywać w TEJ SAMEJ szkole. Oznaczało to kolejny miesiąc spędzony w kampusie. Choć nie lubiłem się uczyć, to najlepsze oceny miałem z języka angielskiego; jeśli już byłem zmuszony tam siedzieć, postanowiłem zapisać się na kurs pisania kreatywnego, który oferowano w programie nauczania. Prowadził go pisarz, który przed laty wydał kilka opowiadań w „New Yorkerze”, w związku z czym uważano go za pisarza rezydenta.

Któregoś ranka wszedł do klasy i oznajmił nam, że dziś zajęcia będą wyglądać inaczej niż zwykle: przeczyta nam opowiadanie. Nie pamiętam, czy wszyscy jęknęliśmy gremialnie, ale niewykluczone, że tak było. Było lato. Upał. Mieliśmy piętnaście lat. Wolelibyśmy robić milion innych rzeczy. Większość z nas, jeśli w ogóle cokolwiek czytała, to szkolne podręczniki, wyłącznie z musu.

Nauczyciel przeczytał nam opowiadanie Thomasa Wolfe'a zatytułowane *Cyrk o świcie*. Jego bohaterami jest dwóch chłopców, którzy żyją w Karolinie Północnej na początku dwudziestego wieku. Przez cały rok wyczekują dnia, w którym w ich miasteczku zatrzyma się cyrk. Historia ta stanowi w zasadzie opis tego, jak chłopcy wykradają się latem z domu skoro świt i obserwują przyjazd cyrku na stację, wyładunek z wagonów, a potem budowę namiotu. Patrząc na egzotyczne zwierzęta i cyrkowców, wiejskie chłopaki wybałuszają oczy ze zdumienia. Opowiadanie wydało mi się – o dziwo – całkiem ciekawe. Słuchając nauczyciela, błędziłem wzrokiem po letnim niebie za oknem.

Pod koniec opowiadania, gdy większość robót zostaje ukończona, cyrkowcy siadają do wspólnego posiłku. Wolfe opisuje jedzenie, które spożywają, racząc czytelnika zmysłowymi, pysznymi, olśniewającymi szczegółami. Góry naleśników i gofrów polane masłem i syropem klonowym, termosy ze świeżą gorącą kawą, jajka sadzone na bekonie, steki i hamburgery prosto z grilla... Śniadanie rozpisane na wiele stron. Wciągnięty w lekturę, czułem w nozdrzach te aromaty, miałem na języku te smaki, jadłem razem z cyrkowcami. W pewnym momencie nauczyciel przerwał dla zaczerpnięcia oddechu. Gdzieś obok mnie rozległo się ciche „plap”.

Popatrzyłem na ciemnobrązową ławkę i zobaczyłem lśniący punkt. Ślina. Odmalowana przez Wolfe'a scena jedzenia zrobiła na mnie tak silne wrażenie, że słuchając, bezwiednie śliniłem się na ławkę. Gapiłem się w tę błyszczącą kroplę i do dzisiaj – bardzo wyraźnie – pamiętam podziw i zdumienie, które wypełniły mnie w tamtym momencie.

Wtedy.

Właśnie wtedy zrozumiałem, że chcę być pisarzem. Jeżeli coś, co piszę, może po pięćdziesięciu latach wywołać taki skutek, to ja chcę to robić.

Czy naprawdę chcę wiedzieć, kim byłem?

Ostatnio moja przyjaciółka malarka otrzymała list od dawnego znajomego, w którym tamten informował ją o obrazach i rysunkach oddanych mu przed trzydziestu laty na przechowanie. Ponieważ się przeprowadzał, chciał zwrócić te przedmioty mojej przyjaciółce. Dogadano szczegóły i wszystkie dzieła, po uiszczeniu słonej opłaty, zostały spakowane i przysłane na właściwy adres.

Gdy pudło przybyło na miejsce, malarce nagle odechciało się je otwierać. Bała się tego, co może znaleźć w środku. A jeśli jej wczesne obrazy okażą się okropne i sprawią jej zawód? Wspomnienia, które zachowała z tamtego okresu, były cudowne i szczęśliwe. Zapamiętała siebie jako młodą, ale poważnie traktującą swój zawód artystkę, przekonaną o swoim talencie i o tym, że jej dzieła mają wartość. Przez tydzień popatrywała bojaźliwie w stronę pudła, aż w końcu je otworzyła. Obrazy i rysunki były o wiele gorsze, niż się obawiała. Nie dość, że kiepsko wykonane, to jeszcze wtórne, martwe i bez polotu.

Zadzwoiła do mnie i opowiedziała o swoim kłopotcie.

Zaproponowałem, aby popatrzyła na swoje ówczesne prace tak, jak się patrzy na stare zdjęcia w albumie fotograficznym: żenujące obrazki pokazujące cię jako dwudziestolatka z koszmarną fryzurą, ubranego w idiotyczne spodnie-dzwony z gnieczonego aksamitu i w T-shirt z wizerunkiem zespołu Kiss. Przyjrzyj się dziełom tej młodej kobiety i docień postępy, jakie zrobiłaś od tamtej pory, itp., itd. Słuchała mnie, po czym nagle wpadła mi w słowo: „Tak, tak, ale zrozum: ja jestem strasznie rozczarowana *tamtą osobą*. W mojej pamięci ona jest o wiele fajniejsza i bardziej utalentowana, niż tego dowodzą te obrazki”.

Gry, w które nie gramy

W telewizji leciał turniej pokera. Nie lubię gier i nie gram w nie. Nie znam zasad żadnej gry karcianej, ponieważ zasypiam z nudów. Ostatni raz w Monopoly grałem trzydzieści lat temu. Oglądałem pokera przez dwie minuty, gdy raptem wpadł mi do głowy pewien pomysł. A co jeśli, mimo niechęci do gier, jestem nadzwyczajnym pokerzystą, tylko o tym nie wiem? I nie dowiem się, bo nie zamierzam się nauczyć tej gry?

Jeden z moich przyjaciół nauczył się kiedyś grać w tryktraka i tego samego wieczoru wygrał co drugi pojedynek. Nie ma pojęcia, jak tego dokonał, nigdy później nie grał już w tryktraka. Może ma po prostu wyjątkowy dryg do tej gry, o czym przekonał się dopiero wtedy. A jeżeli ja mam potencjał do tego, by zostać mistrzem pokera albo tryktraka, ale ponieważ unikam gier, odejdę z tego padołu nieświadomy swego ukrytego geniuszu? I żeby pociągnąć dalej tę analogię – może większość ludzi ma jakieś wybitne uzdolnienie, tyle że mało kto je w sobie odkrywa, bo dana dziedzina – poker, inwestycje giełdowe, śledztwo kryminalne, jubilerstwo, doświadczenia chemiczne – nie budzi w nich żadnego zainteresowania? Gdyby tylko spróbowali, odkryliby, że są znakomici.

Jego sierść na spacerze

Jeśli byłeś kiedyś właścicielem psa (albo kota, jak sądzę) mającego białą sierść, jeszcze długo po jego śmierci będziesz odnajdywał w mieszkaniu białe włosy. Na ubraniach (zwłaszcza ciemnych), na meblach albo w filiżance wciśniętej w kąt kredensu; czasem będzie to włos tkwiący pod klipsem wiecznego pióra. Przez lata po śmierci mojego psa Jacka, ilekroć natykałem się na te bolesne pamiątki, ogarniał mnie smutek. Usuwałem je czym prędzej i starałem się zapomnieć o tym, jak bardzo brakuje mi starego przyjaciela.

W dalszym ciągu zdarza mi się odnajdywać te małe białe *mementi*. Teraz jednak prawie zawsze wywołują one na mojej twarzy uśmiech. Upływ czasu zrobił swoje. Świadczą o tym, że bulterier w jakiś skromny, cichy sposób ciągle zajmuje część mojego życia. Przedwczoraj wyjąłem z szafy sportową kurtkę, której nie nosiłem od lat. Zauważywszy na niej psią sierść, nie mogłem się zdecydować, czy powinienem ją solidnie wyszczotkować, czy też zostawić tak, jak jest – włożyć ją na siebie i zabrać Jacka na ulubiony spacer.

O której północ?

Gdy pierwszy raz szli spać, odezwała się, zaledwie wszedł do sypialni:

– Masz na ręce inny zegarek.

Spojrzał na nadgarstek, jakby dopiero co zauważył czarny gumowy zegarek.

– To mój nocny zegarek – wyjaśnił oględnie.

– Zmieniasz je przed snem?

– Tak. Czasem budzę się w środku nocy i chcę sprawdzić, która godzina. Ten ma jasny cyferblat.

– Dlaczego?

Popatrzył na ciemny lakier na jej paznokciach, żałując, że nie rozmawiają o czymś innym.

– Dlaczego chcę sprawdzić godzinę?

– Właśnie. – Uśmiechała się. A raczej śmiała. Z niego.

Chwilę temu było seksownie. A teraz jest dziwnie. Miał nadzieję, że znajdzie szybko i właściwą odpowiedź, która przywróci poprzedni nastrój.

– Nie wiem... Żeby zobaczyć, ile zostało mi czasu na sen.

Jej uśmiech powiększył się do rozmiarów frisbee.

– Lubię cię, wiesz?

Znajoma grawitacja ulotniła się z sypialni. Dryfował w jej kosmosie, nie mając pojęcia, jak manewrować.

– Czy to dobrze?

Siostry

Przyszłość jest wybredna i punktualna. Precyzyjnie odmierza czas i zjawia się na miejscu co do sekundy. Za to jej siostra guzdrała, Przeszłość, nie dba ani o zegary, ani o terminy. Przychodzi i odchodzi w naszej pamięci, kiedy jej się żywnie podoba; zabawia tam, gdzie chce, i nikomu nic do tego. Trudno jej ufać. Jest skora do przesady, kłamstw i uprzedzeń, nie pożyczylbyś jej pięciu groszy, ale jeśli ma akurat ochotę, potrafi być *szalenie* czarująca i uwodzicielska.

Zrzucić skórę

Z listu do rekonwalescenta po poważnej operacji:

„Poszukaj w sobie twardości innego rodzaju. Jak psy obsikujące wciąż to samo drzewo, wciąż czerpiemy z pokładów tej samej siły (i słabości), ilekroć stajemy wobec nowych problemów, które mamy do pokonania. Jesteś innym człowiekiem niż ten, którym byłeś przed chorobą, przed operacją. Masz nowe siły i słabości, które wypłynęły z tego straszego doświadczenia. Może sobie tego nie uświadamiasz, ale twoje odmienione ja potrzebuje do życia nowej, odpowiednio dopasowanej perspektywy. Jeżeli ktoś z takiego czy innego powodu nie może zejść po schodach, to zamiast marnować energię na strach przed tym ograniczeniem, powinien raczej przeznaczyć tę energię na rozejrzenie się za windą. Twoje zasadnicze ja nadal istnieje i zawsze będzie istnieć, musisz jednak odkryć w sobie to, co istotnie się zmieniło, i funkcjonować dalej na tej podstawie. Dawne, po wielekroć wypróbowane sposoby na życie nie mają już zastosowania. Spróbuj je odrzucić, a przynajmniej odwiąż się od nich. Gdy rozpoznasz swoje położenie i je zaakceptujesz, myślę, że wyruszysz w drogę ku nowej sile”.

Ewangelia według džinsów

Wśród najgorliwszych džinso-fanatyków (a jest ich wielu) panuje jednomyślność, że aby rozciągnąć nowe džinsy, należy – przed pierwszym praniem – nosić je codziennie przez cały rok. Tym sposobem tkanina „uczy się” kształtów i specyfiki twojego ciała. Niepowtarzalne zmarszczenia, które robią się na spodniach w tym czasie, stanowią rodzaj sygnatury twojego ciała, pokazującej, jak przechodzisz przez życie. Ci sami džinsowi fundamentaliści twierdzą, że kiedy spodnie zaczną cuchnąć, trzeba je włożyć do zamrażalnika i pozostawić tam na dzień lub dwa, żeby je uwolnił od przykrego zapachu. Tak czy inaczej pod żadnym pozorem (chyba że zdarzy się nieszczęście) nie wolno džinsów prać, dopóki nie chodzi się w nich codziennie przez co najmniej... no dobrze, *pół* roku.

Bez względu na to, czy zgadzasz się z tą metodą czy też nie, można ją potraktować metaforycznie jako ciekawy sposób na odcisnięcie własnej sygnatury, osobistego śladu, nie tylko na rzeczach, które się nosi, ale również na życiu, które zdaniem wielu powinno wyglądać w określony sposób.

O ile jednak nową parę džinsów można rzeczywiście rozciągnąć, nosząc ją aż do chwili, gdy tkanina i szwy dopasują się do naszego ciała, o tyle los jest znacznie bardziej oporny i samowolny. Ma swoje sposoby, aby zasygnalizować nam, że choćbyśmy nie wiadomo jak usiłowali przymusić go do dopasowania się do naszych planów i nadziei, tym razem guzik z tego będzie – bez względu na to, ile dni będziemy „nosić” życie, formując je na kształt naszych marzeń i aspiracji.

Piękno strachu

Kawa na ławę: to silne emocje, takie jak strach i lęk, sprawiają, iż czujesz, że żyjesz. Że buzujeś energią. Że masz oczy szeroko otwarte. Koniec z wygaszaczem ekranu, tempomatem i ściszoną fonią, czyli tym wszystkim, co reguluje twój umysł. Sytość bywa w końcu usypiająca. Jedną z przykrych tajemnic życia jest to, że zadowolenie wywołuje nudę. Złamane serce i złowróżbne wyniki badania krwi uwalniają w nas adrenalinę i rozkoszne poczucie krzywdy. Wreszcie czujesz, że żyjesz! Przyznaj z ręką na sercu: nie ma niczego wspanialszego, niż żyć na sto procent tu i teraz. Dopiero kiedy się zakochasz albo przewrócisz na chodniku, czujesz, że żyjesz naprawdę.

Smak kiepskiej magii

Na końcu mojej ulicy znajduje się *gasthaus*, który według wszelkich znaków na niebie i ziemi ponownie zbankrutuje. Mówię ponownie, bo przez ostatnich kilka lat pędził on parę różnych restauracyjnych żywotów pod wodzą różnych właścicieli. Wszyscy oni prędzej czy później zwijali interes. Co ciekawe jednak, kiedy restauracja otworzyła swoje podwoje, cieszyła się ogromnym wzięciem. Stała się na kilka lat miejscem, do którego chadzano w dzień i w nocy. Przechodząc tamtędy, widziało się rozgadanych i roześmianych klientów, jedzących ciężkostrawne austriackie jedzenie, które tam podawano. Ale właściciele zestarzelili się, a przed odejściem na emeryturę sprzedali interes. Lokal jeszcze przez jakiś czas się trzymał, w końcu jednak jego magiczna aura prysła, coraz częściej świecił pustkami, aż wreszcie go zamknięto. Potem kupił go ktoś inny, kto także splajtował etc., etc.

To, co mnie najbardziej w tym wszystkim intryguje, to fakt, że jedzenie za pierwszych właścicieli było po prostu fatalne. Co więcej, nie byli to ludzie szczególnie sympatyczni. Uprzejmi, owszem, dbający o czystość i porządek, tak, ale na pewno nie było tam *gemütlich*, a żadne danie z karty nie zasługiwało na ocenę powyżej „miernej”. Chociaż ludzie, którzy przejęli *gasthaus*, byli miłsi, a ich kuchnia stała na wyższym poziomie, nikt się tam pojawiał. Prawdę mówiąc, każdy kolejny właściciel, który nastał po tych pierwszych, był zarówno sympatyczniejszy, jak i lepiej gotował. Mimo to interes padał za każdym razem. Czasem magia życia wymyka się zrozumieniu.

Żeglując ku wyspie obsesji

Obsesja. Zawsze lubiłem to słowo. Jego brzmienie i sens, a zwłaszcza nagły skok tętna, gdy przedmiot naszej obsesji znajdzie się w pobliżu. Można dostać obsesji na dowolnym punkcie – kobiety, piosenki, rasy psa, gatunku herbaty, nadmorskiego baru w Mykonos, chwili życia, którą chciałbyś zamrozić w bursztynie. Na punkcie wszystkiego, co gwałtownie rozpala żądzę, aż masz ochotę rzucić się i objąć to w wieczne posiadanie JUŻ TERAZ. Obsesja to tropikalna wyspa na morzu codziennej monotonii. Przedmiot obsesji nie tylko staje w centrum twojej uwagi, ale stanowi jasny i konkretny cel, do którego możesz dążyć w tym poplątanym życiu. To jeden z rzadkich momentów, kiedy zatracając się w czymś, doświadczamy głębokiej przyjemności.

Dwaj starsi panowie popijają Borgesa

Zjadłem wczoraj lunch w Kleines Café, gdzie nakręcono nocną scenę filmu *Przed wschodem słońca*. Jest tu diabelnie przytulnie, a na dodatek podają pyszne jedzenie i można posiedzieć na jednym z najbardziej malowniczych placów w Wiedniu.

Dwóch starszych mężczyzn obok mnie prowadziło ożywioną rozmowę. Nie zwracałem na nich uwagi, lecz wkrótce trudno było nie spostrzec, że pogawędka sprawia im wielką radość. W pewnej chwili któryś z nich wspomniał o „Borgesie”, a potem o „Julio Cortazarze”. Usłyszawszy nazwiska dwóch spośród moich ulubionych pisarzy, podniosłem głowę i nadstawiłem ucha. Mówili o ukochanych książkach i pisarzach. Byli bardzo ożywieni, rozprawiali namiętnie o swoich literackich sympatiach i antypatiach. Kiedy padał tytuł lub nazwisko autora nieznane któremuś z nich, ten gryzmolił je z furią na pliku serwetek dostarczonym przez rozbawioną kelnerkę, która – sądząc po minie – przywykła już do numerów obydwu staruszków. Byłem pewien, że po wyjściu z kawiarni udadzą się prosto do najbliższej księgarni, aby kupić książki, których tytuły sobie zapisali.

Wstałem od stolika odrobinę wcześniej, niż planowałem, bo chciałem wyjść, kiedy będą wciąż roznamiętnieni dyskusją o ważnych dla siebie książkach.

Przepraszam...

Dwoje ludzi omal nie wpada na siebie, wyłaniając się z przeciwnych stron narożnika. Kobieta jest przysadzista, nosi drogie ciuchy i makijaż. Jej nienaganne uczesanie sygnalizuje, iż przed momentem wyszła z salonu fryzjerskiego. Mężczyzna wygląda dużo bardziej niedbale. Ma na sobie džinsy, adidas i podniszczoną narciarską kurtkę. Przez chwilę stoją naprzeciw siebie w bezruchu, czekając, aż to drugie usunie się z drogi. Kobieta ma stalowy, arogancki wzrok osoby przyzwyczajonej do tego, że stawia na swoim i że inni ustępują jej pierwszeństwa. Mężczyzna ma nieśmiałe, płochliwe oczy. Wyraźnie kulejąc, odchodzi na bok. Nie patrzy już na kobietę, oddala się, utykając ciężko. Widać, że z jego nogą jest naprawdę kiepsko. Jest prawie inwalidą. Kobieta zauważa to: jej oczy natychmiast się rozszerzają, a na twarzy odbija się śmiertelny wstyd. Z pewnością czuje się okropnie z powodu pojedynku na spojrzenia i tego, że zmusiła go do usunięcia się. Wtedy spostrzega, że na nią patrzę – i jej twarz błyskawicznie przyjmuje dawny wyraz: zimny, pyszałkowany, wyniosły.

Twój bohater to palant

Czytałem niedawno biografię znanego współczesnego pisarza. Okazuje się, że facet w codziennym życiu zachowywał się jak skończony palant; był nadętym i okrutnym egoistą – można by dodać jeszcze parę epitetów. Kiedy nasi bohaterowie okazują się kolosami na glinianych nogach, czujemy ukłucie rozczarowania. Po chwili jednak doszedłem do wniosku, że większość z nich – zwłaszcza artyści – musi mieć w sobie coś z palanta. Bywają narcyzami, dusigroszami, pijakami albo okropnymi rodzicami... Dlaczego? Z powodu obsesji. Obsesja wytrąca ich z równowagi. Jeśli większość energii poświęcasz swojej kolekcji dywanów, karierze zawodowej albo kochankowi, tym samym przechyłasz się w określoną stronę. Dobrowolnie tracisz równowagę. Wybierasz „to” zamiast „tamtego”, skutkiem czego „tamto” nieuchronnie cierpi na brak twojej uwagi. Nikt tak pięknie nie opisywał życia rodzinnego jak Tolstoj, który podobno był strasznym mężem i ojcem. Dlaczego? Po prostu dlatego, że pisał o ideale miłości z takim zaangażowaniem, iż spełnienie owego ideału we własnym życiu już go nie interesowało. Rita Hayworth stwierdziła kiedyś, że nie miała szczęścia do mężczyzn, bo każdy z nich oczekiwał, że będzie Gildą, swoją najstynniejszą kreacją aktorską. Ona zaś nie była w stanie żyć na miarę fikcyjnej postaci. Cały seksapil oddała filmowym rolom i najwyraźniej zabrakło go już na romantyczną miłość w jej życiu codziennym.

Wizyta w aptece

Wyłączył telewizor i spytał, czy wyświadczę mu wielką przysługę. Naprzeciw hotelu znajdowała się duża apteka. Chciał, abym poszła tam z nim, gdyż potrzebował brzytwy i szamponu. Wiedział, że zanim odleczę wieczorem do Nowego Jorku, muszę załatwić mnóstwo spraw, ale ton jego głosu nie dopuszczał sprzeciwu.

Czym prędzej ubrałam się, podczas gdy on siedział i obserwował mnie, jak krzątam się po pokoju. Cóż ważnego może być w wyjściu do apteki? Złościłam się, ale czułam zarazem, że jego prośba ma w sobie coś żalosego i naglącego.

Apteka okazała się jednym z tych ogromnych sklepów, które sprzedają trzydzieści gatunków pasty do zębów i gdzie klienci snują się między stoiskami jak w amoku. Zatrzymaliśmy się przy regale z brzytwami i szamponami. Było oczywiste, że mu się nie spieszy ze znalezieniem tego, czego szukał.

– Co jest grane?

Obrócił się do mnie i uśmiechnął.

– Hmmm?

– Muszę stać przy tobie, żebyś kupił mydło?

Przez chwilę milczał, tylko patrzył na mnie, jakby rozważał moje pytanie.

– Chciałem to zrobić od chwili, gdy dowiedziałem się o naszym spotkaniu. Bardziej niż rozmawiać, kochać się, cokolwiek. Chciałem pójść z tobą do sklepu, udając, że jesteśmy mężem i żoną. Krótki wypad, żeby kupić aspirynę i program telewizyjny albo lody. Szkoda, że jest tak wczesna pora, ale wczoraj nie chciałem nic ci mówić. Zawsze bierze mnie zazdrość, kiedy idę do całonocnych aptek albo sklepów i widzę pary robiące zakupy. Zaglądam im do koszyków, żeby zobaczyć, co kupują.

– Nie robiłeś tego nigdy z żoną? – Miałam ochotę dotknąć jego ramienia, ale się powstrzymałam.

– Pewnie, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Teraz to co innego, rozumiesz? Wtedy to był po prostu uciążliwy obowiązek. Wiedziałem, że z tobą

będzie to mała przygoda, podczas której oboje będziemy się dobrze bawić – nawet jeśli nic nie kupimy...

Buddyjska walizka

Jest taka fajna scena na początku filmu *Siedem*. Nie pamiętam już szczegółów, ale z grubsza wygląda to tak: Morgan Freeman wychodzi z domu do pracy. Na jego komódce leżą starannie ułożone – jeden przy drugim – przedmioty, które nosi w kieszeniach. Piękny stary scyzoryk. Wieczne pióro. Portfel... Już sam sposób, w jaki zostały umieszczone, dowodzi tego, że wiele dla niego znaczą. Choć są to rzeczy codziennego użytku, widać, że każda z nich ma swoją wartość. Oglądając tę scenę, uśmiechnąłem się, bo całe życie bawię się z sobą w tę grę, próbując ograniczyć to, co noszę w kieszeniach, do absolutnego, buddyjskiego minimum – czyli do tego, co konieczne i wyjątkowe. Prawie nigdy mi się to nie udaje. To samo dotyczy pakowania walizki przed wyjazdem, z czym się właśnie teraz zmagam. Im mniej rzeczy, tym lepiej. Znajdź idealną walizkę i włóż do niej idealne niezbędności.

Prawie zawsze wciska ci się do głowy myśl „A jeżeli...?”. „Co będzie, jeżeli... zaczniesz padać?” – i nagle jesteś pewny, że musisz zabrać płaszcz przeciwdeszczowy. Zjawiasz się na lotnisku z walizą wielkości domu, a buddyjska walizka staje się marzeniem ściętej głowy. Ale za to, na Boga, jesteś gotowy na nadejście huraganu!

Czy naprawdę musimy brać ten dodatkowy sweter? Nie. Weź ten, który kochasz, będzie musiał wystarczyć. Tylko jedną książkę, ale tę, którą rzeczywiście chcesz przeczytać, zamiast trzech, do których przymierzasz się od dawna. Kiedy tak siedzę i gapię się na swoją pęczniejącą walizę, przypominam sobie jeszcze raz o celu, do którego warto, abyśmy wszyscy dążyli: wiedz, czego ci potrzeba, i niczego innego nie zabieraj ze sobą w podróż po dniu ani w nieznane.

Stare miłości, dawne urazy

Ostatnio odezwał się do mnie na Facebooku stary kolega ze szkoły. Wymieniliśmy się wiadomościami: kto się czym zajmuje, kto nie żyje, kto przepadł bez wieści, kto wyciągnął królika z kapelusza życia i osiągnął sukces, który wszystkich powalił. Skontaktował się zaś ze mną po to, aby zaprosić mnie na odbywający się tego lata zjazd absolwentów. Jednak tego rodzaju spotkania nigdy mnie nie interesowały. Moje wspomnienia są jak owady sprzed tysięcy lat zatopione w bursztynie i chciałbym, żeby w takim stanie się zachowały.

Stare miłości, dawne urazy, zapach powietrza tamtego dnia w łodzi, metaliczny posmak strachu w ustach, kiedy przyłapano nas na kradzieży. Może wyglądało to zupełnie inaczej. Może te wspomnienia to zbiór fałszywych obrazów, które dodawałem i przeinaczałem przez te wszystkie lata. Handlarze antyków doradzają, aby nie czyścić i nie polerować starego metalu, gdyż pokrywająca go patyna sprawia, że przedmiot zyskuje na wartości i wyglądzie. Podobnie, moim zdaniem, rzecz się ma ze wspomnieniami.

Być jak Gene Kelly

Uważam, że małe gesty są ważne: postaw kawę, przytrzymaj drzwi, daj sowity napiwek, uśmiechnij się i okaż życzliwość (nawet jeśli ci się nie chce), odrzuć piłkę, która uciekła dzieciakowi, staraj się być kimś większym, niż jesteś – zwłaszcza kiedy wymaga to wysiłku. Ludzie dostrzegają i doceniają takie gesty. Ja w każdym razie doceniam je, spotykając się z nimi w stosunku do siebie. Małe gesty wymagają czasem wysiłku albo wręcz kłócą się z naszą naturą („Nie przepadam za prawieniem ludziom komplementów...”), ale o dziwo, kiedy się na nie zdobywamy, poprawia nam się samopoczucie. Na krótką chwilę życie nabiera lekkości, staje się tańczącym w deszczu Gene'em Kellym.

Jak ona mogła?

Dowiedział się, że ona romansuje z autentycznym łachudrą. Na ironię zakrawał przy tym fakt, że kiedy jeszcze byli z sobą, nie raz, nie dwa rozmawiali o tym facecie – jaki to z niego nudziarz i głąb, że bije żonę, że zmienia prace jak rękawiczki, że nie umie niczego osiągnąć, że brakuje mu wyobraźni i silnej woli. Wielka gęba i mózg w zaniku. Co prawda działo się to dawno temu, nie mógł jednak uwierzyć, że ona sypia z tym kretynem. Odkąd z sobą zerwali, minęło kilka ładnych lat, ale dowiedziawszy się o romansie, ponownie przejrzał w myśli ich związek, przewijając strony, szukając w ich wspólnej historii – w tym, jak ją zapamiętał – jakichś wskazówek, które by sugerowały takie jej zachowanie. Miał wrażenie, jakby w ogóle jej nie znał, choć kiedyś twierdził, że czytają się jak otwarte księgi.

Moja opowieść o Petrasie

Dwa pytania, które najczęściej zadaje się pisarzom, to: „Skąd pan(i) bierze pomysły do swoich książek?” i „Skąd pan(i) bierze swoich bohaterów?”. Opowiem wam o jednym z nich.

W *Szklanej zupie* występuje starszy mężczyzna nazwiskiem Petras Urbsys, prowadzący w Wiedniu sklep, w którym wyprzedaje swoje życie. Czując, że koniec jest blisko, Petras pragnie się pozbyć zgromadzonych za życia przedmiotów, ale nie chce ich tak po prostu sprzedać ani oddać byle komu. Kocha je i chce, aby trafiły do ludzi, którzy również je pokochają. Dlatego wynajmuje sklep, wypełnia go osobistymi pamiątkami i bada zainteresowanych klientów, ustalając, czy „wolno” im kupić te bezcenne dla niego przedmioty.

Skąd wziął się Petras? Któregoś dnia, tuż po tym, jak zabrałem się do pisania *Szklanej zupy* – nie mając jeszcze pojęcia, że pojawi się w niej taka postać – obejrzałem film dokumentalny na temat stalinowskich łagrów. Szczególnie zapadła mi w pamięć historia odległej wyspy, na którą zsyłano „trudnych” więźniów. Warunki życia panujące w łagrze były tak surowe, że niemal nikt go nie przeżył. Jedna scena wywarła na mnie szczególnie silne wrażenie. Na plaży urządzono prowizoryczny cmentarz, na którym chowano zmarłych więźniów. Ich mogiły były oznaczone topornymi drewnianymi tabliczkami, na których widniały napisane odręcznie imiona i nazwiska oraz daty śmierci. Jedna z tablic należała do niejakiego Petrasa Urbsysa, zmarłego w latach trzydziestych XX wieku. Wiele miesięcy po tym, jak stworzyłem tego bohatera i osadziłem go w fabule, przypomniał mi się tamten dokument. Postanowiłem nadać mu to imię tak, jak gdyby prawdziwy Petras przeżył łagier i cieszył się długim, ciekawym, barwnym życiem. Starszy pan zamieszkał w Wiedniu, gdzie sprzedawał swoje życie kawałek po kawałku ludziom, którzy pokochają je równie mocno, jak on je kocha.

Jedno życzenie

Z maila od przyjaciela:

„Pamiętasz, jak zastanawialiśmy się, co byśmy wybrali, gdyby można było spełnić jedno nasze życzenie? W końcu rozgryzłem, czego bym chciał, i nie jest to żadna sztampa w stylu – żeby na świecie zapanował pokój albo żebym miał furę pieniędzy. Chciałbym wykazać się raz w życiu prawdziwą odwagą. Chodzi mi o jakiś taki moment albo zdarzenie, w którym zrobiłbym coś absolutnie i niepodważalnie odważnego. Nie musiałoby to być nic wielkiego. Na przykład – ochrzaniłbym kogoś, kto bez dwóch zdań sobie na to zasłużył. Albo stanąłbym na wysokości zadania w sytuacji, w której zwykle się boję albo nie wiem, co mam robić. Myślę, że moje życie znacznie by się poprawiło – podobnie jak ocena samego siebie – gdybym przekonał się, że choć raz wykazałem się odwagą w jakiejś sprawie, która się dla mnie liczy”.

Prawdziwe twardzielki

Śmieszno-wariacki incydent o poranku:

Skoro świt wyprowadzam psa do położonego po drugiej stronie ulicy parku. Na rogu rozłożyła się grupka punków (o ironio, tuż przy Muzeum Tortur Amnesty International!), która zawsze tam śpi, zbita w bezkształtną masę. Ich legowisko znajduje się przy wejściu do parku. Tego ranka ustawiło się tam kilka prostytutek i bajdurzyło na cały głos. Kobiety były odpicowane jak ta lala – białe buty do bioder, fryzury à la Dolly Parton, fioletowe albo pomarańczowe mikrominiówki, słowem – pełne wyposażenie. Jeśli to nie były prostytutki, to chciałbym poznać ich pracodawcę.

W każdym razie hałasowały, śmiały się i szwargotały jak najęte. Stałem około dziesięciu metrów od nich, podczas gdy pies skubał trawę. Nagle któryś z punków wytknął głowę spod koca i wrzasnął na dziwki, żeby się zamknęły. Większość ludzi się ich boi, bo wyglądają dziko i reagują dramatycznie głośno. Przechodnie omijają ich z daleka. Ale nie te kobiety. Przekrzykując punków, kazały im się odpierdolić. No i zaczęło się. Rozpętała się wściekła wojna na słowa między punkami, których wyrwano ze słodkiego snu, i prostytutkami, które właśnie kończyły nocną zmianę. Po chwili jeden z mężczyzn musiał rzucić jakimś mocnym słowem, ciężką obelgą, bo kobiety wpadły hurmem do parku i z przeraźliwym skowytym rzuciły się na leżących. Wyglądało to jak scena bijatyki w filmie rysunkowym, gdzie psy i koty tłuką się tak zajadle, że zlewają się w jeden wielki, wirujący mętlik. Najzabawniejsze w tym wszystkim było to, że większość punków usiłowała kryć się w śpiworach, podczas gdy atakujące kobiety kopały ich i darły się na nich. Niektórzy podjęli walkę, ale jak na władców tego małego wszechświata, napędzających stracha parkowiczom, stanęli raptem wobec prawdziwych twardzielek, które nic sobie nie robiły ze szpanu ich czarnych skór.

Ty za młodu

Od czasu do czasu mam takie dni, w których patrzę na ludzi i zastanawiam się, jak wyglądali i jacy byli w dzieciństwie. Około trzydziestoletnia kelnerka w kawiarni jest apodyktyczna, korpulentna i aż do bólu praktyczna, ale kiedy ją poznać bliżej, okazuje się miłą osobą. Czy zawsze taka była? Czy rozstawiała inne dzieci po kątach placu zabaw, czy zjadała zbyt wiele ciasteczek i za wcześnie zaczęła się malować? A ten szczupły mężczyzna w średnim wieku stojący w księgarni, który co chwila strząsa nerwowo włosy z czoła i uparcie trzyma ręce w kieszeniach. Czy jako mały chłopiec zachowywał się zupełnie inaczej, dopóki z jakiegoś powodu – traumy, złamanego serca, wstrząsu, który przestawił kompas jego duszy – nie przeszedł głębokiej metamorfozy, mając dwadzieścia parę lat? A może całkiem naturalnie wyrósł z wczesnej agresji i stał się kimś innym, nowym?

W niektóre dni bywa odwrotnie: patrzę na dzieciaki i zastanawiam się, co z nich wyrosnie. Ale dzisiejszemu dniu przyświeca pytanie: „Ile małego Jasia zostało w dużym Janie?”.

Dystans łagodności

Czasami, kiedy podchodzisz do nieznajomej osoby, najpierw widzisz jej młodszą twarz. Tę twarz, którą miała przed laty. Zbliżając się, dostrzegasz więcej szczegółów – i jej obecna twarz staje się wyraźniejsza, dominuje nad dawną. A więc tak wyglądała ta kobieta, mając dwadzieścia lat. Z każdym krokiem coraz bardziej widać jej czterdziestkę. Kobieta staje się tym, kim jest. Przypuszczam, że odległość używa oczom łagodności.

Niewidzialne listy

W powieści *Herzog* Saula Bellowa dotknięty emocjonalnym kryzysem protagonista pisze listy, o których wie, że nigdy ich nie wyśle, do rozmaitych ludzi – żyjących i umarłych, sławnych i nieznanymi – ażeby zrzucić z piersi ciężar niedoli. Pewien człowiek powiedział mi, że po przeczytaniu książki Bellowa zaczął stosować tę samą praktykę. Tyle że on pisze niewysłane listy wyłącznie do ludzi ze swego otoczenia. Do byłej dziewczyny z wyznaniem, że wciąż za nią tęskni. Do niczego niepodejrzewającego kolegi z pracy z sugestiami, jak tamten mógłby skuteczniej pracować itd., itp. Uznałem pomysł za interesujący, zapytałem jednak, czy aby nie czuje się sfrustrowany, mając świadomość, że adresaci nie otrzymają jego listów i nie poznają jego uwag. Nie, nie bardzo, odparł. Przez bardzo długi czas pisał i dopieszczał swoje widmowe listy. Poświęcił im tyle energii, że nauczył się precyzyjnie wyrażać własne stany emocjonalne dotyczące tych kwestii, i była to sama w sobie wystarczająca przyczyna, żeby robić to nadal. Przypomniało mi się zdanie pewnego pisarza: „Piszę, by odkryć, co naprawdę sędzę”.

Małysznie

Opowiedziała mu, że w drodze do pracy rano jakimś cudem pięć razy pod rząd przejechała na zielonych światłach. Skinął głową ze zrozumieniem i powiedział: „Małysznie”. Gdy pokręciła zdezorientowana głową i zapytała, o co chodzi, wyjaśnił, że wymyślił to słowo, by opisać małe cuda, które przytrafiają się nam niekiedy – na przykład gdy pięć razy przejedziemy na zielonym świetle. „To zbitka dwóch słów: mały i pyszny, których sens spotyka się gdzieś pośrodku”.

Podaj dalej

Znam kogoś, kto zapoczątkował fajną tradycję. Jako młody człowiek dostał bzika na punkcie gitary. Poznał eksperta, który nie tylko nauczył go grać na niej lepiej, ale ponadto, gdy się rozstawali, sprzedał mu starą gitarę Martin D-28 za śmieszne 100 dolarów. Podobno jest to pierwszorzędny instrument. Kiedy chłopak zapytał, skąd taka wspaniałomyślność, tamten odparł, że jego obsesja jest warta świetnej gitary. Po latach, jako dorosły mężczyzna, spotkał nastolatka, który także nie umiał żyć bez gry na gitarze. Powiedział mu o swoim starym Martinie D-28 i zaproponował, że mu go pożyczy. Dzieciak oszalał z radości. Dał mu instrument na miesiąc i życzył dobrej zabawy przy wyciskaniu z niego siódmych potów...

Gdy chłopak chciał oddać gitarę, mężczyzna odmówił jej przyjęcia. Niech ją zatrzyma tak długo, jak chce, ale po jakimś czasie – za kilka, kilkanaście lat – niech odda ją za darmo komuś, kto ma takiego samego bzika jak on. Niech gitara krąży z rąk do rąk, pod warunkiem że będzie kochana.

Wyraz twarzy

Wyraz twarzy człowieka biegnącego do metra albo autobusu, gdy drzwi zamykają mu się przed nosem.

Wyraz ich twarzy, gdy obserwują baraszkujące na chodniku szczeniaki.

Wyraz ich twarzy, gdy wychodzą z publicznego szaletu, odciążeni i otępiali.

Wyraz twarzy dziecka ruganego przez dorosłego.

Wyraz twarzy policjanta, gdy ktoś mu tłumaczy jego pomyłkę.

Wyraz twarzy babci albo dziadka patrzących na wnuczka liżącego loda.

Wyraz twarz obojga kłócących się zajadle kochanków.

Wyraz twarzy mężczyzny słuchającego wyjaśnień swojej nowej kochanki.

Wyraz twarzy studenta, gdy nagle zrozumie nowe, trudne pojęcie.

Wyraz twojej twarzy, kiedy czytasz ten tekst.

Mebłując nową historię

Ostatnio pytano mnie kilkakrotnie, jak się czuję, przystępując do pisania nowej powieści. Męczyłem się trochę z odpowiedzią, dopóki nie przypomniałem sobie pewnego zajścia. Dwadzieścia lat temu siedziałem w opustoszałym pokoju nowego mieszkania, które wtedy wynajęliśmy i w którym mieszkamy do dzisiaj. Meble i reszta przedmiotów miały przyjechać nazajutrz. Wpadłem tam dzień wcześniej, żeby sprawdzić, czy wszystko gra i buczy. Upewniwszy się, że tak jest, usiadłem na środku podłogi i rozglądałem się dłuższy czas po salonie. Właśnie odświeżono w nim parkiet i wokół unosił się ostry zapach wosku. Ściany pokryto białą farbą. Wnętrze było puste. Pamiętam, z jaką rozkoszą siedziałem w tym pomieszczeniu, wiedząc, że nazajutrz zapełni się ono naszymi meblami, sprzętami i innymi przedmiotami. Mieliśmy tu mieszkać ładnych parę lat, cała rodzina była zachwycona wielką, nową przestrzenią. W tej chwili to puste miejsce było czymś pomiędzy, zarazem domem i niedomem. Niby należało do nas, ale nie do końca. Było dziewicze. Czyste. Niewątpliwie chcieliśmy je mieć.

Właśnie TAK się czuję, kiedy zaczynam pisać nową powieść. Wybrałeś sobie miejsce do życia na kolejne lata, ale jego wnętrze świeci pustkami. Tylko ściany, podłogi i okna. Skoro wybrałeś sobie tę właśnie, a nie inną przestrzeń, musisz ją teraz umeblować. Czekasz na to zadanie niecierpliwie, choć zdajesz sobie sprawę, że zajmie ci ono spory kawał czasu. Przed paroma dniami słuchałem wywiadu z pisarzem Junotem Diazem, który oświadczył, że swoją najnowszą powieść pisał jedenaście lat. Jedenaście lat czy pół roku – wszystko jedno. Pisarz wybiera do zamieszkania określoną przestrzeń. Następny krok polega na wypełnieniu jej tym, co ma najlepszego, jedynymi meblami, które potrafi wykonać albo których potrafi poszukać. Jeśli mu się poszczęści i dobrze się spisze, można mieć nadzieję, że każdy, kto go potem odwiedzi, będzie oczarowany jego pracą i zechce zagościć tam na dłużej.

Szklane kulki

To pewne jak amen w pacierzu: ilekroć spotykam panią X, bierzemy na tapetę jej szurniętą rodzinę. Większość ludzi ma kilka dyżurnych tematów, które, choć może nie są tego świadomi, ciągle ich nurtują. Ustawicznie i pod byle pretekstem wracają do nich w rozmowach. Jeden z moich znajomych wiecznie narzeka na trudności życia codziennego. Nic mu nie pasuje; nic nie funkcjonuje tak, jak powinno. Inny przyjaciel rozprawia o ciągłym wyzwaniu, jakim jest dla niego znalezienie odpowiedniej partnerki życiowej. Jeszcze inny mówi o rynku nieruchomości – gdzie i co najlepiej kupić. Jestem pewien, że gdybym oznajmił któremuś z nich: „Czy wiesz, że wałkowaliśmy ten temat już miliony razy przez wiele lat?”, nie posiadaliby się ze zdumienia. Oto interesujący eksperyment: wyjść z własnej skóry i zapytać, jakie są moje „dyżurne tematy”? Co tłucze mi się wciąż po głowie i sercu jak szklane kulki w pralce?

Paląc po ciemku

Trzy kobiety w bramie. Ich długie białe laski wskazują, że są ociemniałe. W drugiej dłoni trzymają papierosy. Gawędzą między sobą i palą radośnie. Widać, że to stare palaczki. Jako były koneser tytoniu, gapiąc się na nie, zastanawiam się, na czym polega przyjemność z palenia, którego nie można zobaczyć. Pamiętam, że dawnymi czasy zdarzało mi się przypalać w ciemnościach, ale nie sprawiało mi to aż takiej frajdy, bo nie widziałem wychodzącego z ust siwego dymu. Palenie to smak plus widok. Teraz jednak, patrząc na te ćmiące z rozkoszą kobiety, raz jeszcze uprzytamniam sobie, jak wiele różnorodnych światów otacza nasz świat i przecina się z nim. Mimo że mijamy się na tej samej ulicy, ulica ociemniałych jest przecież inna niż ta widzących, głuchoniemych, małych dzieci, osób starych, upośledzonych, zakochanych, śmiertelnie chorych, niskiego lub wysokiego wzrostu... Kimkolwiek jesteś, twoje utrapienia, przyjemności i spostrzeżenia należą do ciebie, inni ludzie podzielają je rzadko. Mijając stojące w bramie kobiety, zastanawiam się, czy istnieją powody (ja nigdy w życiu ich nie zrozumieję), dla których palenie papierosów może być dla niewidomego czynnością dziesięć razy bardziej zmysłową i satysfakcjonującą niż dla kogoś, kto widzi rozbłysk zapalniczki, dym, pomarańczowy ogień i opadający słupek popiołu...

Świetna książka i kiepska pizza

Nie wiem jak wy, ale ja pamiętam niektóre książki nie tyle z racji tematyki, ile raczej ze względu na okoliczności, w jakich odbywała się lektura. Przedwczoraj gmerałem w antykwarycznym koszu z książkami i natknąłem się na bardzo dobrą powieść, którą przeczytałem przed wielu laty. Momentalnie przypomniałem sobie miejsce, w którym ją czytałem tamtego zimowego dnia – jedyną w Wiedniu restaurację Pizza Hut. Austriacka wersja PH była, mówiąc wprost, gówniana; lokal zresztą zniknął wkrótce potem, a cała sieć zwinęła się przed laty, wlokąc za sobą podkulony ogon z mozzarelli. Ale tamten zimny, mokry dzień i czytanie książki w restauracji, już po niestrawnym posiłku, tylko dlatego, że fabuła owinęła mnie sobie wokół palca – wszystko to pozostało we mnie do dzisiaj. Zapewne autor nie byłby zadowolony, usłyszawszy, że jego dzieło nierozzerwalnie łączy się w moim umyśle z ponurą knajpą serwującą ohydne żarcie, ale cóż począć?

Jedną z moich ulubionych powieści, *Lata świetlne* Jamesa Saltera, zacząłem czytać w sierpniowe popołudnie na balkonie z widokiem na romantyczną szwajcarską dolinę, akurat gdy nad Alpami zaczęło grzmieć i błyskać. Od pierwszych stron wiedziałem, że będzie to wyjątkowa książka. Cały czas jednak popatrywałem na ten bajeczny krajobraz, nadciągające śliwkowe chmury, na kwitnące drzewa miotane przez porywy wiatru. Książka, balkon, uderzające do głowy górskie powietrze, zbliżająca się burza: jedna z tych rzadkich, świętych chwil, kiedy człowiek tak bardzo cieszy się, że żyje, iż każdy cal jego duszy mówi „dziękuję”.

Kiedy umarłem

Kiedy prowadziłem zajęcia z pisania kreatywnego, jedno z pierwszych zadań polegało na napisaniu opowiadania pt. *Kiedy umarłem*. Dzieciaki mogły pisać, co tylko chciały, traktując temat jako punkt wyjścia.

Pewien mój obrotny znajomy – kolekcjoner książek – przysłał mi niedawno wypis z ekskluzywnego katalogu białych kruków. Sprzedawca oferował jedną z moich wczesnych powieści, opatrzoną autografem autora, za horrendalnie wysoką cenę. Dlaczego? Dlatego, że umarłem.

Zawarty w katalogu opis głosi między innymi: „W latach 80. J. Carroll mieszkał w Europie, gdzie napisał trzy powieści. Po kilku latach powrócił do USA, gdzie umarł”. Jestem ciekawy, jak ten handlarz tłumaczy fakt, że odkąd Carroll zmarł, opublikował siedemnaście nowych książek. Może uważa, że to inny Jonathan Carroll. Albo ten sam Carroll, tyle że facet napisał tak dużo rzeczy za życia, że wydawano je całe lata po tym, jak autor spoczął sześć stóp pod ziemią. A może Carroll ma swojego autora widmo. Albo sam jest widmem. Albo...

Prośba o wyjaśnienie

Mój sąsiad to miły i uprzejmy człowiek, ale jeden z najgorszych kierowców, jakich widziałem na oczy. To istny cud, że jeszcze kogoś nie zabił albo że sam nie zginął w wypadku samochodowym. Któregoś razu upadłem chyba na głowę i zgodziłem się wsiąść do auta, które prowadził. Zanim dotarliśmy na miejsce, postarzałem się o sześć miesięcy. Jechał jak niebezpieczny i chamski wariat – jakby mu się paliło, a na drodze nie było innych pojazdów. Dziś zobaczyłem, jak pędzi ruchliwą ulicą i nie zwalniając, przejeżdża na świetle, które właśnie zmieniało się na czerwone. Jakiś czas temu zapytałem jego syna, czy tato miał kiedykolwiek wypadek. Nie, nie miał.

Znam pięcioro ludzi, o których można powiedzieć, że są z gruntu źli. Chyba nie muszę rozwijać tej kwestii, wszyscy wiemy, o kim mowa. Wybitna poetka Diane Wakoski wydała niegdyś zbiór wierszy *Tańcząc na grobie sukinsyna* i ta piątka znakomicie spełnia kryteria zawarte w tytule. Po ich śmierci świat będzie odrobinę lepszy. Nikt z nich jednak (o ile mi wiadomo) nie został ciężko doświadczony przez życie, a co najmniej dwójka odnosi sukcesy i wydaje się szczęśliwa. Innymi słowy, żaden z tych typków nigdy nie miał „wypadku”. Przed laty w Ameryce ukazał się bestseller pod tytułem *Kiedy złe rzeczy zdarzają się dobrym ludziom*. Była to podjęta przez teologa próba wyjaśnienia, dlaczego „tylko dobrzy umierają młodo”. Jednakże dużo bardziej niezrozumiały i zatrważający jest sens przeciwny: kiedy dobre rzeczy zdarzają się złym ludziom.

Psy języka

W letni dzień wybrali się razem na rynek. Zawsze wyglądała świetnie, lecz tamtego popołudnia aż tryskała urodą i energią. Kiedy siedzieli w kafejce pod gołym niebem, zerknął na nią i pomyślał, jak bardzo jest z niej dumny, szczęśliwy, że stała się częścią jego życia. Był dumny, że jest z nią i że ona go kocha, pożąda. Co za szczęście. Chciał jej o tym powiedzieć, wyjaśnić przyczyny swojej dumy. Już-już miał się odezwać, ale najpierw przeszkodziła mu nieśmiałość, a potem kelnerka zbliżająca się do ich stolika. Trzymał język za zębami.

Parę miesięcy później wyjechała na dłuższy czas z miasta. Przysłała mu swoje zdjęcie, na którym uśmiechała się w sposób, od którego zaparło mu dech w piersi. Wysłał jej wiadomość, pisząc, że uwielbia to zdjęcie i że jest z niej dumny. Nie podał bardziej konkretnych powodów. Krótko i treściwie: Patrzę na to zdjęcie i jestem z Ciebie dumny. Odpowiedziała mu poirytowanym mailem, że nie podoba jej się słowo „dumny” i że użył go w takim kontekście, jakby opisywał jakiś *projekt*.

Przerażony, że tak opacznie zrozumiała jego słowa – a raczej to, co wzięła za jego słowa – ponownie przeczytał „obraźliwą” wiadomość, ale nie dostrzegł tam najdrobniejszej sugestii „projektu”, którą mu przypisywała. Napisał długi, szczegółowy list, w którym tłumaczył jej swoje intencje – ale czy to wystarczy?

Ni stąd, ni zowąd jedno czułe słowo objawiło swoje groźne, zdradzieckie oblicze. Język, który oboje kochali, rzucił się na nich, kłapiąc paszczą jak wściekły pies. Zdarzenie to nie dawało mu spokoju. Przypomniało mu jeszcze raz, jak wąta bywa nić porozumienia między ludźmi, choćbyśmy byli przekonani, że jeśli chodzi o *tę osobę*, jest ona mocna i trwała jak stal. Nawet w odniesieniu do naszych najbliższych, którzy – wierzymy w to głęboko – rozumieją nas najlepiej na świecie.

Kleopatra z supermarketu

Ma papierosa w długiej bursztynowej cygarniczce i długie, nieskazitelnie wypielęgnowane paznokcie; podnosi do ust filiżankę kawy z ekspresu i upija łyżek, obserwując, jak toczy się świat. Siedzi na swoim stałym miejscu w kawiarnianym ogródku. Przy dobrej pogodzie widuję ją kilka razy w tygodniu, przechodząc tamtędy wczesnym rankiem. Zawsze jest dobrze ubrana, z pewnością przykłada się do wyglądu. Jedyne, co może razić, to tusz do rzęs, którym pacykuje się jak cygańska wróżka z objazdowego cyrku. Reszta sprawia wrażenie dobrego smaku albo wymuszonej elegancji (cygarniczka). Ale to właśnie makijaż zdradził mi jej tożsamość, gdy pierwszy raz zobaczyłem ją siedzącą w kawiarni. Po drugiej stronie ulicy bowiem znajduje się duży supermarket, w którym pracuje jako kasjerka; witałem się z nią ze sto razy. W pracy nosi długi biały kitel, który przypomina strój lekarza albo technika laboratoryjnego. W kontaktach z klientami jest uprzejma, ale nie nadmiernie sympatyczna. Jeśli uśmiechnie się półgębkiem w odpowiedzi na twoje „dzień dobry”, to odniosłeś zwycięstwo. Ale nawet wtedy, przy kasie, ciężki makijaż ją zdradza – mówi, że jej życie nie sprowadza się tylko do znajomości ceny selera, że ma inne wyobrażenie samej siebie. Że jej prawdziwe „ja” – kobieta, którą chce być – żyje na co dzień w kawiarni naprzeciwno, zanim pojawi się w pracy. Cieszę się, że znam ją w obu rolach.

Paulie odszedł

Staruszka podchodzi do mnie na ulicy i oznajmia bez wstępów:

– Paulie zmarł.

Jestem zdezorientowany, ale po sekundzie dociera do mnie, z kim mam do czynienia i o co jej chodzi. Staruszka i jej leciwy pies mieli zwyczaj przez wiele godzin chodzić po osiedlu. Paulie ledwie się poruszał, lecz jej najwyraźniej to nie przeszkadzało. Widywałem ich z samego rana i późnym wieczorem: posuwali się wolno, pies obwąchiwał ciągle miejsca, o których było wiadomo, iż obwąchał je już dziesięć tysięcy razy.

– Ile miał lat?

– Osiemnaście. Rano po prostu się nie obudził.

Odczekuję chwilę, po czym mówię jak najdelikatniej:

– No cóż, osiemnaście lat to dobre, długie życie.

– Zawsze pana lubił.

– Tak?

– Tak, wiem, że cieszył się na pana widok. Uważał pana za przyjaciela.

Chcę coś powiedzieć, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Wyduszam z siebie tylko „dziękuję”.

Kobieta kiwa głową i odchodzi.

Realizm niemożliwy

Choć termin „realizm niemożliwy” brzmi jak oksymoron, ma on swoje uzasadnienie, jeśli tylko zechcemy wyrzeć poza codzienność i otworzyć się na zdumienie, które ogarniało nas w dzieciństwie. Zarówno szmatławate horrory, jak i wielkie dzieła wyobraźni wyłamujące się z utartych schematów mają jedną wspólną cechę: najlepsze z nich wprawiają publiczność w oszołomienie, powodując, że szeroko otwieramy oczy i zakrywamy usta. Doprowadzają nas do łez, śmiechu albo okrzyków zachwytu, które rzadko się słyszy na półmetku życia. Tak silnie potrafią przemówić do naszej wyobraźni, że dobrowolnie porzucamy szarą codzienność, by zamieszkać w świecie, w którym istnieją orkowie, w którym Freddy Krueger przebija szponami ścianę, a Gregor Samsa budzi się rano i odkrywa, że zamienił się w robaka. Żyjąc w tej nadzwyczajnej rzeczywistości, jesteśmy w pełni przytomni i zaangażowani, myślimy sercem zamiast mózgiem, podążamy za tokiem opowieści, która wzięła nas w niewolę.

Wielu dorosłych jednak uważa zdumienie za wstydliwą przyjemność: coś w rodzaju czytania komiksów, podjadania czekolady czy występów karaoke. Coś żenującego, czego w pewnym wieku nie wypada robić i do czego nie należy się przyznawać w Świecie Dorosłych. Z drugiej strony wystarczy wspomnieć takie nazwiska, jak Murakami (wielkie gadające żaby), Gogol (nosy w bochenkach chleba), Ionesco (i jego hipopotamy), Jonathan Lethem (zwierzęta w rolach prywatnych detektywów), co bardziej niesamowite opowiadania Hawthorne’a, Julia Cortazara (i jego człowieka aksolotla), Goethego i Christophera Marlowe’a (doktor Faust) – żeby intelektualne snoby z pokorą pochyliły głowę.

Czy może być coś bardziej realistycznego niż łóżko? Kiedy wślizgujemy się nocą pod kołdrę, to tak, jakbyśmy opuszczali gardę, mówiąc: „Na dzisiaj koniec”. Gasząc światło, spodziewamy się, że z tą chwilą zapadniemy się w ciemność. Ale czy na pewno? Co z tym pracującym nieustannie silnikiem zwanym nieświadomością, który raz po raz zaskakuje nas nowym remiksem dni, tygodni, całego życia? Ileż to razy po przebudzeniu się pytamy samych siebie: skąd się wziął TEN SEN?

Napisałem krótkie opowiadanie (patrz zbiór moich opowiadań zebranych), w którym łóżko wyjawia najintymniejsze marzenia swoich właścicieli, nawet jeżeli wcale sobie tego nie życzą. Pomysł przyszedł mi do głowy po zbyt długim wgapieniu się w czarno-białą fotografię autorstwa Walkera Evansa. Ukazuje ona niezaścielone łóżko, jakby ktoś właśnie z niego wyszedł po całonocnych koszmarach albo rozwichrzonej namiętności. Widziałeś je setki razy – ponieważ to

łóżko należy do ciebie. A gdybyś obudził się któregoś ranka i odkrył, że łóżko przeszło metamorfozę? Gdyby ten najnormalniejszy w świecie sprzęt przeistoczył się w coś... niemożliwego?

Pan Brown

„Kiedy wiedział pan, że chce zostać pisarzem?”

Nie da się odpowiedzieć na tak postawione pytanie, bo to tak, jakby poprosić kogoś o wskazanie momentu, który ostatecznie zdecydował o jego życiu. „Kiedy postanowił pan, że chce naprawiać wentylatory/projektować ubranka dla Barbie/gotować tajskie potrawy...?” Większość ludzi, słysząc takie pytanie, wzruszy ramionami: „Nie mam pojęcia”. Istotne decyzje zapadają zwykle w mniej dramatyczny sposób; zachodzą nas od tyłu. Gdy odwracamy się, żeby zobaczyć, kto klepnął nas w ramię, wołają: „Ha!”. Jak to się stało, że jesteś tu, gdzie jesteś? Nie wiem, życie zaszło mnie od tyłu... W przypadku niektórych ludzi jednak można wskazać ten decydujący moment. Moment, w którym nagle zdarza się coś, co obraca nas w określonym kierunku. Niektórzy mają przy tym szczęście, inni przeżywają tragedię albo działają powodowani kaprysem lub rozpaczą... Przyczyny bywają różne. Nie wiem, kiedy zdecydowałem się być pisarzem, ale wiem dokładnie, kiedy zdarzył się moment, który nakierował mnie na ten zawód.

W liceum czułem się źle i byłem zły – a takie połączenie nie wróży nastolatкови nic dobrego. Zarówno ja, jak i moje zachowanie zmartwiło rodziców tak bardzo, że posłali mnie do konserwatywnej męskiej szkoły w Connecticut, w której uczniowie nosili marynarki z krawatem, a lekcje odbywały się nawet w soboty. Może nie było tam aż tak źle jak w Pencey Prep, dokąd trafił Holden Caulfield w *Buszującym w zbożu*, ale ja odebrałem to jako koszmarnie doświadczenie. Do dziś nie wybaczyłem szkole tego, jak potraktowała moją duszę. Zupełnie nie pasowałem do tego środowiska, dosłownie nie miałem się gdzie podziać. Przez dwa i pół roku zawałałem wszystko, czego się tknałem: przedmioty, przyjaciele, sport. Plama za plamą. Ledwo-ledwo udało mi się dotrzeć do następnego roku. Nie mogłem się doczekać, kiedy wyniosę się stamtąd do diabła, i po prostu zabijałem czas do chwili, gdy dadzą mi dyplom i święty spokój.

Potem stało się coś dziwnego. Ojciec był znanym scenarzystą, więc buntowałem się przeciwko niemu oraz temu, co reprezentował. Z języka angielskiego dostawałem trójczyny i byłem dumny, że nie piszę ani nie czytam nic poza lekturami obowiązkowymi. Ni stąd, ni zowąd jednak pewnego dnia usiadłem i napisałem opowiadanie na podstawie pomysłu, który wpadł mi do głowy. Nie, nie: właściwy moment jeszcze nie nadszedł. Napisałem swoją historyjkę i zapytałem nauczyciela angielskiego, pana Browna, czy zgodzi się ją przeczytać. Był to miły człowiek, który przed laty opublikował kilka opowiadań na łamach „New Yorkera”, w związku z czym traktowano go w szkole jako pisarza rezydenta.

Powiedział, że odezwie się w ciągu paru dni. Dałem mu swój tekst i zapomniałem o wszystkim. Aż do wieczora.

Wyobraźcie sobie uroczy kampus z filmu *Stowarzyszenie Umarłych Poetów*. Wyobraźcie sobie budynki z czerwonej cegły, z murami porośniętymi bluszczem, i hordy długowłosych nastolatków maszerujące w stronę jadalni. Jest godzina osiemnasta. Piękna wiosenna pogoda. Jak zwykle trzymam się na uboczu, idąc za hordą do jadalni. Nie pamiętam, o czym wtedy myślałem, ale pamiętam swoją reakcję, gdy usłyszałem, że ktoś dorosły wyrzaskuje moje nazwisko. Natychmiast skuliłem głowę w ramiona niczym skarcony pies. Choć nie zrobiłem nic złego, szkoła tak bardzo dała mi w kość, że automatycznie spodziewałem się wszystkiego najgorszego, zwłaszcza ze strony osoby dorosłej. Obróciłem się wolno i zobaczyłem pana Morrisa Browna biegnącego w moją stronę chodnikiem. Biegł i wołał mnie po nazwisku: „Carroll! Carroll!”. Co przeskrobałem tym razem? Musiała to być jakaś grubsza sprawa, bo nauczyciele nie biegają po szkole. Podczas gdy gorączkowo przetrząsałem pamięć w poszukiwaniu popełnionego grzechu, pan Brown machał do mnie plikiem papierów, które trzymał w uniesionej ręce. „Carroll! To jest *wspaniałe* opowiadanie! Napisałeś naprawdę wspaniałe opowiadanie!” Cały czas wrzeszczał do mnie i potrząsał papierami. *Moimi* papierami. Moim opowiadaniem.

To wtedy. Wówczas zdarzył się ten moment. Do dnia mojej śmierci ten obraz będzie zajmował centralną ścianę mojego umysłu: Pan Brown biegnie ku mnie, krzycząc, że wreszcie zrobiłem coś wspaniałego.

Poprawna odpowiedź brzmi „tak i nie”

Znajoma nauczycielka literatury ucieka się do pewnej sztuczki: daje uczniom do przeczytania nadzwyczaj trudny tekst (np. wiersz Stefana Mallarmego *Wiatr morski*). Następnie prosi ich, aby wyjaśnili, o co w nim chodzi. Za każdym razem słyszy tę samą odpowiedź – nie wiemy, przy czym uczniowie dają do zrozumienia, że nic ich to nie obchodzi, bo po co marnować czas na taki denny wiersz? W porządku, mówi nauczycielka, pomogę wam go zrozumieć. I udziela im znakomitych, drobiazgowych wyjaśnień, tyleż oświecających, co zabawnych. W miarę jej wypowiedzi oczy uczniów otwierają się szeroko i rozlegają się pomruki – ahaa, no tak, teraz rozumiemy. Może ten wiersz nie jest taki najgorszy. W następnej chwili jednak nauczycielka przekreśla całą interpretację i oznajmia im, że kłamała – wiersz mówi o czymś zupełnie innym. A mianowicie O TYM: i podaje następną fascynującą interpretację, która brzmi całkiem sensownie. Uczniowie patrzą na nią sceptycznie. Czy ten wiersz naprawdę jest o tym? – odzywa się któryś. Nie, odpowiada z uśmiechem, po czym wygłasza trzecią genialną interpretację. Wtedy wszyscy są już porządnie zirytowani, sfrustrowani i... przebudzeni. Cała klasa chce się dowiedzieć, KTÓRA INTERPRETACJA JEST POPRAWNA. Nauczycielka wzrusza ramionami i oświadcza: „Może wszystkie. Może żadna. Koniec lekcji”. I wychodzi z sali.

Przypomina się chińskie przysłowie: Nauczyciele otwierają drzwi. Ale wejść musisz sam.

Świąteczna chwila

Jest grudniowe popołudnie, wracam do domu około wpół do szóstej. Ciemno choć oko wykol, lśniące ulice zmyte deszczem; zaciąga nieprzyjemny zimowy wietrzyk. Kilka metrów od mojej kamienicy zbliża się do mnie mężczyzna niosący na rękach dziecko. Dziewczynka, trzy- lub czteroletnia, wygląda na zmęczoną i przemarzną. Opiera główkę na ramieniu ojca, z kciukiem w ustach. W chwili gdy mam skręcić do wejścia, jej buzia rozjaśnia się taką radością, że staję jak wryty. Dziewczynka i tato uśmiechają się od ucha do ucha. Nie mogę się nie odwrócić i nie spojrzeć za siebie, by sprawdzić, co ich tak ucieszyło. W naszą stronę drecze wielgachny mężczyzna w stroju Świętego Mikołaja. Ma ponad dwa metry wzrostu i ogromną tuszę. Największy Mikołaj, jakiego w życiu widziałem, maszeruje przez zimowy mrok w stronę małej dziewczynki. Jakby zmaterializował się z powietrza, specjalnie na to spotkanie. Podchodzi do niej, zatrzymuje się i zaczyna rozmowę. Nie chcę słyszeć ani słowa z tego, co mówi, chcę zachować czystość tej chwili i uważać go za najwspanialszego Mikołaja w dziejach świata. Wchodzę czym prędzej do domu. Jakie myśli przelatują przez głowę dziewczynki? To niewątpliwie jedno z tych wspomnień, z którymi człowiek dorasta i starzeje się, które przez lata upiększa, uśmiechając się za każdym razem.

Wybraniec

– *Rozumiesz* mnie, i to jest niesamowite.

– Proszę?

– Pomyśl chwilę, mówię serio – zastanów się na tym. W ciągu twojego życia ilu ludzi tak naprawdę cię zrozumiało? Ciebie w całości, nie tylko we fragmentach, nie tylko poczucie humoru, wyobraźnię, marzenia, intuicje... Ilu zrozumiało twoją niepowtarzalną interakcję ze światem? Myślę, że jeśli dopisze nam szczęście, to znajdzie się garstka takich, którzy zrozumieją nas i nasze życiowe wybory. Ale co ważniejsze, docenią to, jak wymieszaliśmy naszą wiedzę i doświadczenia, żeby ugotować z nich to, kim jesteśmy obecnie.

Prawda na twarzy tuż po

Przyjrzyj się minom ludzi żegnających się ze sobą. Z wyrazu ich twarzy, gdy tylko znajdą się „sami”, sporo dowiesz się o dynamice łączącej ich relacji. Trzymająca się za ręce para całuje się i rozchodzi w przeciwne strony. Mężczyzna ma twarz szczęśliwie zakochaną – ledwie się rozstali, już za nią tęskni. Na twarzy kobiety natomiast maluje się najwyższa ulga – radość, że znowu jest sama. Chłopiec żegna się z matką, która po dwóch krokach zerka za siebie, by zobaczyć, czy wszystko z nim w porządku... Jak to matka. Tymczasem chłopiec oddala się w podskokach, beztroski, wolny człowiek. Dwóch robotników w poplamionych farbą kombinezonach wymienia uścisk dłoni i odchodzi każdy w swoją stronę – na pierwszy rzut oka widać, jak dobrze im w swoim towarzystwie. Ich twarze mają niemal identyczne uśmiechy.

Na strychu pamięci

Czasem w życiu zdarzają się takie chwile – spadając na nas jak grom z jasnego nieba – gdy raptem przypominamy sobie coś, o czym nie myśleliśmy przez wiele lat. Wspomnienie zjawia się i odchodzi, dopiero teraz jednak dociera do nas, jak niezwykle wyjątkowe było to zdarzenie z przeszłości. Musiało upłynąć jeszcze kilka lat, musiałeś zebrać parę doświadczeń, aby zrozumieć, że niewiele innych przeżyć może się z nim równać. Wówczas kiedy zaszło, było, owszem, miłe, ale nic ponadto. Wcale zresztą nie musiała to być jakaś wiekopomna chwila...

Dzisiaj przypomniałem sobie obiad, który zjadłem z matką na wybrzeżu Long Island, kiedy miałem około dwudziestu lat. Nic szczególnego – obiad z mamą. Niemniej wszystkie jego elementy – gdzie byliśmy, co się działo, jaki los nas czekał – idealnie złożyły się na burzę szczęścia. Można się tylko smucić, że tak późno zdałem sobie sprawę, iż ten wspólny posiłek nie był po prostu miły – że stanowił jedną ze złotych chwil mojego życia.

Niespodziewany całusek

W szatni na siłowni jeden z mężczyzn zaczyna gwizdać. Jest nas tam kilkunastu: zamieramy zasluchani, bo facet jest po prostu fenomenalny. Pogwizduje sobie od niechcienia, przebierając się, też mi wielkie halo – ale robi to tak znakomicie, że mógłby dawać koncerty. Tryle, glissanda i inne ozdobniki, niesamowite rzeczy. Wierzyć się nie chce, co ten gość potrafi wyczarować na swoich wargach. Kończy się przebierać i żegna wesoło, nie mając pojęcia o wrażeniu, jakie na nas zrobił. Po jego wyjściu zapada cisza; popatrujemy jeden na drugiego, uśmiechając się nieśmiało, a nasze oczy mówią: „Coś nieprawdopodobnego!”.

To mi się w życiu podoba. Raz po raz pojawia się ktoś obdarzony nadzwyczajnym talentem – gwizdże, żongluje, tańczy, rysuje albo rozwiązuje w myślach skomplikowane równania. Ilekroć natrafimy na taką osobę, dzień staje się nagle większy, bardziej tajemniczy i z pewnością znacznie cudowniejszy, choćby na krótki czas. Całusek w policzek od życia.

Dom w mojej głowie

Zbuduj ten dzień, tę godzinę, ten moment... jakby to był ostatni dom, w którym zamieszkaż przed śmiercią. Nie oszczędzaj na materiałach, nie idź na łatwiznę, wbijaj gwoździe równo, wykaż się siłą i pomysłowością, na jakie cię tylko stać. Kiedy poczujesz wyczerpanie – co nastąpi wkrótce, jeśli będziesz pracował rzetelnie – wykorzystaj mięśnie, o których istnieniu dotąd nie wiedziałeś. Posłuż się nimi, by rozpocząć budowę domu, o którym marzyłeś przez całe życie, lecz dopiero teraz jesteś zdolny go sobie wyobrazić i wznieść. Cała wiedza, którą wyciągnąłeś z przeszłości, pozwala ci bowiem stanąć w tym miejscu i przystąpić do wielkiego dzieła, bez względu na to, ile liczysz sobie lat. Praca potrwa długo, zabierze ci być może resztę życia. Mimo to zacznij natychmiast, wznieś dach nad głową bez dalszej zwłoki. Gdyż niepogoda jest zawsze bliżej, niż nam się wydaje.

Luddyta i beżowy robot

Może jestem luddytą, troglodytą, a może innym „-dytą”, ale mam poważny kłopot z remontami. Rzadko kiedy udaje mi się przywyknąć do miejsc, zwłaszcza sklepów i restauracji, po tym jak je odnowiono, przebudowano, odrestaurowano, wyremontowano, zrewaloryzowano lub odświeżono. Gdy ulubiona restauracja zamyka się na kilka miesięcy, by potem ukazać się jasna i czysta, to nie przypomina już dawnej siebie. Nie to jedzenie, nie ta atmosfera. Chodzisz tam coraz rzadziej, aż któregoś dnia kompletnie znika ona z mapy twojego życia. Inny przykład: mała, ekscentryczna księgarnia w zaułku, w której spędziłeś niezliczone godziny, błąkałeś się szczęśliwy między stosami książek – ni to przeglądając je, ni to śniąc na jawie – odkrywałeś ciekawych, zapomnianych pisarzy, których słowa niekiedy poszerzały twoje horyzonty.

Pewnego razu zaszedłem tam i trafiłem na zamknięte drzwi; okna były oklejone od wewnątrz białą folią, a przyklejony do drzwi napis głosił „Zamknięte z powodu remontu”. Serce zamarło mi w piersi, ponieważ wiedziałem, że gdy księgarnia ponownie otworzy swoje podwoje, jej duchy, osobliwość, cały ekscentryczny urok prysną raz na zawsze. Zamiast nich pojawi się świeża farba, nowo wytyczone alejki, większe okna, wycyklinowana podłoga i nowiuteńka kasa fiskalna obdarzona duszą beżowego robota.

Obcy w twoim łóżku

Czekając na lotnisku, przypominałem sobie, jak pewnego razu zobaczyłem tam kobietę stojącą z dużym bukietem kwiatów w ręku i wielkim, tęsknym uśmiechem na twarzy. Elegancko ubrana, miała na głowie wręcz idealną fryzurę, która informowała, że właśnie wyszła od fryzjerki. Pomyślałem, że czeka na męża albo narzeczonego, gdyż nosiła obcisłą, seksowną suknię. I rzeczywiście, kilka minut później drzwi się otworzyły i wypłynął zza nich potok pasażerów. Jeden z nich – mężczyzna w garniturze z krawatem – musiał się jej wydać znajomy, bo ruszyła ku niemu pośpiesznie, cała w skowronkach. Facet wyglądał całkiem przeciętnie, nie odznaczał się niczym szczególnym. Była kilka kroków od niego, gdy naraz zatrzymała się jak wryta i wykonała ostre w tył zwrot. Najwyraźniej wzięła go za kogoś innego i w ostatniej sekundzie spostrzegła swoją pomyłkę. Upłynęło kilka dalszych minut, podczas których ludzie przychodzili i odchodzili, przy czym sytuacja powtórzyła się co do joty: otwarte drzwi, napływ ludzi, niepozorny mężczyzna, kobieta rusza przed siebie i zatrzymuje się w ostatniej chwili. Znowu błędna identyfikacja...

Zacząłem się wtedy zastanawiać, co by było, gdyby ktoś był mężem albo żoną osoby tak przeciętnej i podobnej do miliona innych ludzi, że wyściskałby ją na lotnisku, dałby jej kwiaty, ujął ją pod ramię i zawiózł do domu, żeby kochać się z nią na powitanie... i żadne z nich przez wiele dni nie zorientowałyby się w pomyłce.

Ona nie pasuje

Wczoraj natknąłem się przypadkiem na ulicy na kogoś, kogo nie widziałem od wieków. Wymiana pocałunków, jak się masz?, co u ciebie? Tere-ferere. Oznajmiła mi, że niedawno wprowadziła się na to osiedle i nie przyzwyczaiła się jeszcze do nowych sklepów, restauracji, itp., itd. Aby najkrócej streścić istotę tej kobiety: jest ona bardzo piękna, niezwykle charyzmatyczna i zdrowo rąbnięta. Nie wydaje mi się, abym znał kogoś drugiego, kto by złamał tyle serc, przy czym jej podboje są całkiem szczerze, wolne od jakichkolwiek podstępów. Ona po prostu taka jest – trudno dać sobie z nią radę. Za każdym razem, gdy spotykałem ją w przeszłości, żyła z kilkoma mężczyznami naraz, a żaden z nich nie miał pojęcia o pozostałych, dopóki go o tym nie poinformowała. Wtedy następowało wielkie BUM!

Odkąd się poznaliśmy, mniej więcej pięć lat temu, miałem ochotę umieścić ją w którejś ze swoich powieści, ale nie mogę jej rozszyfrować. Często jestem pytany o to, czy przy tworzeniu swoich bohaterów posiłkuję się znanymi sobie ludźmi. Potwierdzam, że tak robię, ale wprowadzam mnóstwo zmian i oczywiście uzyskuję ich zgodę. Rzecz przypomina przeróbkę nowego płaszcza – tu trzeba trochę skrócić, rękawy wydłużyć etc. Są jednak tacy ludzie, których chętnie widziałbyś w swojej książce, ale którzy po prostu nie dają się dopasować, nie pozwala ci na to jakaś nieuchwytna część ich osobowości.

Kiedy już się pożegnaliśmy, stałem na ulicy, patrząc, jak się oddala, i myślałem po raz nie wiadomo który: „Do diabła, byłaby genialna, ale nic z tego nie będzie”.

Hamburgerowy przyjaciel w twojej głowie

Mam czasem wrażenie, że niektórzy traktują Facebooka i Twittera jak bliskiego kumpla albo idealnego przyjaciela, który spija im z ust każdy komentarz, spostrzeżenie czy fanaberię. Kiedy ktoś zamieszcza post „Mam ochotę na hamburgera”, trudno się oprzeć wrażeniu, że jest przekonany, iż wysyła tę wiadomość do osoby, która jest nim autentycznie *zainteresowana*. Nie od dziś jednak wiadomo, że tego rodzaju zatroskani, kochający przyjaciele zdarzają się nadzwyczaj rzadko. Podobnie jak dzieci tworzą sobie wyimaginowanych przyjaciół, by dotrzymywały im towarzystwa, również ci użytkownicy mediów społecznościowych wysyłają swoje wiadomości do idealnych (ale wyimaginowanych) dorosłych, którzy mają istnieć – i ich słuchać.

Współzależni

Codziennie do parku przychodzi pewien mężczyzna, ściskając pod pachą psa, a w ustach ssąc krótkie cygaro marki Cohiba. Czternastoletni foksterier jest ślepy, głuchy i ledwo trzyma się na nogach. Mężczyzna regularnie jak zegarek stawia psa na trawniku, gotowy w razie potrzeby pokierować swoim przyjacielem, a potem zapala cygaro. Powiedział mi kiedyś, że mimo zaawansowanego wieku pies ma duży apetyt, cieszy się niezłym zdrowiem i wciąż kocha życie. Dopóki tak jest, obydwu łączy sympatyczna współzależność: parę razy dziennie pies zatacza się po trawniku, obwąchuje delikatnie różne rzeczy i sika, gdzie popadnie, jego pan zaś rozkoszuje się cygarem, które żona zabrania mu palić w mieszkaniu.

Adonis i trzmiel

Dawno temu, zajmując się dziennikarstwem, miałem na zlecenie męskiego czasopisma przeprowadzić wywiad ze sławnym projektantem mody. Z zasady nie przepadam za czytaniem wywiadów ze znanymi ludźmi, bo pytania, które im się stawia, są albo lizusowskie, albo agresywne. Pomyślałem, okay, pokuszę się o nietuzinkowe pytania – mam nadzieję, że otrzymam oryginalne odpowiedzi. Gdy doszło do wywiadu, pierwsze pytanie, jakie zadałem temu wybitnemu projektantowi, brzmiało następująco: „Co pan sobie myśli, widząc małego grubasa w pańskim garniturze za cztery tysiące dolarów? Albo podobną do ptaszyny anorektyczkę ubraną w pańską szykowną suknię? Czy to pana nie irytuje? Umówmy się: na rewiach mody pańskie ubrania są prezentowane przez piękne, zgrabne modelki, które wyglądają w nich nienagannie. Jak pan reaguje, widząc te same rzeczy na zwyczajnych ludziach – łysych, grubych, mających złą posturę i tak dalej?”. Projektant rozpromienił się w uśmiechu i odparł, że właśnie wczoraj, ku swojej wielkiej radości, zobaczył małego, otyłego mężczyznę mającego na sobie sweter w czarno-żółte paski, który nazywał „trzmiel”, a który zaprojektował dla Adonisa mającego metr osiemdziesiąt wzrostu. „Skąd ta radość? Stąd, że jeśli dobrze wykonałem swoją robotę, to mężczyzna, który przymierza w sklepie mój sweter i ogląda się w lustrze, nie widzi małego grubasa. Widzi siebie jako Adonisa w «trzmielu». Dlatego jest gotowy słono zapłacić za moje dzieło. Na tym polega magia wielkiego projektu. Nie – na tym polega magia wielkiej sztuki. Wszyscy prawdziwi artyści są w stanie, choćby na krótką chwilę, przemienić bestię w piękność”.

Grawitacja i flirt

Dwie starsze panie jedzą rybę. Siedzą w barze szybkiej obsługi, zajmując miejsca pod oknem, ale nie wyglądają na zewnątrz. Są pochłonięte rozmową. Muszą mieć dobrze ponad siedemdziesiąt lat, ubrane schludnie, ale nie odświętnie. Czasem trudno powiedzieć, jak starzy ludzie wyglądali dawniej, ich twarze bowiem, wydane na pastwę grawitacji i zmarszczek, zatracają swoje cechy szczególne. Zgoda, zdarzają się seniorzy o wystrzałowej prezencji, bez względu na ilość zmarszczek czy podbródków. Ta para jednak się do nich nie zalicza. Ot, zwykle starsze panie: jedzą obiad i rozmawiają, siedząc pod oknem. Zatrudniony w barze nastolatek przynosi jednej z nich świeżo upieczoną porcję frytek. Gdy zbliża się do ich stolika, obie kobiety rozjarzają się w uśmiechach. Dziękują mu i zaczynają z nim flirtować. Aż miło patrzeć, jak jego obecność je odmienia. Nagle znowu mają po siedemnaście lat i konkurują zaciekle o jego uwagę. Dzieciakowi wyraźnie w to graj, bo rozmawia z nimi, nie ruszając się z miejsca. Przyglądanie się flirtowi tych trojga sprawia mi taką frajdę, że raptem łapię się na tym, że od jakiegoś czasu mój widelec z jedzeniem tkwi nieruchomo w połowie drogi do ust.

Magiczne ciasteczka

Co roku na Boże Narodzenie moja przyjaciółka lekko upada na głowę i wypieka setki świątecznych ciasteczek, które następnie rozdaje przyjaciołom i współpracownikom. Każdy obdarowany otrzymuje kilogramowe pudło. Największy fanatyk ciastek nie zje ich wszystkich w mniej niż kilka tygodni. Ja swoją działkę dostałem parę dni temu. Niosąc pudło pod ręką, natknąłem się na złachanego bezdomnego, który najwyraźniej od cholernie dawna nie miał wesołych świąt. Poprosił mnie o pieniądze. Nie namyślając się, zaproponowałem mu swoje pudło ciasteczek. „Proszę, wesołych świąt!” Wyrwał mi je z rąk i obejrzał podejrzliwie, jakby obawiał się jakiejś sztuczki albo tego, że bomba zegarowa wybuchnie mu zaraz w twarz. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, zapytał nieśmiało, czy może je otworzyć i co jest w środku. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zobaczył piętrzącą się wewnątrz górę ciastek i twarz zmieniła mu się nie do poznania. „Ciasteczka!” – zawołał niemal jęklwym tonem. „Ciasteczka, ciasteczka, ciasteczka”. Powtarzał to słowo jak katarynka, wyciągając ciastka pełnymi garściami. Jedząc łapczywie, z uszczęśliwioną miną, wpatrywał się we mnie oczami dziecka, którym niegdyś był.

Ciasteczka

Ciasteczka

Ciasteczka...

Ostatnia choinka Jacka

Dwie godziny przedtem, zanim umarł mój pies Jack, poszliśmy oglądać choinki. Kilka dni wcześniej zdiagnozowano u niego raka z przerzutami, chociaż Jack miał zaledwie sześć lat. Weterynarz stwierdził, że choroba postępuje tak błyskawicznie, że najmiłosierniejsza rzecz, jaką mogę uczynić, to uspić psa, kiedy wciąż jeszcze jest przytomny i pełen *Lebensfreude*, jak to nazywają Niemcy.

Najwspanialszą cechą Jacka było jego poczucie humoru. Nigdy nie miałem psa, który by potrafił tak mocno mnie rozbawić. Ostatni poranek nie należał do wyjątków. Nie wiedzieć czemu, Jack zakochał się w choinkach. Uwielbiał je obwąchiwać i ocierać się o nie. Kiedy w domu stało świąteczne drzewko, był w siódmym niebie. Mieliśmy wielki ubaw, patrząc, jak Jack wącha je delikatnie, a potem staje w bezruchu jak naćpany, pozwalając, żeby gałęzie dotykały jego karku. Pisałem kiedyś, że w Wiedniu są punkty składowania choinek, z których wywozi się je potem na śmietnisko. Jedno z takich miejsc znajduje się w parku naprzeciw mojego mieszkania, toteż na ostatni spacer zabrałem go właśnie tam.

Był pierwszy tydzień nowego roku i większość mieszkańców osiedla zdążyła już wyrzucić choinki i świąteczne wianki, usypując z nich ogromny zielony kopiec. Jack stał urzeczony tym widokiem. Popatrywał to na drzewka, to znowu na mnie, jak gdyby mówił: „Czy to nie jest zdumiewające?! Zobacz, ile ich tu jest!”. Po kilku minutach gapienia się rzucił się na wielki stos niczym artysta skaczący ze sceny w kierunku publiczności. Rył nosem w drzewkach, kulał się i chrząkał z lubością. Rak stoczył mu płuca, toteż wkrótce dostał zadyszki. Mimo to wciąż przewracał się wte i wewte. Przechodząca obok para młodych ludzi przystanęła i zaczęła mu się przyglądać. Oboje roześmiali się, widząc, jak wariuje z ekstazy. Hop-w-prawo, siup-w-lewo, przerwa, hop-w-prawo, siup-w-lewo, tam i z powrotem. Oni się śmiali, mój kochany przyjaciel Jack harcował, a ja pragnąłem tylko jednego – żeby ta chwila trwała i trwała jak najdłużej.

Żywot ze świątecznej kartki

Boże Narodzenie ma to do siebie, że czasem odzywają się do nas dawno niewidziani ludzie, bywa, że i po dziesiątkach lat milczenia. Dostajemy świąteczną kartkę albo maila – Cześć, szmat czasu, co słyhać u Ciebie? Wesółych Świąt!

Umysł wrzuca na kilka sekund jałowy bieg, aby przetworzyć to nazwisko, wyłowić tę twarz z odmętów pamięci, wreszcie przywołać wspomnienia związane z tą osobą, która opuściła twój układ słoneczny tak dawno temu. Wraca jak kometa Halleya, z takiego czy innego powodu przylatuje do ciebie na chwilkę, zanim ponownie uleci w dal.

Lubię takie wizyty. Przypominają mi one, że żyłem niejednym życiem, miałem niejednych przyjaciół i niejedne zażyłe stosunki. Przypominają mi, że w istocie życie składa się z rozdziałów i że ten, w którym obecnie przebywamy, jest tylko jednym z wielu, a nie całą historią.

Nie będziesz moją przyjaciółką, ukochana!

W ostatniej fazie ich związku zapytała, czy pozostaną przyjaciółmi. Jego twarz zachowała zupełną obojętność. Odezwał się cicho: „Nie, nie ma szans. Przyjaciół, nawet tych najbliższych, wkładamy do pudełek. Spotykamy się z nimi częściej albo rzadziej, ale zajmują tylko jedno konkretne pudełko w naszym życiu, tylko jedno miejsce. Dlatego tak cudownie jest być kochanym – nie siedzisz zamknięty w jednym pudełku, bo jesteś częścią *wszystkich* życiowych pudełek tej drugiej osoby. Jej przyjacielem, kochankiem, kibicem, powiernikiem, doradcą i tak dalej... Nie chcę wylądować w jednym z twoich pudełek i nie chcę zamykać cię w moim pudełku”.

Jej serce, jej wróg

Pewnego dnia, już niebawem, odda się komuś nowemu, kto będzie jej dotykał z rozkoszą, lecz nigdy, przenigdy jej nie pokocha. Ona zapewne zrozumie to albo wyczuje zawczasu, nim jeszcze pójda do łóżka. Mimo to zaryzykuje – niejeden raz – mając jak zawsze nadzieję, że zdarzy się cud.

Niestety prawda, czysta i okrutna jak cięcie brzytwą, uwidoczni się rychło w jego oczach, w tym, jak szybko tracą żar, a palce już po chwili rozluźnią się w jej dłoni. Jego myśli odpłyną gdzieś daleko, bezwiednie zacznie ją *głaskać* niczym domowego pupila, zamiast muskać czule długimi pociągnięciami palców, jak to czynił zaledwie kilka minut wcześniej. Pod warunkiem, rzecz jasna, że jest w ogóle cokolwiek wart jako kochanek.

Podstawowe prawdy o naszych partnerach nabierają wyrazistości tuż po skończonym akcie, gdy zaczyna się powolne opadanie na ziemię. Wśród rozpiezających się obłoków pożądania znowu daje o sobie znać ciężenie realnego życia.

Co gorsza, przypomni jej się nagle ta tkliwa i pamiętna noc, którą spędziła zaraz na początku znajomości z *nim*, z tym prawdziwym, z jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochała i nadal kocha bardziej niż kiedykolwiek. Siła ich bliskości była tak wielka, że oboje, z czołami zetkniętymi jak para muflonów, wzdychali z radości i frustracji, iż będąc tak blisko, nie mogą stać się jednością. Desperacko tego pragnęli już wtedy, w pierwszych dniach, które spędzili razem.

Oddech więźnie jej nagle w gardle, usiłuje odepchnąć od siebie zgubne, druzgoczące wspomnienia. Na przekór jej woli jednak, zwłaszcza w tym momencie, gdy nowy mężczyzna patrzy na nią z triumfalnym uśmieszkiem na twarzy i łaskocze jej policzki swoim ciepłym, nieświeżym oddechem – właśnie teraz jej własne wrogie serce zdradza ją bez mrugnięcia, pozwalając, aby wypełnił je podwójny smutek.

Zagubiony skarb

Co najmniej raz gubimy w dzieciństwie przedmiot, który jest dla nas bezcenny i nie do zastąpienia, choć w oczach innych nie przedstawia on żadnej wartości. Wielu ludzi pamięta tę utraconą rzecz do końca życia. Czasem jest to scyzoryk-talizman, czasem plastikowa bransoletka podarowana przez ojca albo wymarzona zabawka, której się nie spodziewaliśmy, by oto znaleźć ją pod choinką w tamto Boże Narodzenie... Wszystko jedno. Kiedy opisujemy ten przedmiot, tłumacząc, czemu był dla nas taki ważny, nawet ci, którzy nas kochają, zwykle uśmiechają się z pobłażaniem. Rzecz wydaje im się jakimś głupawym, nieznaczącym drobiazgiem. Dziecinadą. Jest jednak inaczej. Ci, którzy o tym zapomnieli, utracili cenne, a może i zasadnicze wspomnienie. Przedmiot ten miał bowiem w sobie coś istotnego dla naszego młodszego „ja”. Gdy go utraciliśmy – mniejsza o przyczynę – coś zmieniło się w nas trwale i bezpowrotnie.

Jedno parfait, proszę

Mąż tej starszej kobiety niedawno zmarł, dowiaduję się od kelnerki. Widywałem ich oboje w tej kawiarni około szesnastej. Przystojni, dobrze ubrani, było widać, że lubią swoje towarzystwo. Dużo ze sobą rozmawiali, raz po raz jedno z nich śmiało się z czegoś, co powiedziało drugie. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że mają za sobą długie, udane życie. On zwykł zamawiać kawę i coś słodkiego: kawałek czekoladowego ciasta z bitą śmietaną albo cudownie grzeszną kremówkę zwaną *cremeschnitte*. Jego żona poprzestawała na filiżance herbaty.

Pamiętam to wszystko dlatego, że kiedy pierwszy raz zobaczyłem ją w kawiarni samą (zanim umarł, zawsze widywałem ich razem), jadła wielki deser lodowy w szklanym pucharku. Od tej pory ilekroć ją widzę, zajada ten sam lodowy przysmak. Zapytałem kelnerkę, czy tamta kobieta zawsze zamawia parfait. Patrzyła na mnie chwilę, wiedząc dokładnie, o co mi chodzi, po czym uśmiechnęła się smutno. Przypuszczam, że oboje zachodziliśmy w głowę, dlaczego czekała aż do śmierci męża, żeby się na to zdecydować.

Uliczna rafa koralowa

W nocy przed moim domem zdarzył się śmiertelny wypadek motocyklowy. Mnóstwo policjantów, dwie karetki, wyjące wszędzie syreny. Nazajutrz rano rozbity motocykl – wielkie czarne kawasaki – wciągnięto na krawężnik. Siła zderzenia wyrwała przód motoru, a połowa tego, co zostało, wisiała na dzikiej płataninie kabli i pogiętego metalu. Nieciekawy widok. Od tamtej pory motocykl tkwi na chodniku.

Najbardziej w tej całej historii interesujące moim zdaniem jest to, że w miarę upływu czasu coraz więcej ludzi przykleja do niego różne ogłoszenia i reklamy. Naprawa grzejników! Nowa wietnamska restauracja! Masaż z dojazdem do klienta! Przywodzi to na myśl rafy koralowe, które tworzą się na wrakach statków i samolotów: nowe życie wyrastające na ludzkich błędach.

Dawne miłości

Kiedy razem pili, grali czasem w „a gdyby tak?”. Co byś zrobił, gdybyś odziedziczył masę pieniędzy? Gdybyś mógł zmienić coś w swoim charakterze? Gdybyś mógł naprawić jeden błąd popełniony w przeszłości? Dzisiaj jego przyjaciel zaczął z grubej rury: gdybyś mógł jeszcze raz kochać się z którąś z dawnych kochanek, kto by to był i dlaczego? Nie wiedzieć czemu pytanie to zmaćło mu spokój ducha. Wykręcił się jakąś gładką, zręczną odpowiedzią, aby podtrzymać żartobliwy nastrój, ale przecież kłamał. Nie umiałby wskazać żadnej dawnej kobiety, z którą chciałby spędzić noc albo przynajmniej kilka intymnych godzin. Co to znaczyło? Jakie świadectwo wystawiało jemu i jego życiowym wyborom? Porozmawiać z którąś z dawnych kochanek? Jak najbardziej. Zobaczyć, jak im leci, jak czas i życie się z nimi obeszły? Chętnie. Ale dotknąć którejś z nich, poczuć jej zapach, znowu ujrzeć ją naga? Nie: żadna nie przychodziła mu na myśl. Z pewnością mówiło to wiele na temat jego charakteru i sytuacji, w jakiej się znajdował. Mimo że przez następne dni wytężał umysł, nie potrafił zdecydować, jakie wystawia mu to świadectwo.

Na przekór fałom

„Albo zrobisz krok naprzód ku wzrostowi, albo zrobisz krok wstecz ku bezpieczeństwu”.

Abraham Maslow

Dawała z siebie tylko tyle, ile przychodziło jej bez trudu, naturalnie, instynktownie. Tylko tyle, ile zawsze dawała byłym kochankom, i ani trochę więcej. Zwykle im to wystarczało, przynajmniej na krótką metę, dlatego że na swój sposób była rzeczywiście *nadzwyczajna*. Nawet nie próbowała przekraczać starych, bezpiecznych granic: kopać pod wierzchnią warstwę własnych ograniczeń. Prawdopodobnie uważała, że daje z siebie wszystko, starając się utrzymać dany związek. *Popatrz, jak bardzo się staram!* W przeszłości także się oszczędzała. Czy podjęła jakiś realny wysiłek, wykonała jakiś nowy gest albo poszła na ustępstwo? Nie.

Ktoś, kto raz opanował walca, bez trudu zatańczy go ponownie. Ale gdyby poprosić kogoś, kto nie umie stepować, by się nauczył tej sztuki – taniec okaże się sporym wyzwaniem. Nie spróbowała sięgnąć do swego wnętrza, poszukać tam głęboko ukrytych cech, które być może pozwoliłyby jej wzrosnąć i scalić samą siebie. Tego rodzaju przeszukanie własnej jaźni wymaga odwagi i wysiłku. Prawda jest bowiem taka, że na ogół nie chcemy niczego zmieniać. Zmiany wprawiają nasze życie w kołysanie – im wyższe są te fale, tym bardziej nas przerażają i prowokują. Chcąc stać się lepsi (silniejsi, mądrzejsi, bardziej wyrozumiali...), musimy popłynąć wprost na nie. Gdyby zajrzała w siebie i odnalazła te cechy – ten wewnętrzny potencjał – i miała dość odwagi, by je wykorzystać, taki krok mógłby wszystko zmienić.

Jak to robisz

Co by było, gdyby wszyscy ludzie na świecie kochali się dokładnie tak samo? Mężczyźni w sposób A, kobiety w sposób B. Śliczna czy brzydka, młody czy stary, wysoki czy niski, Meksykanka czy Mauretanka: wiedziałoby się, jacy/jakie są w łóżku, bo mężczyźni robią to w sposób A, kobiety zaś w B. Czy taka wiedza wpłynęłaby na ludzkie relacje/seksualność/monogamię i tak dalej?

Gdy tylko pomysł zaświtał mi w głowie, zapytałem o zdanie pewną osobę. Świadomość, że wszyscy jesteśmy w łóżku tacy sami – usłyszałem – niczego by między nami nie zmieniła. Każdy pachnie inaczej, ma inną osobowość, inne ciało, toteż pragnienie, aby seksualnie poznać wielu innych ludzi, pozostałoby niezmienione. Nie jestem tego taki pewien.

Więcej niż ty znaczy lepiej

Jeżeli ci się w życiu poszczęści, to zakochasz się w kimś większym od siebie – ciekawszym, czulszym, zabawniejszym, inteligentniejszym, bardziej zawadiackim, twórczym i skłonnym do wybaczenia...

Jeżeli poszczęści ci się *na tyle*, że taki człowiek zakocha się również w tobie, to jest całkiem możliwe, że nie tylko wzrośniesz, ale też dasz mu *coś więcej*, czego by w przeciwnym razie nie otrzymał.

Futrzana miłość

Myślę, że powód, dla którego ludzie trzymają w domu zwierzęta, zwłaszcza psy i koty, jest taki, że mogą w ten sposób wyrazić swoją najszczerzą, najprawdziwszą miłość bez obaw, iż zostaną odrzuceni lub zranieni emocjonalnie (pomijając inne bolesne konsekwencje związane z pokochaniem drugiego człowieka). Pies, którego pokochasz, odwzajemni ci się bezwarunkową miłością. Nie będzie rozgrywał twojego uczucia ani manipulował nim przeciw tobie czy dla własnych celów. Nie wykorzysta go, żeby zdobyć coś albo kogoś. Okaż swemu pupilowi prawdziwą miłość, a on „tylko” pokocha ciebie z całych sił: bez żadnych gier i demonstracji siły. Czysta wdzięczność i oddanie. Taka prostota stanowi coś w rodzaju doskonałości, z którą rzadko spotykamy się w życiu – szczególnie w relacjach z innymi ludźmi.

Ukraść kapelusz!

Jest takie znakomite opowiadanie Conrada Aikena pt. *Impuls*. Opisuje ono historię nudziarza mającego szare, nieciekawe życie. Jednego dnia, działając pod wpływem impulsu, kradnie ze sklepu jakąś głupią drobnostkę: plastikowy grzebień albo tani długopis. Zostaje ujęty i doprowadzony na policję pod zarzutem kradzieży sklepowej. Od tej chwili świat wali mu się na głowę, zmierzając do ostatecznej katastrofy. Koniec opowieści. Jeden wariacki impuls – bo nigdy w życiu czegoś takiego nie zrobiłem – i facet zostaje zmiażdżony.

Dzisiaj rano na peronie metra zobaczyłem dystyngowanego mężczyznę czytającego gazetę. Był wytwornie ubrany, a jego głowę zdobił świetnie wyfasonowany czarny kapelusz z rondem, podobny do tych, jakie noszą bohaterowie serialu *Mad Men* albo opowiadań Johna Cheevera. Idąc w jego stronę, pomyślałem, że zerwę mu ten kapelusz z głowy i rzucę się do ucieczki. Dwusekundowy impuls był tak silny, że musiałem obejść faceta łukiem w kształcie rozwartego „U”, w razie gdyby kuszący mnie diabeł postawił na swoim. Uśmiechnąłem się z bezpiecznego oddalenia i przypomniałem sobie o opowiadaniu Aikena. Nadjechało metro; przez całą drogę do domu zastanawiałem się, co by się stało, gdybym tak jednak...

PS Skoro mowa o Conradzie Aikenie, to przed śmiercią poprosił o postawienie mu nagrobka w formie ławki (w Savannah, w stanie Georgia), tak aby goście mogli na niej spocząć i wypić kieliszek madery w towarzystwie jego ducha. Inskrypcja na kamieniu głós: „Pozdrówcie ode mnie świat”.

Pisać to także umieć sobie odpuścić

W jednym z wywiadów wypowiedziałem się na temat pisania. Być może moje uwagi okażą się pomocne dla tych, którzy trudzą się nad własnymi projektami:

„Tworzyć to między innymi umieć sobie odpuścić. Dokładnie pamiętam ten moment, kiedy – pisząc *Krainę Chichów* – dotarłem do sceny, w której pies nagle odzywa się ludzkim głosem. Napisałem ją i zatrzymałem się. Pomyślałem – pies zaczął gadać, istne szaleństwo. Ale po chwili rozluźniłem się i pomyślałem – okay, zobaczmy, dokąd mnie to zaprowadzi. Niewątpliwie był to punkt zwrotny w całym pisaniu, które uprawiam od tamtej pory. Ten paradygmatyczny moment zdarzył się dlatego, że umiałem sobie odpuścić: przyjąłem do wiadomości to, co niemożliwe, i pisałem dalej. Niemcy mają takie powiedzenie dotyczące zaufania do miłości: „Upadnij, a ja cię złapię”. Uważam, że to samo odnosi się do pisania, a także do sztuki w ogóle: jeśli wierzysz, że podołasz, to pisz, co chcesz, i nie przejmuj się właściwym nastawieniem, ograniczeniami i tym podobnymi rzeczami... Po prostu napisz ten tekst. Uwolnij umysł od wahań i skup się na zdaniu, które próbujesz napisać. Potem napisz następne. Często jest tak, że im więcej się o czymś myśli, tym gorzej się to robi.

Zacznij od frazy albo postaci, która ci się podoba lub cię intryguje. Potem rozsnuj pajęczą sieć, wychodząc od tego centralnego punktu. Nie zadręczaj się. Kiedy zaczynam opowiadanie albo powieść, zwykle mam tylko pierwszą linijkę albo jeden obraz, który przelewam na papier. Kto to jest? Co to za postać? Jak wygląda jej życie? „Haden znów był w tarapatach” – tak zaczyna się *Szklana zupa*. Zdanie to po prostu mi się spodobało. Po jego napisaniu pomyślałem – kim jest Haden? Przystojnym dupkiem. No dobrze, a czym się zajmuje? Gdzie mieszka? I tak dalej. Nie myśl o całościowej budowie powieści ani o niczym innym poza początkiem – bądź pajakiem i zacznij rozsnuwać sieć, którą tylko ty potrafisz zbudować.

Moje życie w sześciu słowach

Wiedeń jest poprzecinany ulicami i uliczkami noszącymi imię wybitnych Austriaków. Sławnego matematyka, kompozytora, socjaldemokraty...

Mijając rano jedną z tych ulic, pomyślałem sobie – w porządku, załóżmy, że wiodłem życie pełne osiągnięć, nagród i rozgłosu. Po śmierci spoglądam w dół ze swojej chmury i widzę, że miasto, które wybrałem do życia, postanowiło uczcić moją pamięć, nadając jednej z ulic moje nazwisko. Znajduje się tam ohydna pizzeria, indyjska restauracja, w której nigdy nie ma klientów, wypożyczalnia filmów, do której wchodzi albo intelektualisci, albo podejrzane typy, zakład fryzjerski, po wyjściu z którego klienci wyglądają, jakby wetknęli palce do gniazdka...

Sam nie wiem. Myślę, że gdyby przyszło do wyboru pośmiertnej pamiątki, wolałbym niewielką tablicę wmurowaną w boczną ścianę budynku, w którym mieszkałem przez większość życia, noszącą napis: „Carroll przeżył tutaj wiele szczęśliwych lat”.

Szpitalne dni

W ciągu tych jałowych, bez-dusznych dni żyła tak, jakby była w szpitalu, zdrowiejąc po poważnej operacji, która przykuła jej ducha do łóżka. Całe jej ówczesne nastawienie sprowadzało się do jednego: jak tylko dojdę do siebie, jak tylko odzyskam siły, spokój, równowagę... Wyjdę stąd i powrócę do prawdziwego życia. Tyle że *to właśnie było jej prawdziwe życie*. Gdziekolwiek jesteśmy i cokolwiek robimy, ilekroć przydarzają się nam „szpitalne dni” – dni bezsilności – to my sami z reguły przykładamy do nich rękę.

To, co trwa...

Niedawno miałem okazję znowu się przekonać, jak wielka i trwała siła tkwi w książkach. Szkoła, w której uczyłem przez lata, obchodziła w weekend 50. rocznicę swego istnienia. Odbywały się spotkania i przyjęcia, plemiona absolwentów z dawnych lat wymieniały się wspomnieniami. Poszedłem na jedno z tych spotkań i spędziłem wiele godzin na rozmowach z dawnymi uczniami. Co chwila powtarzali mi to samo: „Nigdy nie zapomnę tej książki, którą czytaliśmy w dziesiątej klasie”. Albo: „Lektura *Zen i sztuki obsługi motocykla* zmieniła moje spojrzenie na świat”. Albo: „*Zbrodnia i kara* to najlepsza powieść, jaką czytałam. A czytałam ją już trzy razy i zawsze odnajduję w niej coś nowego”. „Dzięki *Wielkiemu Gatsby’emu* odkryłem, że...” Minął szmat czasu i wszyscy moi uczniowie, niemal bez wyjątku, wyrosli na interesujących, bardzo różnych ludzi. Jednak wielu z nich twierdziło z naciskiem, że dana książka wywarła wielki wpływ na ich życie – czy to obecnie, czy też dawniej. Pisarze często zapominają, że ich historie potrafią mocno wzruszyć, że docierają daleko, że nabierają sensu w odległych sercach tysiące dni po postawieniu ostatniej kropki.

Książkobójcy i książkoczałowacze

Jeden z moich profesorów uniwersyteckich stwierdził kiedyś, że ludzie czytający dla przyjemności dzielą się na dwie kategorie: książkobójców i książkoczałowaczy. Miał na myśli sposób, w jaki podczas lektury obchodzimy się z książkami. Ja je całuję. Kiedy kończę czytać, egzemplarz wygląda jak spod igły. Nie zaginam narożników dla zaznaczenia miejsca, nie łamię książce grzbietu, aby łatwiej się otwierała, nie robię notatek na marginesach... Dzisiaj w metrze zobaczyłem kobietę z książką, która wrzeszczała „książkobójczyni!”. Wypaczony egzemplarz wyglądał, jakby był cały przemoczony. Kartki były pozaginane, a grzbiet odgięty tak daleko, że byłem gotów się założyć, iż książka wkrótce się rozsypie. Patrząc na kobietę jako zapalony czytelnik, pomyślałem sobie – biedna książka. Czy przeżyje tę lekturę do końca?

Jako pisarz uznałem jednak, że jest to książka, z którą się zżyto. Zapewne towarzyszyła kobiecie w podróżach i była czytana w różnych dziwnych, ciekawych miejscach. Czy to nie najcudowniejszy komplement, jaki możemy powiedzieć pisarzowi? Że nie jesteśmy w stanie oderwać się od tej cholernej książki i taszczymy ją wszędzie ze sobą? Uwielbiam, kiedy na spotkaniach autorskich ludzie podchodzą i nieśmiało kładą przede mną zaczytany do cna egzemplarz którejś z moich książek, prosząc, żebym go podpisał. Najczęściej dodają przy tym coś w rodzaju: „To pierwsza pana książka, którą przeczytałem, dlatego ma dla mnie szczególne znaczenie”. Serce pęka mi wtedy ze wzruszenia i staram się podpisać te zaczytane książki najlepiej i najwyraźniej, jak tylko potrafię.

Nic gorszego

– Potraktował cię podle, a ty wciąż, nawet pod koniec, byłaś dla niego miła. Dlaczego?

Zwiesiła głowę i uśmiechnęła się z cieniem rezygnacji.

– Bo myślę, że nie ma *nic gorszego*, niż odebrać człowiekowi jego najcenniejsze cechy: wspaniałomyślność, życzliwość czy poczucie humoru. Nawet pod koniec, kiedy byłam na dnje i czułam tylko ból i pustkę, nie mogłam pozwolić, aby jego zachowanie zmieniło to, co najbardziej w sobie cenię. Gdybym na to pozwoliła, nie tylko zakończyłby nasz związek, ale też zbrukałby te części mojej duszy, które uważam za najważniejsze.

Ślepotą

Myślę, że można by to zjawisko nazwać „ślepotą na psa”. Już tłumaczę, o co chodzi: prawie codziennie w trakcie spacerów z psem spotykam pewną kobietę i jej kundelka. Uśmiechamy się do siebie i wymieniamy grzeczności – nic specjalnego. Ona wie, jak wabi się mój pies, a ja wiem, jak jej. Ale o dziwo, kiedy mijam ją na ulicy *bez* psa, w jej oczach nie ma śladu, że mnie rozpoznaje. Jeśli idę z psem, jest cała w uśmiechach i pozdrowieniach. Właśnie dziś rano, kiedy mijaliśmy się na chodniku, popatrzyła na mnie tępo. Zdałem sobie sprawę, że jako konkretny człowiek istnieję w jej oczach wyłącznie jako właściciel psa. Bez psa jestem jeszcze jedną anonimową twarzą w tłumie przechodniów.

Kiedy pracowałem w szkole, ten i ów uczeń, którego czasem spotykałem na mieście, spoglądał na mnie zdziwiony – było oczywiste, że mój widok zbił go z tropu albo wytrącił z równowagi: co ja robię poza salą klasową? Przecież jest panem Carrollem siedzącym za nauczycielskim stołem. Dla kobiety zaś jestem właścicielem wielkiego psa. Często bywa tak, że w oczach ludzi, z którymi utrzymujemy kontakt, jesteśmy w zasadzie czymś pojedynczym, mamy jedną tożsamość. Jeśli napotkają nas w innej roli (albo my napotkamy ich), nie dostrzegają nas. Dotyka ich „ślepotą na psa”.

Ty w limitowanej edycji

W firmowym sklepie Nike trwa sprzedaż limitowanej edycji koszulek słynnej drużyny piłkarskiej. Kupa forsy za podrabianą koszulkę w ładnym pudełku. Żyjemy dziś w erze edycji limitowanych – koszulek, butów sportowych, wiecznych piór, telefonów, samochodów, butelek coca coli, odtwarzaczy mp3... Nie mogę rozszyfrować, co się pod tą nazwą kryje. Czy chodzi o to, że każdy chce być indywidualistą, kimś specjalnym, a fakt posiadania edycji limitowanej wyróżnia cię z tłumu przeciętniaków? Czy też chodzi po prostu o prestiż: posiadanie rzadkiego przedmiotu kojarzy się ludziom z bogactwem, władzą, oryginalnością... Kiedy jednak tak wiele otaczających nas rzeczy można nabyć w edycji limitowanej (ostatnio kupiłem sobie tanie spodnie khaki, które okazały się „edycją limitowaną”, co zauważyłem dopiero przy odcinaniu metki) – czy to nie neguje istnienia oryginalności w ogóle?

Ależ sami dobrze o tym wiecie

Z mojego doświadczenia wynika, że istnieją dwa rodzaje dupków: Klasycznie szkolony wszawy gówniarz, mający pretensje do całego świata, z nastawieniem typu: jak-się-cieszę-że-mogę-spieprzyć-ci-dzień-bo-wszystkie-moje-dni-są-do-dupy.

Drugi typ obejmuje rzadziej występujących, ale dużo groźniejszych, bo naturalnie utalentowanych dupków, którzy nie potrzebują szkolenia, aby zatruwać życie od chwili narodzin. Wskoczyli ze swoich matek jako ludzkie koszmarki i cały czas cyzelowali swój talent.

Kilka minut z Marilyn i Johnem

Stoję na lotnisku, gdy nagle z bramy przylotów wyłania się Marilyn Manson, trzymając za rękę piękną młodą kobietę. Zatrzymuje go grupka żywo reagujących fanów i fanek i prosi o autograf. Manson wygląda na bardzo zmęczonego, choć takie wrażenie kłóci się z wizerunkiem „króla zła”.

Pewnego razu w Nowym Jorku wychodziłem z budynku, w którym mieszkał John Lennon. W tej samej chwili przed frontem zatrzymała się limuzyna i pojawił się Lennon we własnej osobie – on i Yoko Ono wysiedli z auta i ruszyli do wejścia. Momentalnie otoczył ich tabun rozwrzeszczanych nastolatków, bełkocących miłosne wyznania i zgłaszających prośby o autograf. Jedna z dziewcząt miała nawet tort, który próbowała wręczyć Ono. Lennon przystanął, elegancko podpisał się na wszystkim, czego sobie życzyły, i uciał z nimi krótką pogawędkę. Gdy podchodziłem, uniósł głowę i wymieniliśmy spojrzenia. Miał bardzo smutne i zmęczone oczy. Pamiętam je dokładnie. Skinąwszy mu głową, próbowałem przekazać mu wzrokiem – ja też cię kocham i czuję (do pewnego stopnia) twój ból. To musi być ciężkie życie.

Dobre błędy

Ciągle mówił o swoim błędzie i o tym, jak mu przykro z tego powodu. Dłuższą chwilę milczała, a potem powiedziała: „To był dobry błąd, bo poważny. Czegoś takiego nie da się odkręcić. Jeśli już masz coś spaprać, lepiej niech to będzie coś grubego, żebyś długo żałował i pamiętał. Małe żale są nic niewarte – drażnią jak ukąszenie moskita. Już lepiej popełniać kolosalne błędy, które zostawią trwałe blizny, bo wtedy masz szansę się na nich nauczyć. Drobnymi pomyłkami tylko wkurzają cię i tyle; zapominasz o nich po pięciu minutach”.

Moje słowa w twoich ustach

Moja wieloletnia przyjaciółka miała wylew. Powoli wraca do zdrowia. Niestety, z jakichś nikczemnych neurologicznych przyczyn utraciła zdolność czytania, a była jedną z największych pożeraczek książek, jakie znałem. To, że nie może czytać, przelało czarę goryczy. Odwiedziłem ją przedwczoraj. Powiedziała, że próbowała czytać *Zakochanego ducha*, ale nic z tego nie wyszło. Zaproponowałem, że przyniosę jej audiobooka. Ucieszyła się, że powieść istnieje w tej wersji. Ja też się cieszyłem, ale prawdę mówiąc, nigdy przedtem jej nie słuchałem. Toteż zanim dałem jej książkę, posłuchałem, jak moja historia brzmi czytana przez lektora. Miał dobry, mocny głos, który potrafi wciągnąć czytelnika, a jednak było to dla mnie dziwne doświadczenie. Wiedziałem dokładnie, co miałem na myśli i co się działo w moim życiu wtedy, kiedy dobierałem słowa i rytmy. Gdy usłyszałem je wypowiedane z inną intonacją niż ta rozbrzmiewająca w mojej głowie, wydało mi się to tyleż odkrywcze, co dziwaczne. Słowa były moje, zdania moje i fabuła także moja, ale czytane przez ten inny głos... Miałem wrażenie, jakbym tańczył, trzymając w objęciach obcą osobę. Czuję jej oddech na szyi, jej kości na skórze. Na parę sekund tu i tam stawaliśmy się niemal jednością... ale nie do końca.

Duchy miłości

Jak to się dzieje? W którym momencie sympatia przechodzi w żar? O dziwo, często wystarczy prosty gest: jej ręka opada ci na kolano, kiedy jedziecie pociągiem, odgarnia twój kosmyk włosów albo ze śmiertelną powagą, ale byle jak szciotkuje zęby z samego rana. Drobnny szczegół, błahostka, urasta nagle do rangi najważniejszego zdarzenia w twoim życiu. Ta niewinna dłoń na kolanie przypieczętowuje los. Nasz błąd polega na założeniu, że miłość ma sens, podczas gdy z reguły – dobrze czy źle – jest najbardziej irracjonalną rzeczą, jakiej kiedykolwiek doświadczamy. Bywa, że największa miłość wychyla się jak duch z cienia naszych emocji, nie krzyczy jednak BUUU!, ale woła nam w twarz: NO JUŻ! TO ONA!

Ci, którzy niosą piękno

Często mówi się o tym, jak wiele dobrego miłość wnosi w życie kogoś, kto ma szczęście napotkać na swojej drodze tę drugą wyjątkową osobę. Nie zapominajmy jednak o ludziach, którzy –kochani czy niekochani – wnoszą w nasze życie piękno, czasami każdego dnia. Przysyłają nam zdjęcia, chcą porozmawiać o pomysłach, które im przyszły do głowy, dzielą się piosenką lub wierszem, który złamał im serce. Czasami wydaje mi się, że niosący piękno zdarzają się rzadziej i są na swój sposób cudowniejsi niż ludzie, których kochamy. Dlaczego? Otóż miłość ma zwykle własne potrzeby i życzenia, których spełnienia się domaga. Niosący piękno natomiast działają na ogół z pobudek nieegoistycznych – chcą ci pokazać swoje odkrycia, poinformować cię o cudownościach, jakie napotkali na swojej drodze; o tym wszystkim, co poszerzyło, dopełniło i rozświetliło ich świat. Tego samego chcą dla ciebie.

Najbardziej zdarza się tak, aby niosący piękno był zarazem tym, którego kochamy.

Moja dwubiegunowa przyszłość

W głębi ducha wszyscy pragniemy mieć przyszłość za przyjaciela. No wiecie – za fajnego kumpla, któremu nasze dobro leży na sercu i kiedy trzeba, poda nam pomocną dłoń. W rzeczywistości jednak nasza przyszłość wykazuje często objawy choroby afektywnej dwubiegunowej. Czasem, owszem, bywa przyjazna i intrygująca, częściej przynudza niż ekscytuje, no i potrafi nieźle przerazić, gdy po raz któryś, jak grom z jasnego nieba, zmienia jej się nastrój.

Pożyczanie jej pieniędzy (albo serca) wiąże się ze sporym ryzykiem.

Recydywiści

Podczas okazania odciągnięto zasłonkę i zobaczyłem sześć stojących w szeregu postaci. Mimo że każda z nich wyglądała inaczej, wszystkie trzymały przed sobą numer na piersi.

Prowadzący konfrontację mężczyzna odezwał się spokojnym głosem:

– Proszę wskazać pański smutek. Niech się pan dobrze zastanowi, zanim poda nam pan numer: to ważne.

Kłopot w tym, że wszyscy wyglądali znajomo, WSZYSCY wyglądali jak moi napastnicy z bliższej lub dalszej przeszłości.

Czekając na ciebie

Kiedy wychodziłem z zatłoczonego lotniska, moją uwagę zwróciły twarze ludzi czekających na przylot. Pierwsza scena filmu *To właśnie miłość* ukazuje wesoły tłum czekający przy bramie przylotów na przybycie najbliższych. Głos lektora zauważa, że jeśli ktoś chce zobaczyć ludzką radość w najczystszej postaci, to powinien popatrzeć na twarze tych ludzi, gdy ujrzą osoby, na które czekają. Brzmi to uroczo i raczej nie mija się z prawdą – większość takich spotkań jest rzeczywiście radosna.

Kiedy jednak wyszedłem z bramy i przesunąłem wzrokiem po twarzach oczekujących, ujrzałem całą gamę emocji, bardzo zróżnicowaną i interesującą. Obok twarzy pełnych radosnego wyczekiwania zobaczyłem dwie, na których malowało się wahanie, a może i strach, oraz jedną, na której był wyraz głębokiej powagi. Dobrze ubrana kobieta z bukietem kwiatów w ręce szczyrzyła się w trupim uśmiechu, wyglądającym tak sztucznie i maniacko, że mimo woli zacząłem się zastanawiać, na kogo ona, do diabła, czeka.

Wniosek, jaki wypływa z mojej nienaukowej obserwacji tłumu, głosi, że wbrew pozorom „przyloty” – a tym samym „odloty” – to zjawisko dużo bardziej złożone, niż nam się na ogół wydaje.

Odciążenie

– Wydajesz się... lżejsza. Nie tylko szczęśliwsza, ale wręcz fizycznie lżejsza, jakbyś miała zaraz unieść się nad ziemią... Co ja plotę?

– Nie-nie, masz rację. Czułam w sobie wielki ładunek miłości, ale nie miałam go gdzie położyć. Teraz, kiedy jestem z nim, on domaga się wszystkiego. W jakimś sensie to rzeczywiście czyni mnie lżejszą. Kiedy długo jesteś sama, miłość, którą w sobie nosisz, może stać się realnym ciężarem. Prawie jak głaz.

Mispa

Ta krótka historia – moje życie – jest tak spleciona z tobą, tak uwikłana we wspomnienia na twój temat, że nie potrafię odróżnić, gdzie się kończy moja skóra, a zaczyna twoja. Granica stała się płynna i niewidoczna, nawet pod czujnym i bacznym okiem miłości.

Płaszcz żalości

– Jak sobie radzi od czasu, kiedy... no wiesz?

– Od kiedy od niego odeszła? Chodzi szczelnie zawinięty w płaszcz żalości.

Uśmiechnęła się, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej.

– Z czego uszyty jest płaszcz żalości?

– Na pewno nie ma w nim żadnych syntetycznych materiałów. Sto procent czystego smutku, zagubienia i frustracji. Podszewkę łączy gruba nić pustki wykonana ręcznie przez tysiące małych marzeń serca. Niektórzy nazywają go kolorowym płaszczem, na wzór tego, jaki nosił Józef z Księgi Rodzaju. Płaszcze te mają jedną fajną cechę: zazwyczaj samoistnie wyparowują, kiedy ich właściciel przestaje czuć chłód i zostawia troski za sobą. Zwróć uwagę, że powiedziałem *zazwyczaj*.

Objęła go ramionami i wyszeptała mu do ucha:

– Nigdy nie będziesz musiał przy mnie wkładać płaszcza żalości, daję ci słowo.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się pytająco: Skąd ta pewność?

Nie budź złych dni

Większość dni była psami w złym humorze.

Budzone z rana – warczały groźnie.

Chciały tylko, aby im dano spokój.

Nie chciały wcale wyjść za potrzebą.

Nie, nie mają ochoty na ciasteczko.

Daj nam święty spokój, ćwoku,

Bo jak nie, to ugryziemy.

Peter zawsze ma do powiedzenia coś ciekawego

Jedliśmy kolację w dobrej włoskiej restauracji. Przy sąsiednim stoliku dwójka starszych ludzi pochłaniała górę dań. Zupa, spaghetti, przystawka, sałatka, ser... Widok był doprawdy zdumiewający, tym bardziej że oboje byli dość skromnych rozmiarów.

Wspomniałem o tym mojemu przyjacielowi. Spojrzał na nich i wzruszył ramionami. „Jedzenie to seks dla starszych ludzi” – stwierdził. Podczas kolacji opowiedział mi też małą anegdotę. „Kochałem kobietę, która była tchórzem. Ona natomiast kochała mnie na tyle mocno, że długo nie okazywała tchórzostwa. Wzrusza mnie to, kiedy o niej pomyślę: walczyła ze swoim naturalnym instynktem, dopóki mogła”.

Miłość za kółkiem

Kochanie jest proste: Miłość to twój samochód, więc zapuszczasz silnik, wlewasz benzynę i kierujesz się tam, gdzie ci się podoba. Ale *być kochanym* to tyle, co wsiąść do *cudzego* samochodu. Nawet jeżeli kierowca wydaje się dobry, cały czas zżera cię niepewność, czy nie wykona jakiegoś niebezpiecznego manewru, skutkiem czego oboje wylecicie przez przednią szybę, za którą czai się cierpienie. Czy aby serce nie wystawi ci za tę jazdę zbyt słonego rachunku? Bycie kochanym jest niekiedy przerażające. Prawdziwa miłość bowiem oznacza utratę kontroli. Co się stanie, jeśli w połowie przejażdżki – będąc pasażerem – dojdiesz do wniosku, że chcesz wracać albo pojechać gdzie indziej?

Tokijski randkowiec

Gdy miałem siedemnaście lat, mojego ojca zaproszono do Japonii, gdzie miał pracować nad scenariuszem z wybitnym japońskim reżyserem Akirą Kurosawą. Towarzyszyliśmy mu z matką. Była to szalona podróż, jaka zdarza się raz w życiu. Kurosawę uważano w Japonii za boga, odkąd nakręcił tak klasyczne filmy, jak *Siedmiu samurajów*, *Tron we krwi*, *Rashomon* i inne. Ponieważ reżyser osobiście poprosił mojego ojca, aby wspólnie napisali scenariusz jego pierwszego zachodniego filmu, traktowano nas jak minibogów.

Syn Kurosawy był w moim wieku i grał w jednej z najsłynniejszych japońskich kapel rockowych w tamtym czasie. To był porządny gość – z miejsca wziął mnie pod swoje skrzydła i przedstawił przyjaciółom, wprowadzając we własne szybkie, olśniewające życie, wypełnione urodziwymi kobietami, które często się uśmiechały, lecz ma się rozumieć, nie znały ani słowa po angielsku. Pewnego wieczoru zaproponował, że zorganizuje mi randkę w ciemno z najładniejszą ze swoich dziewczyn. Miałem się z nią spotkać o dziesiątej w hotelu New Otani, wypić parę drinków, a potem się zobaczy, co dalej. Spytałem, czy dziewczyna mówi po angielsku. Nie, ale mam się nie martwić, bo ona jest super. Wynikało z tego, że od pewnego momentu poradzimy sobie bez słów itp., itd. Trochę się wahałem, ale raz kozie śmierć – miałem siedemnaście lat i byłem gotowy na wszystko. Wciągnąłem najlepsze ciuchy i pojechałem do hotelu, położonego po drugiej stronie miasta.

Tokio to ogromna metropolia, do dzisiaj pamiętam, jak długo wtedy jechałem taksówką. Byłem zdenerwowany, podekscytowany i przygotowany na każdą ewentualność. Gdy wreszcie dojechałem do hotelu, w holu czekała tylko jedna bardzo ładna dziewczyna. Ponieważ byłem jedynym blondynem o wzroście metr dziewięćdziesiąt trzy, dziewczyna podeszła prosto do mnie i oznajmiła łamaną angielszczyzną, że to właśnie ona. Wybraliśmy New Otani, bo górną kondygnację hotelu zajmował obrotowy bar/restauracja, jedyne takie miejsce w Tokio. Wystarczyło posiedzieć tam jakiś czas, aby zobaczyć całe miasto bez ruszania się z krzesła.

Przypuszczam, że nasza „randka” trwała jakąś godzinę. Nie pamiętam. Oczywiście wszystko zakończyło się klapą, a dziewczyna w żaden sposób nie zasygnalizowała, że interesuje ją coś więcej niż jeden-dwa drinki. Milczenie, uśmiechy, jeszcze głębsze milczenie. W końcu stało się to nieznośne i pokazałem kelnerowi, że proszę o rachunek. Gdy przyszedł, starałem się trzymać fason, ale było to o tyle trudne, że rachunek opiewał na astronomiczną kwotę – totalne

przejęcie, zupełne wariactwo. Odgrywając siedemnastoletniego Jamesa Bonda, zachowałem jakoś zimną krew i zapłaciłem. Potem odprowadziłem dziewczynę do holu i oddałem jej ostatniego jena na taksówkę. Powiedziała „Dziękuję” i wyszła.

Miałem siedemnaście lat i blade pojęcie o świecie. Nie zaświtało mi, że mogę wrócić taksówką do mojego hotelu, poprosić kierowcę, żeby chwilę zaczekał, i zapłacić za kurs pieniędzmi pożyczonymi w recepcji. Pomyślałem: „Jestem splukany, więc muszę wrócić pieszo”. Do dzisiaj nie wiem, jaka odległość dzieli hotel New Otani od Tokyo Prince, ale wędrówka zajęła mi – bez przesady – całą noc. Godzinami przedzierałem się przez miasto, kierując się na jedyny znany mi punkt orientacyjny: ogromną wieżę telewizyjną stojącą za moim hotelem. Pamiętałem, że nazywa się Wieża Tokio. Ilekroć się gubiłem, czyli mniej więcej co kwadrans, szukałem w oddali wieży albo pytałem o nią kogoś. „Wieża Tokio! Wieża Tokio!” – wołałem zrozpaczony i wzruszałem teatralnie ramionami. Jeśli ludzie rozumieli, o co mi chodzi, wskazywali palcami kierunek – i wyruszałem dalej. Czasem błądziłem na oślep, ale ratowały mnie policyjne budki. Mimo że były niewiele większe niż budki telefoniczne, poustawiano je w całym Tokio. W jednej z nich zobaczyłem leżącego na ziemi mężczyznę, nad którym znęcało się dwóch policjantów. W innej ujrzałem trzy stłoczone ciasno kobiety, najwyraźniej prostytutki, które patrzyły ze wstydem w ziemię, wysłuchując wrzasków policjanta. Te budki tętniły życiem. Kręcili się tam nie tylko policjanci, ale również włóczędzy, podglądacze i przechodnie, gapiący się na to, co się dzieje w środku. Kiedy gubiłem drogę, podchodziłem do budki i pytałem znajdującą się wewnątrz osobę o „Wieżę Tokio?”. Niektórzy przyjmowali to z rozbawieniem, inni z podejrzliwością, ale większość mieszkańców usiłowała – na ile mogła – pomóc amerykańskiemu nastolatkowi, który nie znał japońskiego.

Z tymi budkami wiąże się zabawna przygoda. Gdy tam wszedłem pierwszy raz i zapytałem o drogę, policjant uniósł rękę na znak milczenia i wybrał numer telefonu. Powiedział coś do słuchawki, po czym mi ją oddał. Po drugiej stronie jakiś Japończyk odezwał się do mnie po angielsku z szybkością karabinu maszynowego. Ledwie mogłem go zrozumieć. W końcu się dogadaliśmy – wyjaśnił mi szczegółowo, gdzie jestem i jak mam dojść do swojego hotelu. Jednak Tokio składa się z niezliczonych ulic, uliczek, alejek i ślepych zaułków. Bardzo łatwo się w nich zgubić, nawet dysponując szczegółowymi wskazówkami. Po jakimś czasie, kilka mil dalej, wpakowałem się do następnej budki i odstawiłem swój numer: „Wieża Tokio! Wieża Tokio!” plus wzruszenie ramionami. Policjant znów uniósł rękę i sięgnął po telefon – na miłość boską, nagle znowu rozmawiałem po angielsku z tym samym facetem, tyle że tym razem wydawał się bardziej poirytowany. Czy nie tłumaczył mi, którędy mam iść?! Czy nie potrafię wykonać

prostych poleceń?

Okolo piątej nad ranem, gdy niebo rozjaśniała zorza, czułem się zagubiony i wykończony, zaczynałem też wątpić, czy kiedykolwiek zobacze jeszcze matke i ojca. Na szczescie na horyzoncie pojawila sie kolejna budka policyjna. Wczlapiem do srodka. Tym razem nie zdazyłem odezwac sie slowem, bo policjant zerknal na mnie, wzial telefon i wybral numer.

Odebralem wyciagnieta ku mnie sluchawke i powiedzialem: „Halo?” – po drugiej stronie znajomy glós wrzasnal: „CO? TO ZNOWU TY?! TY TAM, GLUPKU. JESTEŚ NA MIEJSCU! POPATRZ W GÓRĘ, W GÓRĘ! POPATRZ DOOKOŁA. ŻEGNAM!”.

Rzeczywiście, kiedy popatrzyłem dookoła, stwierdziłem, że Wieża Tokio i hotel są dokładnie za moimi plecami, zaledwie parę przecznic dalej.

Uczta, którą jesteśmy

Mówię całkiem serio: pomyśl o tym chwilę.

Ilu ludzi – od początku twego życia aż do dnia dzisiejszego – naprawdę zrozumiało, kim jesteś? Ilu zrozumiało twoją wizję świata, poczucie humoru, pragnienia, obawy, intuicje...? A zwłaszcza twoje istotne, szczególne spojrzenie na świat i to, jak wchodzisz z nim w interakcje?

Myślę, że możemy uważać się za szczęśliwców, jeśli znajdzie się choćby garstka takich, którzy kiedykolwiek zrozumieją nas i nasze wybory. Może istnieje tylko jedna taka osoba. Najważniejsze jednak, że doceni ona to, jak wymieszaliśmy z sobą doświadczenia i wiedzę i jak ugotowaliśmy z nich samych siebie. Będziemy dla niej ucztą, że palce lizać.

Sklepik Ali Baby

Lubię te wciśnięte w miejskie zaułki sklepiki, w których wystawy nie zmieniają się od lat. Trudno się pozbyć wrażenia, że towar, którym handlują, leży tam od 1997 roku. Wszystko wypłowiałe na słońcu, wysuszone, skurczone na wiór. Odwłoki martwych much wyglądają jak skarłale egipskie mumie. W nocy świeci się w oknie tylko jedna z dwóch żarówek. Jeśli zechcesz zajrzeć do sklepu albo wręcz odważysz się wejść do środka, nie uświadczysz tam właściciela. Kiedy w końcu wyłoni się z głębi jak Ali Baba z pieczary, wyraz jego twarzy momentalnie da ci do zrozumienia, że traktuje cię jak intruza. Nie obchodzi go, czy chcesz coś kupić – chce, żebyś sobie poszedł. Jakim cudem, zastanawiasz się, ten sklep wychodzi na swoje? Może w tej handlowej obojętności kryje się jakaś magia, która czeka na odkrycie. Pozwala ona sprzedawcy utrzymać się w biznesie, mimo że reszta świata ani trochę się nie interesuje tym, co można u niego kupić.

Talerze i obrus

Mój znajomy od jakiegoś czasu romansował – z dużym powodzeniem – z pewną kobietą. Na znak szacunku postanowił zaprosić kochankę na kolację do swojego mieszkania, czego nigdy przedtem nie robił. Bardzo ją lubił i dopilnował, aby wszystko było, jak trzeba: świecznik, lniany obrus i serwetki, ładne talerze, kieliszki etc. Ma się rozumieć, ugotował też coś pysznego. Kobieta przyszła i podczas gdy on kończył doprawiać jedzenie, zagaili rozmowę. W miarę upływu czasu jednak ona okazywała mu coraz większą rezerwę i chłód. Wreszcie stało się to tak wyczuwalne, że zapytał, o co chodzi.

Zawahała się, po czym wskazała na któryś z talerzy.

– Dlaczego zaraz talerze? Czemu nie zwykłe plastiki?

Zaskoczony mężczyzna wyjaśnił:

– Chciałem zrobić kolację na twoją cześć. Pomyślałem, że podam ją na eleganckich talerzach, obrusie, no wiesz: porządnie.

– I to wszystko? To jedyny powód? – Zmrużyła oczy, jakby mu nie dowierzała.

– Tak, jedyny – wyznał kompletnie skołowany.

– Nie kochasz mnie?

Zawahał się, nie chcąc jej urazić, ale cały ten wieczór przybierał tak dziwny i tajemniczy obrót, że znajomy uznał, iż powinien powiedzieć prawdę.

– Nie, bardzo cię lubię, ale nie Kocham cię.

Rozpogodziła się. Jej twarz przeciął uśmiech od ucha do ucha.

– Och, dzięki Bogu! Jak tylko tu weszłam i zobaczyłam to piękne nakrycie, pomyślałam sobie: o nie, zakochał się we mnie. Okropnie się bałam, że będę musiała ci powiedzieć, że cię nie Kocham. Ale teraz wszystko jest w najlepszym porządku. Chcesz iść do łóżka?

Nasza istota

Istotą nas, ludzi, i najlepszym, co mamy, jest pasja. Pasja do drugiego człowieka, do pracy, do powołania, do idei, do miejsca... Pasja do dobrej książki, za której sprawą wnętrza naszych głów rozjarzają się jak Las Vegas o północy. Może właśnie o to w tym wszystkim chodzi: Nasz Cel polega na tym, by nasycić życie tak wieloma różnorodnymi pasjami, że co rusz któraś z nich wypełnia cię po brzegi i każe ci powiedzieć o tym całemu światu.

Początek na urodziny

Ktoś pożałował mi się wczoraj w liście, że największy kłopot w pisaniu sprawia mu pierwszy krok. Że nie znosi widoku tej pierwszej białej kartki. Sfrustrowany załamuje ręce i zwykle nie pisze ani słowa. Skontaktował się ze mną w dniu swoich urodzin i poprosił – jak sądzę na poły żartobliwie – abym mu podarował w prezencie początek jakiejś historii. Ot, wszystko – kilka linijek na start. Prośba wydała mi się uczciwa, toteż dałem mu początek opowiadania, które dopiero co zacząłem. Teraz dzielę się nim z wami. Jeżeli lubicie pisać i jesteście zainteresowani, to możemy spróbować, a potem się zobaczy, czy warto ciągnąć to dalej.

„Wyobraził sobie, że ona zadzwoni w najmniej spodziewanym momencie. Telefon odezwie się o niewidzialnej porze dnia, w czwartkowe popołudnie około wpół do czwartej, i po tak długiej rozłące usłyszy ją po drugiej stronie. Wypowie tylko jego imię swoim cudownie piskliwym, silnie akcentowanym głosem, i tyle. Jego imię w jej ustach zupełnie mu wystarczy. Nigdy nie zapomni jej charakterystycznej wymowy. A może dostanie esemesa albo maila? Z telefonu lub komputera dobiegnie ciche *ping*, dając znać, że przyszła nowa wiadomość. Otworzy pocztę i zobaczy jej imię po raz pierwszy od wieków. Zastygnie w bezruchu. Uśmiech zgaśnie mu na ustach. Zdoła wziąć głęboki haust powietrza i odczyta wiadomość”.

Szminka na trupach

Czytałem artykuł o zamachowcach wysadzających się na Bliskim Wschodzie i o niespodziewanie rosnącej liczbie kobiet, które przeprowadzają takie zamachy. Uderzający wydał mi się zwłaszcza jeden szczegół: prawie wszystkie kobiety, które schwytano przed dokonaniem zamachu, nosiły grubą warstwę makijażu. W istocie makijaż jest tym, co podobno pozwala siłom bezpieczeństwa rozpoznać potencjalne sprawczynie. Każda mocno umalowana kobieta zachowująca się podejrzanie wywołuje alarm i zostaje zwykle zatrzymana. Odkryto, że większość zamachowczyń nakłada sobie przed akcją gruby makijaż, ponieważ wierzy, że pójdzie do nieba i chce jak najlepiej wyglądać po tamtej stronie.

Brak wakatów

Jedną z najbardziej niedocenianych przyjemności życia polega na znalezieniu kogoś albo czegoś, co zadawała cię w stu procentach. Masz pewność, że nie musisz dłużej szukać. Czy chodzi o życiowego partnera, o ulubione miejsce wakacji, restaurację, żółty ser czy markę tuszu do wiecznego pióra – *finito*: sprawa rozstrzygnięta. Wiesz, że znalazłeś to, czego szukałeś. Rzadko kiedy mamy absolutną pewność, że coś lub ktoś jest tym jednym, jedynym, w sam raz dla nas. Czasem jednak się zdarza – zbyt często nie doceniamy wtedy tego zwycięstwa...

Niedawno napisałem do człowieka, z którym prowadzę interesy, że jeśli chodzi o mnie, nie będę musiał się rozglądać za nikim innym, kto by pełnił tę rolę, ponieważ mam jego. Koniec dyskusji. Dusza może się odprężyć, przynajmniej w tej jednej kwestii.

Słowa, które pomogły

Otrzymałem piękny, wstrząsający list od DVW, która jest śmiertelnie chora. Poprosiła, abym przytoczył poniższy ustęp z *Muzeum Psów*, gdyż w tym czasie próby znalazła w nim pociechę. Przyjmuję jej słowa z pokorą.

„Umierający odznaczają się cechą, którą wyczuwa nawet małe dziecko. Nie dlatego, że usunęli się już z tego świata, ale że nawet młode serce wyczuwa, iż nie są zdolni pozostać tutaj dłużej. Za obliczem choroby lub strachu kryje się twarz podróżnego, który udając się w dalekie strony, spakował już bagaże i wypatruje znużonym, ale nerwowym wzrokiem zmian, które mogą nadejść. Wyruszają w dwudziestogodzinny lot i choć nie zazdrościmy im dyskomfortu ani zmian czasowych, to przecież jutro będą już *tam* – w miejscu, które przejmuje nas zarówno strachem, jak i ekscytacją. Zerkamy na bilet w ich ręku, na niewyobrażalnie daleki cel podróży, który tam widnieje, niemożliwy i straszliwie uwodzicielski. Jaki zapach poczują tam, gdzie jutro trafią? Jak się tam śpi?”

Z drogi!

To jeden z tych, co to włożą ci w drogę, dosłownie albo w przenośni. Wiesz, o kim mówię – o tym osobniku, który sterczy pośrodku chodnika i gapi się w sklepową wystawę albo gada przez komórkę, błogo nieświadomy, że inni muszą go obchodzić. Kiedy robi zakupy w supermarkecie, nie omieszka zostawić wózka na środku alejki, żeby zatamować ruch. Przy podejściu do kasy nie wyciąga portfela, dopóki nie dowie się, ile ma zapłacić, a potem przez pięć minut gmera po przegródkach, ciulając drobne. W miejskim autobusie rozwała się na środku kanapy, żeby nikt inny nie mógł się po prostu dosiąść. Szukając miejsca parkingowego, jedzie dziesięć kilometrów na godzinę środkiem ulicy, żeby nie można go wyprzedzić bez narażania się na niebezpieczeństwo. Kiedy z kimś rozmawiasz, osobnik taki lubi się wtrącić, nie wnosząc nic ciekawego do waszej rozmowy i mijając się z jej przedmiotem. Gdyby był owadem, kąsałby jak coś między osą a gzem. Masz ochotę podnieść rękę i zdrowo go trzepnąć.

Odpowiedź kartki

Pisząc *Muzeum Psów* – powieść o architekturze – spotkałem się z kilkoma znanymi architektami, żeby porozmawiać o ich pracy. Jeden z nich, laureat Nagrody Pritzкера (architektonicznego Nobla), zdradził mi, że zawsze udaje się do miejsc, w których mają powstać nowe budynki, i dosłownie rozmawia z przestrzenią. Rozmowy te odbywają się wielokrotnie, wraca bowiem w różne dni, o różnym czasie i w różną pogodę. Zadaje pytania w rodzaju: „Co chcesz, aby tu stało?”, „Co najbardziej ci odpowiada?”, „Gdybyś to ty, pusta przestrzeń, miała zaprojektować ten budynek, jaką byś mu nadała formę?”. Miejsce budowy nie odpowiada oczywiście na jego pytania wprost, jednak architekt, myśląc niekonwencjonalnie, miewa nowatorskie pomysły i podejścia, które składają się na w końcowy projekt.

W tamtym czasie uznałem, że taki sposób pracy jest może i fajny, ale dziwny, później jednak zdałem sobie sprawę, że właśnie na tym często polega pisanie. Tworzy się jakaś postać i intrygę, po czym – na pewnym etapie – przestaje się nad nimi panować. Zaczynasz stawiać swemu fikcyjnemu bohaterowi pytania w rodzaju: „Co chcesz teraz zrobić?”. Albo: „Nie mam pojęcia, jak powinieneś postąpić w tej sytuacji. Czy możesz mi pomóc?”. Zostaje mieć tylko nadzieję, że wykreowana już postać jest na tyle pełnokrwista, na tyle żywa w twoim umyśle i na kartce, że zdoła *istotnie* poinformować cię, czego chce. Niektórzy bohaterowie wręcz domagają się określonych zdarzeń, niwecząc plany, jakie miałeś względem nich. Pamiętam, że John Fowles stwierdził w jakimś wywiadzie, iż kiedy jego bohaterowie zaczynają mu się przeciwstawiać, to wie, że pisze coś dobrego.

Znamy to uczucie

Przyjaciółka i jej mąż zgodzili się w przypływie szaleństwa wziąć udział w konkursie „talent show” organizowanym w lokalnej szkole. Nie ma sprawy, oboje są uzdolnieni wokalnie. Szkopuł w tym, że żadne z nich nie lubi występować publicznie. Tuż po spontanicznej zgodzie zorientowali się, że popełnili straszny błąd i że nie ma drogi odwrotu. Im bliżej było do daty występu, tym gorzej się czuli. Zżerały ich coraz większe nerwy. Mąż miał serię ataków paniki, a jego żonę, tuż po przebudzeniu, ogarniała zgroza na myśl o tym, że będzie musiała śpiewać w tym idiotycznym konkursie. Całe to zajście można by uznać za śmieszne, gdyby nie emocje, które nimi targaly. Kiedy jechali samochodem na występ, przyjaciółka obróciła się do męża i powiedziała: „Wiesz, co mnie najbardziej wkurza? Że za godzinę będziemy się śmiać i mówić, że zrobiliśmy głupstwo. Że denerwowaliśmy się jak małe roztrzęsione dzieci. Że nie było tak źle. Ale cholera – rzeczywistość jest teraz, tutaj, *w tej sekundzie*, a nie za godzinę. I ta rzeczywistość jest koszmarem. Totalnym horrorem. Czuję, jak ze strachu ssie mnie w żołądku. Dlaczego za godzinę pomyślę, że się wygłupiłam, jeśli w tej chwili nie jestem głupia i cała trzęsę się z przerażenia? Moja rzeczywistość jest teraz, a nie za godzinę, kiedy to wszystko się skończy. *Teraz*”.

Człowiek, któremu rano myję zęby

Czasem podczas sprząwania w pokoju, w biurku czy szafie natykam się na przedmiot, który sprawia, że staję zbity z tropu i wołam w myślach: „Po kie licho ja to kupiłem?!”. Bywa, że jest to kapelusz, długopis, książka albo para butów, których nie widziałem na oczy od chwili zakupu, bo wsadziłem je do szafy albo biurka. Tak czy inaczej zawsze ogarnie mnie podobne zdumienie – dlaczego ja to kupiłem?

Odpowiedź jest oczywista: to nie TY kupiłeś ten przedmiot, tylko ON. Ten facet, którym byłeś owego dnia i który widząc ten kapelusz, uznał – z siebie tylko wiadomych powodów – że musi go mieć. Może tak naprawdę pytamy wtedy siebie: Jak to możliwe, że byłem kiedyś człowiekiem, który chciał posiadać *coś takiego*?

Mroczne życzenie

List, który napisał do niej, kończył się słowami: „Nie życzę ci niczego dobrego”. Po latach wciąż pamiętała je wyraźnie, choć ich związek zatarł się w jej pamięci. Albowiem jego życzenie ziściło się jak bajkowa klątwa. Czasami marzyła, by mu o tym powiedzieć – ażeby się przekonać, jak zareaguje. Wyznać, że jego mroczne życzenie spełniło się i że życie przestało być jej przyjacielem. „Czy żałujesz tych słów?” – zapytałaby w następnej chwili. „Czy chciałbyś je cofnąć?” Wiedziała jednak, jaka byłaby jego odpowiedź, nawet te setki dni później: Nie.

Piętnastolatek, którym byłem

Nikt inny nie krytykuje nas równie surowo jak nasza piętnastoletnia jaźń. Pod jej nadzorem byliśmy zdolni do wszystkiego. Mieliśmy moc, by pokonać każdą przeszkodę. Ani nasza osobowość, ani słownik nie znały wtedy takich pojęć, jak „bezpieczny” albo „przeciętny”. Cechowała nas niezwykła siła i wyjątkowość. Ta młoda jaźń była gotowa kroczyć przez życie niczym zwycięska armia, podbijając resztę naszych dni. Choć teraz patrzymy z uśmiechem (lub szyderstwem) na tę cząstkę samych siebie, która uważała spodnie dzwony za szczyt mody i była przekonana, że rzuci świat na kolana, coś jednak z tamtej jaźni nadal w nas żyje i przygląda się nam, trochę jak dziecko wstydzące się własnych rodziców. Tak więc jesteśmy i swoimi własnymi rodzicami, i własnym dzieckiem. Nikt nie zostaje pominięty: każda z naszych jaźni osądza pozostałe.

Jesteś moim sercem na ulicy

Czasem znajduję serce na ulicy... Nie: nie jestem wariatem ani tekściarzem piosenek country. Czasami spoglądam w dół i widzę narysowane na chodniku serce. Albo plamę oleju lub farby, która skapnęła na jezdnię, przybierając kształt serca. Na leśnej ścieżce leży kamień mający taki właśnie kształt... Przeglądając zdjęcia na stronie Flickr.com, odkryłem, że są na świecie fotografowie, którzy dokumentują takie znaleziska. To coś jakby znaleźć leżącą na ulicy monetę. Mała niespodzianka, oko puszczone przez bogów. Przypomnienie, że niekiedy miłość trafia się nam w najdziwniejszych miejscach.

Wewnętrzny konflikt

Cały czas walczą w nas (co najmniej) dwie tendencje. Pierwsza, racjonalna i dojrzała, staje wobec problemu albo pewnej sytuacji i stwierdza: To już było. Już kiedyś zetknąłeś się z tego rodzaju osobą, sytuacją, kłopotem. Potraktuj je zgodnie z doświadczeniem. Weź to, czego się nauczyłeś, i przenieś to na nowy grunt. Zrób to, to i to. Prosta sprawa.

Tymczasem druga wrzeszczy: Nie, nie, to coś zupełnie nowego! Całkiem inna bajka. Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Nigdy nie spotkałem tak cudownego człowieka – boję się, że coś zepsuję i że go stracę. Albo: Nigdy nie miałem do czynienia ze sprawą tak skomplikowaną, niebezpieczną i trudną. Absolutnie nie umiem sobie z tym poradzić. Jestem sparaliżowany. Umieram ze strachu.

Nieważne, jak często życie się powtarza, jakaś częśćka zawsze się w nas kurczy i woła przerażonym głosem: To dla mnie zupełna nowość! Co mam zrobić z tym fantem?!

Klucz do ciebie

Kobieta wchodzi do kawiarni i siada, rzucając klucze na stolik. Rozlega się imponująco głośny brzęk. Gdy spoglądam na ogromny pęk kluczy, nasuwa mi się – jak zwykle – pytanie, czym zajmuje się ich właścicielka, skoro *aż tyle* ich potrzebuje. Czyżby była ślusarką? Czy otwiera skrytki depozytowe w banku? Z tego, co zauważyłem, ludzie lubią nosić przy sobie mnóstwo kluczy. Może to kwestia prestiżu albo poczucia władzy: noszę ten metalowy bukiet, bo posiadam wiele cennych, zamkniętych na klucz przedmiotów.

Co do mnie, to nienawidzę kluczy i noszę ich najmniej, jak tylko się da. Klucz od mieszkania, od windy, skrzynki pocztowej i samochodu. Kropka. Widząc jednak ludzi taszczących tuziny kluczy, czasem zadaję sobie pytanie – czy moje życie jest *nazbyt* proste? Czy otwieram zbyt mało rzeczy i miejsc? Gdy znajoma wydobyła przy mnie niedawno wielką kiść kluczy, zapytałem ją bez ogródek, od czego one są, do diabła. Odpowiedziała mi śpiewnym dziecięcym głosem: ten jest od mojego mieszkania, ten jest od biura, ten jest... Wyłączyłem się. Może chodzi o to, że ogromny pęk kluczy to dla niektórych dowód stanu posiadania. Ciągły i namacalny. Jeden z moich przyjaciół zawsze nosi w kieszeni klucz od domu, nawet jeżeli wyjeżdża w podróż służbową do Nowej Zelandii. Ilekroć dopada go zdenerwowanie – z powodu zbliżającego się zebrania czy prelekcji, którą ma wygłosić – ściska klucz w garści, aby się pokrzepić, że prędzej czy później wróci do bezpiecznego domostwa.

Nienarodziny gwiazdy

Oglądając filmy z dużą obsadą, takie jak *Ben Hur* czy *Titanic*, często wybieram statystów ze scen zbiorowych i przyglądam się ich twarzom. Przed laty wpadło mi do głowy, że większość z nich uznaje moment, gdy pojawiają się na ekranie, za szczytowy punkt swojej aktorskiej/filmowej kariery. Choćby kamera uchwyciła kogoś przez dwie sekundy – kiedy jako niebieskolicy wojownik w *Braveheart* naciera ze wzgórza z pałką w ręku albo jeden z trzydziestu anonimowych reporterów osacza Meryl Streep wychodzącą z gmachu sądu – i tak epizod ten stanowi dla tego kogoś spełnienie marzeń o występie w wielkim filmie. Ów dzień jest ukoronowaniem kariery, nic nie może się z tym później równać. Pary tańczące w tle filmu z Fredem Astaire’em i Ginger Rogers. Nawet takie beztalencie jak siódmy zbir w grupie atakującej Jean-Claude’a Van Damme’a – ten niski gość stojący z tyłu, z ogoloną głową i wielkim kolczykiem w uchu. Po prostu wiesz, dasz sobie rękę uciąć, że ludzie ci trzymają kopię tego filmu jak relikwię i oglądają „swoją” scenę na okrągło, wspominając dzień, w którym zagrali o trzy lub trzydzieści kroków od Marilyn Monroe.

Dzień dobry, buty!

Mężczyzna, który mieszka po drugiej stronie korytarza, ubóstwia swoje buty. Bez przerwy je poleruje i zostawia na wycieraczce, aby wyschły przez noc. Po korytarzu roznosi się ładny zapach pasty do pielęgnacji butów. O ile zdołałem się zorientować, wkłada też do nich prawidła. Co do mnie, to, owszem, lubię buty, ale nigdy w życiu nie kupiłem ani nie używałem prawideł – co jeszcze raz pokazuje, jak daleko posuwamy się czasem w naszych idiosynkrazjach.

Ja piszę najpierw każdy tekst odręcznie, a kiedy używam wiecznego pióra, korzystam wyłącznie z jednej marki granatowego atramentu. Podobnie jest z piórami kulkowymi – tylko jeden model ma kulkę, która mnie zadowala. Tego rodzaju pióra są bardzo tanie – dolar za sztukę – ale w Wiedniu trudno je dostać, więc kiedy na nie trafię, kupuję od razu dziesięć. Zdaje się, że mam pięćdziesiąt takich piór, zamkniętych w szczelnym pudełku. Ale coś wam powiem: pięćdziesiąt to za mało dla takiego paranoika jak ja. Gdybym jutro gdzieś je zobaczył, kupiłbym następnych dziesięć. Pojutrze zrobiłbym to samo. Czuję wręcz fizyczny dyskomfort, będąc zmuszony pisać czymkolwiek innym. Nie proponujcie mi czasem długopisu ani – błagam! – ołówka...

Dlatego też ilekroć widzę stojące na korytarzu wypolerowane buty mojego sąsiada, łapię się za bezcenne kulkowe pióro w kieszeni i kiwam głową na powitanie jego prawidłom.

Coś na bożonarodzeniowe zaparcie

W czasie Bożego Narodzenia bawią mnie wystawy sklepów, ustrojone Świętymi Mikołajami, reniferami i kolorowymi prezentami, w których sprzedaje się towary mające się tak do świąt jak pięść do nosa. Sklep na moim osiedlu oferuje bandaże, kule i baseny dla chorych. W oknie wisi sporych rozmiarów wywieszka informująca, że można tam zamówić protezy kończyn. W drugim oknie stoją pudła pełne pieluchomajtek dla dorosłych, cztery rodzaje aparatów do pomiaru ciśnienia krwi i tym podobne urządzenia. A wśród tych smutnych oznak starości i zniedołężnienia lśnią gwiazdki i srebrne śnieżynki, wszystko pięknie zaaranżowane, ciągnione zaś przez renifera sanie jadą po „szpitalnym środku przeczyszczającym”. Witryna wygląda jak zatrzymany kadr z filmu Felliniego – zarazem wzruszająco cudownie i niebywale okropnie.

Kolacja dla wrony

Co roku w okresie Halloween wrony migrują z Rosji do Wiednia, by przezimować tu w łagodniejszym klimacie. Z jakiejś przyczyny większość z nich obiera sobie za siedzibę ogromny cmentarz główny (Zentralfriedhof). Mówi się, że ptaki zjadają wosk, zwłaszcza z małych czerwonych i białych zniczy, które ludzie zapalają na grobach bliskich. Zgodnie z tradycją pierwszy listopada to dzień, w którym austriackie rodziny udają się na cmentarz, aby oddać hołd zmarłym. Gospodarze cmentarza twierdzą, że przez następne dni znajdują tam setki leżących pokotem czerwonych zniczy. Oczywiście wrony nie są w stanie jeść gorącego wosku, ale te mądre ptaki nauczyły się przewracać świece i po odczekaniu, aż wosk ostygnie, zlatują się na kolację.

Obrazek

To wszystko, czego chcę dla ciebie, dla nas: prosty pokój i jedna żarówka, zwisająca z sufitu na długim kablu. Z rodzaju tych, jakie widuje się w tanich mieszkaniach lub hotelikach, o których zapomina się natychmiast po wyprowadzeniu. W nocy smętne, skąpe światło nie dociera do odległych zakamarków. Zawisa nad pokojem pełnym cieni. Obojętne.

Zresztą, my i tak nie zwracamy na nie uwagi. Pokój jest jasny i czysty za dnia. Być może okno wychodzi na ciekawy krajobraz. To właśnie jest pokój, którego chcę – z łóżkiem szerokim na tyle, żebyśmy wygodnie się w nim zmieścili, czując na twarzach nasze oddechy.

Masz rumianą skórę. Kiedy przesuwam palcem od krańca twojej brody wzdłuż szyi aż po ramię, uśmiechasz się i drzysz. Jak możesz drzeć, skoro tutaj jest tak ciepło? Chcę tego pokoju. Chcę tego pokoju wraz z tobą, leżącą nago obok mnie. Nie wiem, gdzie jesteśmy. Nad morzem czy w centrum miasta, gdzie wpadający przez okno hałas jest tak samo energiczny jak my.

Popołudnie należy do nas. A także wieczór i noc. O tej porze będziemy już znużeni, a mimo to pójdziemy zjeść obfity posiłek. Będziesz miała cudownie podrażnione, rozognione ciało. W drodze do restauracji będziesz się uśmiechała. Spojrzę na ciebie i zapytam, czy coś się stało. Zaprzeczysz i uściśniesz mi łokieć. Ten czas wyjścia w świat będzie nam potrzebny, aby przypomnieć sobie, że istnieje coś jeszcze oprócz nas, tego pokoju, naszych ciał.

W gwarnej restauracji będziemy rozmawiać cicho. Głosy i twarze wygładzone przez godziny spędzone w łóżku. Każdy, kto nas zauważy, zorientuje się, że dopiero co skończyliśmy się pierdolić. To takie oczywiste.

Później, z powrotem w pokoju, kiedy niczego nie trzeba, będę chciał zdrzemnąć się parę godzin, a potem, gdy się obudzę, będziesz leżała przy moim boku. Może pogłaszczę cię po głowie. A może tylko dotknę twojego nadgarstka, by wyczuć uśpione, tajemne tętno. Reszta może poczekać. Nazajutrz będzie dosyć czasu.

Lektury umarłych

Parę dni temu rozmawiałem z pisarzem, który powiedział coś tak dziwnego, że wciąż płacze mi się to po głowie. Spytał, czy myślałem kiedykolwiek o zmarłych, którzy za życia przeczytali moje książki. Popatrzyłem na niego, by się przekonać, czy nie żartuje. Bez wątpienia mówił poważnie. Nie, nigdy o tym nie myślałem, przyznałem z pewną dozą sceptycyzmu. No więc zastanów się (dodał): Jeśli *istnieje* Tamten Świat, ci ludzie zabrali ze sobą twoje opowieści. Innymi słowy, twoje dzieła znajdują się po DRUGIEJ STRONIE. Niewykluczone, że to będzie miało jakiś wpływ.

Na kogo?

Kto wie? Na ciebie? Na twoje życie? Na to, co się z tobą stanie po śmierci...

A potem zmienił temat.

Lekcja Anthony'ego

W dzieciństwie znałem pewnego chłopaka imieniem Anthony, który zawsze wszczywał bójkę w ten sam sposób: podchodził do ciebie, dźgał cię palcem w pierś i pytał zaczepnie: „No i co mi zrobisz?”. Jeśli nie reagowałeś, dźgał cię jeszcze raz i pytał trochę głośniej: „No i co mi zrobisz?!”. W końcu nie wytrzymałeś i próbowałeś mu oddać.

Niektórzy dorośli zachowują się identycznie, z tym że zamiast cię popychać, robią rzeczy podłe, bezmyślne albo złe, potem rzeczy jeszcze gorsze i w końcu niewybaczalne, cały czas pytając cicho: „Czy jeszcze mnie kochasz?”. Jeśli milczysz, robią kolejne świństwo, ale w ich zachowaniu kryje się pytanie: „Czy po tym, co się stało, jeszcze mnie kochasz?”. Prędzej czy później postępują tak wrednie, że wybuchasz złością i wszczynasz kłótnię, odchodzisz albo skreślasz ich raz na zawsze. Wiem z autopsji, że niektórzy nie mają bladego pojęcia o tym, że tak się zachowują, i są szczerze zdumieni, kiedy każesz im wynosić się do wszystkich diabłów.

Mamo, odejdz!

Dzisiaj znowu się pojawiła. Tym razem miałem ochotę podejść do niej i powiedzieć – odejdz stąd, daj mu побыć w tej przestrzeni, w tym miejscu, o tej porze dnia, kiedy może poświęcić się czemuś, co niewątpliwie jest dla niego ważne, bez poczucia, że jest małym głuptasem. Chłopiec zaczął przychodzić na siłownię przed kilkoma tygodniami. Ja przychodzę zazwyczaj rano, w siłowni można wtedy spotkać stałe grono siłaczy i kulturystów, paru emerytów na bieżniach oraz wytatuowaną, muskularną kobietę, która wydaje się ćwiczyć cały dzień. Widok chłopca – jedenasto-, dwunastoletniego – który przyszedł poćwiczyć, był dość zaskakujący. „Nie powinien być teraz w szkole?” – przeleciało mi przez myśl. Dzieciak jest chudy jak wieszak, zaraz przypomniało mi się powiedzonko mojej babki: „Jest taki chudy, że aby się umyć, musi biegać pod prysznicem”. Ale ćwiczenia traktuje poważnie. Gdy zobaczyłem go pierwszy i drugi raz, towarzyszył mu jeden z instruktorów, tłumacząc, jak należy korzystać z maszyn. Dokładnie stosuje się do tych wskazówek, a na jego twarzy maluje się zawsze wyraz skupienia i powagi.

Któregoś dnia zjawiła się jego matka (tak przynajmniej sędzę). Wkroczyła na siłownię w wyjściowym ubraniu i skierowała się w jego stronę. Otworzył szeroko oczy i zwiesił ramiona. Roześmiała się i dotknęła jego ręk, a nawet spróbowała go przytulić, ale odsunął się od niej. Po kilku minutach otarła mu głowę i wyszła. Miałem wrażenie, że wszyscy klubowicze odwrócili wzrok, żeby oszczędzić chłopakowi wstydu. W porządku – zapomniał czegoś zabrać albo musiała mu coś powiedzieć. Zdarza się. Raz mogła przyjść. Ale teraz pojawia się regularnie. Dzisiaj miała przy sobie aparat i robiła mu zdjęcia w stroju sportowym.

Kiedy byłem nauczycielem, nieraz powtarzałem rodzicom moich uczniów, szczególnie tych „trudnych” albo będących na bakier z nauką, żeby dali im duży margines swobody. Postarajcie się nie ingerować w ich przestrzeń – fizyczną ani psychiczną. Jeśli ich kochacie, dajcie im możliwość rozwoju, tak aby mogli odkryć siebie i kierunek, w którym chcą podążać. Być może najgorsze w tej całej historii jest to, że matka przychodzi na siłownię z miłości do syna, nie mając bladego pojęcia, iż wchodzi z butami w jego przestrzeń.

Uduś mnie, proszę

Fizjoterapeutka, która robiła mi masaż karku, zapytała, czy może wymasować przód mojej szyi. Proszę bardzo, odparłem zaskoczony. Zdziwiłby się pan, wymruczała, ilu ludzi nie wyraża na to zgody. Trudno powiedzieć, czy to wrażliwość na dotyk, czy problem związany z czymś, co przeszli w życiu. Wszystko jedno – nigdy nie masuję im szyi z obu stron. Zaczynam jedną ręką, dopiero kiedy mi powiedzą, że czują się z tym komfortowo, dokładam drugą. Niektórzy ludzie mają poważne obawy przed uduszeniem.

Bulgoczący kociół

Ludzie często mnie pytają: Czy piszesz codziennie? Czy masz stały rozkład zajęć? Siadasz o dziewiątej i piszesz do czwartej? Coś w tym stylu?

Moja ulubiona anegdota o tym, jak pracują pisarze – oraz, jak przypuszczam, wszyscy artyści – pochodzi od znajomego literata. Któregoś dnia żona weszła do jego gabinetu i zastała go leżącego na kanapie, z oczami wlepionymi w sufit. Zapytała go ostrym, poirytowanym głosem: „Leżysz jak kłoda od paru godzin. Co przez ten czas zrobiłeś?”. Na co mój znajomy odpowiedział ze spokojem: „Pisałem”. I nie kłamał.

Pisanie bowiem nie sprowadza się tylko do przelewania słów na papier. Idziesz ulicą i myślisz o konkretnej postaci albo sytuacji, nad którą pracujesz. Nowy znajomy opowiada ci przy kawie ciekawą historyjkę, a ty zaraz kombinujesz: „Mógłbym wykorzystać tę opowieść, gdybym ją trochę skrócił i przerobił”. W telewizji pokazuje się czyjeś zabawne nazwisko, a ty sięgasz odruchowo po pióro i kartkę papieru, aby je zapisać: musi się pojawić w twojej książce. Słyszysz piosenkę, widzisz szpetną albo piękną twarz, doświadczasz nowego zapachu, poznajesz kogoś, kto ciągle się z tobą kłóci... Wszystko to wpada do wielkiego kotła, który nieustannie bulgocze w twojej głowie. To jedna z tych długo pitraszonych zup, którą powinno się gotować na wolnym ogniu. Trzeba nieco czasu, aby składniki i aromaty wymieszały się z sobą i dały coś nowego, niepowtarzalnego.

Opowieść skóry

W nocy, dla uczczenia swego debiutu, poprosił ją, żeby się rozebrała. Kiedy była naga, łagodnym tonem nakazał jej położyć się na brzuchu. Ponieważ nie wykonał najmniejszego gestu, by samemu się rozebrać, nie miała pojęcia, jakie są jego zamiary. Było to podniecające i pikantne. Nie miał dotąd zwyczaju tak się zachowywać. Ale podobał jej się: Nowy-On. Pewnie udzieliła mu się ekscytacja związana z publikacją powieści. Nie przyszło jej głowy, że spróbuje ją skrzywdzić albo zechce nastraszyć. To nie w jego stylu. Była tego pewna.

Kiedy leżała na łóżku, usiadł obok niej i wyjął z kieszeni czarny flamaster.

– Napiszę na tobie nowe opowiadanie, na twojej skórze: od stóp do głów. Co ty na to, zgadzasz się? Wpadłem dziś na ten pomysł. Opowiadanie na twoim ciele, tylko dla nas. Tusz zmyje się przy najbliższej kąpeli, więc będziesz jedyną czytelniczką. – Uśmiechnął się frywolnie. – Chyba że będziesz je chciała komuś pokazać...

Uniosła się na łokciach i potrząsnęła energicznie głową na boki.

– To kompletne szaleństwo! Podoba mi się! Tak-tak-tak, napisz je koniecznie. Ale czy zmieścisz *całe* opowiadanie? Nie ma tu za wiele miejsca... – Zachichotała.

Skinął głową.

– To niedługa historia. Mam wszystko zaplanowane. Zacznę na twoich plecach, a potem będę schodził w dół, bo z tej strony powierzchnia jest gładza. Muszę się nauczyć pisać flamastrem, zanim się obrócisz, i będę musiał sobie poradzić z... twoimi pagórkami i dolinami.

– „Pagórkami i dolinami”?

– Kobiety mają ich na ogół więcej niż mężczyźni.

Uśmiechnęła się znacząco.

– Też tak słyszałam. W porządku: zaczynaj, jak tylko będziesz gotowy. – Opuściła się z powrotem na łóżko i zamknęła oczy.

O dziwo, zamiast posuwać się od karku w dół, pisał po jej ciele poziomo, poczynawszy od prawego ramienia. Gdy pismo pokryło całą długość ręki, przeniósł się na plecy. Z początku czuła łaskotanie od końcówki flamastra, ale po chwili się przyzwyczaiła. Doszła do wniosku, że otrzyma najdelikatniejszy, najbardziej ulotny tatuaż, jakim kiedykolwiek pokryto ludzkie ciało.

W pokoju było ciepło, a on był tuż obok; poczuła łączącą ich cudowną małą magię. Nie wiedziała nawet, kiedy zasnęła.

Po ocknięciu się uzmysłowiła sobie, że nie czuje muśnięć flamastra na plecach. A więc przestał pisać. Podniosła głowę i spojrzała tam, gdzie wcześniej siedział. Nie było go. Wsparłszy się na łokciach, rozejrzała się na boki po pokoju. Dostrzegła jego sylwetkę na krześle, okrytą półmrokiem.

– Co się stało?

– Nic.

Zaciskał dłonie na kolanach. Nie widziała rysów jego twarzy.

– Co się dzieje? Dlaczego tam siedzisz? Czemu przestałeś pisać?

– Chciałem ci się oświadczyć.

– Słucham?

– To opowiadanie... to, co pisałem, to miały być *oświadczyzny*. Chciałem cię prosić o rękę.

Nabrała gwałtownie powietrza.

– W pewnym momencie zobaczyłem... a zresztą, zobacz sama. Idź do lustra i obejrzyj się. Pisałem co najmniej piętnaście minut. Może nawet dłużej. Czarnym tuszem. – Wycelował w nią flamastrem i dźgnął powietrze, jakby chciał zaakcentować swoje słowa.

Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, ale jego głos, zwykle cichy i przyjazny, brzmiał jak rozkaz wyryty w kamieniu. Nie pozostawało jej nic innego, jak go posłuchać. Najbliższe lustro było w łazience. Wstała roznegliżowana z łóżka i weszła tam, czując mętlik w głowie.

Włączyła światło i przekreśliła tułów, żeby zobaczyć, co napisał na jej plecach.

Nic. Nie było tam żadnych słów, zdań ani znaków, nie licząc małego znamienia pod lewą łopatką.

Wszedł za nią do łazienki i patrzył na jej odbicie w lustrze. Obróciła się twarzą do niego i zobaczyła, że w ręku ma telefon komórkowy.

– Powinnaś to zobaczyć. – Wcisnął guzik i zwrócił ku niej aparat. Pojawił się film: w pewnej chwili przestał pisać i zaczął nagrywać swoje dzieło. Oko kamery sunęło pomału po jej plecach, rejestrując ładnie uformowane czarne słowa. Odebrała mu komórkę i zbliżyła ją do twarzy, aby niczego nie uronić.

Ponownie zlustrowała własne plecy. Nic. Spojrzenie w telefon. Spojrzenie w lustro. Nic.

– Jak tylko napisałem „Czy wyjdiesz za mnie?”, słowa wyblakły i znikły. Wszystko: cały tekst. – Wpatrywał się w nią oskarżycielskim wzrokiem, jakby to ona wymazała jego słowa przy użyciu jakiejś magicznej sztuczki.

Nie patrzyła mu w oczy. Bała się tych oświadczeń jak ognia, od wielu miesięcy wiedziała, że ich nie przyjmie. Że nie zostanie jego żoną. Że *nie może* nią zostać. Nie zdobyła się jednak na odwagę, aby w miarę łagodnie i bezboleśnie powiadomić go o swoim „nie”. I oto wyręczyła ją w tym jej własna skóra: dała mu kosza, po prostu wymazując słowa na plecach.

Wiedziała – oboje wiedzieli – że ten dzień musi kiedyś nadejść. Był nieuchronny. Oczekiwali go z mieszaniną radości i trwogi. Co się stanie? Rzeczywiście, zachowała się jak tchórz i słabeusz, unikając tego tematu, ale on był taki szczęśliwy i podekscytowany, kiedy mimo długiej depresji ukończył swoją książkę. Ostatni rok, od przyjęcia maszynopisu do dzisiejszej publikacji, był dla nich obojga najszczęśliwszym rokiem w życiu.

Zbierając się na odwagę, spojrzała na niego w lustrze i odezwała się cichym głosem:

– Wiesz, że za ciebie nie wyjdę. Bez względu na to, jak bardzo cię kocham, nie mogę tego zrobić. Przecież *dobrze o tym wiesz* – wiedziałeś od dnia, w którym

się poznaliśmy.

Patrzył na jej lustrzane odbicie z tęsknotą i wyrzutem. Była jego kobiecym ideałem. Ideałem *człowieka*. Pisząc swoją powieść, przefiltrował wszystkie znane sobie kobiety przez sito swego pożądanego, nadziei i wyobraźni – i stworzył ją. To dzięki niej jego powieść miała jakąkolwiek wartość. Od pierwszej strony napędzała fabułę, a w miarę komplikowania się historii sama stawała się coraz bardziej skomplikowana. Jej ostateczny triumf wzruszył go do łez. Początkowo ją uwielbiał, na końcu się w niej zakochał.

Oparta oburącz o blat wychyliła się w stronę lustra, jakby zbliżała się do niego.

– Od dzisiaj ta powieść nie należy już do ciebie. Jest własnością wszystkich czytelników. Każdy z nich ujrzy mnie w innym świetle. Nie jestem już twoja.
– Wskazała palcem jego odbicie w lustrze. – Nie siedzę już tylko w twojej głowie. Żyję w setkach, a jeśli dopisze ci szczęście, może w tysiącach głów. – Uśmiechnęła się.

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Przypomniawszy sobie, że zamówił na tę godzinę kolację do pokoju. Wyszedł z łazienki, zamykając za sobą drzwi. Od lat marzył o takim wieczorze: gdy ukaże się jego powieść, wynajmie pokój w najlepszym hotelu w mieście i nie zważając na koszty, zamówi królewską kolację na cześć tego wydarzenia. Marzenie to nieraz podtrzymywało go na duchu w mrocznych chwilach, w których nachodziło go zwątpienie albo ochota, żeby zacząć wszystko od nowa. Nie dość, że się spełniło, to jeszcze ona była tutaj razem z nim... Ale...

Otworzył drzwi. Kelner wtoczył do pokoju wózek z zastawą dla dwóch osób. Ustawił go na środku i zdjął przykrycie z dań. Wyglądały bajecznie i pysznie. Królewskie jedzenie. Jedzenie godne królowej.

Wręczył kelnerowi suty napiwek i odprowadził go do wyjścia. Gdy tamten sobie poszedł, wrócił do łazienki i otworzył drzwi. Nie było jej tam. Mimo swojej wrażliwości i dobroci wyslizgnęła się cichaczem, kiedy odbierał od kelnera kolację. Uczyniła to rzecz jasna, aby oszczędzić mu cierpienia. Jego dobro zawsze leżało jej na sercu. Nasze nadzieje i marzenia mają to do siebie.

Twoje zadanie domowe

Zadanie domowe na dzisiaj: nie przekraczając stu pięćdziesięciu słów, opisz

jeden z najszcześniejszych dni swojego życia.

Tamtego lata wyjechaliśmy do Bretanii. Codziennie była piękna pogoda, co w tym regionie Francji zdarza się rzadko. Tego samego ranka, w którym skończyłem pisać swoją drugą powieść, zaniósłem ją na maleńką wiejską pocztę, żeby zrobić odbitki, a potem patrzyłem, jak sędziwa pani naczelnik okleja paczkę – centymetr po centymetrze – ślicznymi, kolorowymi znaczkami. *Eh voilà!* – zawołała po wszystkim i się uśmiechnęła. Mój świeżutki maszynopis wyruszył w świat. Następnie poszliśmy do przydrożnego stoiska „King of Chicken” i kupiliśmy na obiad kurczaka z grilla i ciepłą bagietkę. Zjedliśmy je, siedząc na wysokiej, omiatanej wiatrem wydnie z widokiem na ocean. Czuję się wniebowzięty: ukończyłem wreszcie swoją powieść i byłem przekonany, że nie tylko zostanie ona opublikowana, ale że uczyni mnie sławnym. Parę miesięcy później mój nowojorski agent zadzwonił do mnie z wiadomością, że wszyscy wydawcy ją odrzucili.

Twoja kolej.

Tatuś Nikego

Zaprzyjaźniliśmy się przed laty, bo nasze psy bawiły się razem w parku. Nike był ogromnym kundlem, dwukrotnie większym niż mój pies. Wyglądał na mieszańca doga niemieckiego i jakiejś rasy psa myśliwskiego. Wielki głuptas dominował nad innymi psami, ale podczas zabaw nigdy nie wykorzystywał przewagi swojej masy i siły. Przeciwnie, zawsze był łagodny i delikatny. Aż miło było patrzeć. Lubilem zarówno psa, jak i jego właściciela, i cieszyłem się na ich widok w parku. W miarę jednak jak dorastał, Nike stawał się coraz bardziej agresywny. W końcu, kiedy się zbliżałem, warczał i zachowywał się tak, jakby chciał się na mnie rzucić. Właściciel przestał go przyprowadzać do parku; od czasu do czasu widywałem ich na ulicy – pies trzymany był na grubej smyczy i miał na pysku kaganiec. Nie mieściło mi się w głowie, że tak dobrotliwy szczeniak może przeobrazić się w bestię. Tym bardziej że właściciel sprawiał wrażenie miłego, spokojnego człowieka, który lubił żartować i często się śmiał. Często też coś podjadał – dzieląc się ze swoim psem, który warował cierpliwie i grzecznie u jego stóp.

Na kilka lat straciłem ich z oczu. Wczoraj poszedłem do gigantycznego sklepu odzieżowego znanej sieci i zobaczyłem właściciela Nikego obsługującego kasę za ladą. Nawet zważywszy na ruch – czyli dodatkowy stres – związany z wyprzedazą poświąteczną, mężczyzna traktował klientów niebywale chamsko. Byłem tym tak zaskoczony, że stałem parę minut w kąciku i przyglądałem się, jak pracuje. Był opryskliwy, niecierpliwy i nieskory do pomocy – zarówno w stosunku do klientów, jak i kolegów z pracy. Zachowywał się tak, jakby chciał uprzykrzyć wszystkim życie. Trudno było uwierzyć, że gnojek, którego obserwuję, to ten sam miły facet, z którym przegadałem w parku wiele godzin. Przypomniał mi się Nike: słodki szczeniak, który pomału przedzierzgnął się w psa z piekła rodem. Zaczynałem się domyślać, jakie mogły być powody tej przemiany.

Okamgnienia

Jedną z przyjemności jazdy pociągiem jest to, że można zaglądać na podwórka przy domach, które się mijają po drodze. Przestrzenie te wiele mówią o swoich właścicielach. Widzi się podwórza zaniedbane, rozrzucone bezładnie przedmioty: narzędzia, zabawki, huśtawki z uszkodzonymi siodełkami, przewracane meble ogrodowe, niekoszoną od wieków trawę.

Są też podwórka w stylu zen, z idealnie przystrzyżonymi i utrzymanymi trawnikami i kwiatami. Jedno lub dwa krzesła, nigdy więcej, stoją w doskonałej symetrii. Pośrodku znajduje się ogrodowy posąg albo staw z rybkami, otoczony czystymi, kupionymi w sklepie kamieniami. Zawsze mam wrażenie, że miejsca te mają w sobie jakiś upiorny czy też pogrzebowy klimat.

Najbardziej lubię te podwórka, na których coś się dzieje, pełne zorganizowanego chaosu. Widać nadmuchiwane baseniki. Drewniany stół piknikowy. Parę rowerów opartych o ścianę domu. Czarny ruszt lub palenisko do pieczenia mięsa. W okamgnieniu wiadomo, że właściciele kochają to podwórko i korzystają z niego przy dobrej pogodzie. Łatwo sobie wyobrazić szczęśliwe dzieci biegające wszędzie na bosaka, roześmiane, chlapiące się wodą z basenu, dziesięć hamburgerów na grillu i niebiański zapach unoszący się nad wszystkim. Ludzie siedzą latem do późnego wieczora i palą papierosy, szepczą, snują marzenia, flirtują; wiedzą w głębi serca, że nic lepszego ich w życiu nie spotka.

Przepis na opowiadanie

Mistrzynie krótkich opowiadań Alice Adams wypracowała ciekawy przepis na opowiadanie złożony z pięciu elementów: Akcja, Tło, Rozwój, Kulminacja i Zakończenie. Zaczynij od akcji, na tyle frapującej, aby wciągnęła czytelnika i sprawiła, że zechce poznać więcej szczegółów. Tło pozwoli mu zrozumieć bohaterów, dowiedzieć się, kim są i jak doszło do tego, że żyją obok siebie, a także co się stało przed rozpoczęciem opowiadania. Następnie rozwiń charakterystykę tych postaci, powiadamiając czytelnika, na czym im najbardziej zależy. Stąd narodzi się fabuła, czyli dramat, działania i napięcia. Kieruj swoimi bohaterami do chwili, aż wszystko zbiegnie się w punkcie kulminacyjnym, po którym nic już nie będzie dla nich takie samo. Nastąpi jakaś realna zmiana. I wreszcie zakończenie, w którym jest czas na refleksję: Jak *teraz* odbieramy tych ludzi? Co im zostało? Jaki jest sens zmiany, która dokonała się w ich życiu?

Maślany popcorn

Siedzieliśmy przed kawiarnią na rynku, ciesząc się sobą nawzajem i pięknym dniem późnego lata. W pewnym momencie podszedł do nas żebrak w różowej koszuli i zaczął coś mamrotać. Nie zwróciłem na niego większej uwagi, ponieważ ona mówiła właśnie coś interesującego, czego chciałem wysłuchać. W końcu uprzytomniłem sobie, że ktoś sterczy przy moim ramieniu. Tuż obok. Podniosłem głowę i zobaczyłem go uśmiechniętego, z wyciągniętą ręką. Jego zęby były koloru gorącego maślanego popcornu. Wyglądał niesamowicie – miał okrągłą twarz i, na pierwszy rzut oka, ciepłe i przyjazne oczy. Wystarczyło jednak przyjrzeć im się nieco dłużej, aby zobaczyć chytryść i inteligencję. Jego antypatia była wręcz namacalna. Błagał o pieniądze, ale nie lubił cię.

Powiedziałem: „Nie”. Wyglądał dość porządnie – był młody i czysto ubrany: nowa różowa koszula, modne adidas, wełniana czapka. Nie ruszając się z miejsca, cały czas głądził coś pod nosem. Nie rozumiałem tego, co mówi, więc powtórzyłem głośniejszym głosem: *Nie*. Urwał i odezwał się do mnie, tym razem całkiem wyraźnie: „Ty tak mówisz, ale może ona tak nie mówi”. Spojrzał na nią nad stołem i uśmiechnął się, jak gdyby oboje łączyła jakaś zmowa. „Nie!” – odparła swoim delikatnym, ale wyraźnym głosem, dużo bardziej stanowczo ode mnie. Mężczyzna zmrużył oczy jak Smiegot (czy tak się to pisze?) we *Władcy Pierścieni* i oddalił się cichaczem, nadal mamrocząc coś do siebie. Zerknął przez ramię, po czym jeszcze raz się uśmiechnął. Gorący maślany popcorn.

Ostatni śmiech

Wśród pochwał i panegiryków na temat Davida Bowiego, jakie słyhać od czasu jego śmierci, jedna rzecz moim zdaniem zasługuje na szczególną uwagę. W sieci krąży jego zdjęcie, wykonane podobno na dwa dni przed śmiercią. Pokazuje ono śmiejącego się artystę, ubranego w piękny garnitur, z wystrzałowym kapeluszem na głowie. Dając wiarę temu, że fotografię rzeczywiście zrobiono tuż przed śmiercią, nie mogłem oderwać od niej wzroku, aż wreszcie narodziła się we mnie konkretna myśl: jakie to cudowne – śmiać się, uśmiechać, być radosnym na dwa dni przed śmiercią. Czego można chcieć więcej, gdy życie dobiega końca? Nieważne, czy jesteś bogaty czy biedny, kochany czy samotny, czy towarzyszy ci sukces czy porażka – droga, którą podążałeś przez życie, przywiodła cię ostatecznie do miejsca, gdzie liczy się tylko to, że czujesz zadowolenie, a może i szczęście, jeśli los był dla ciebie łaskawy. Nie wiem nic o życiu Bowiego, ale patrząc na to zdjęcie, pomyślałem sobie „Kurczę, mam nadzieję, że też się tak będę czuł na czterdzieści osiem godzin przed końcem”.

Żagle miłości

Miłość, dzięki Bogu, jest nieprzewidywalna. To, że doznałeś miłosnego zawodu z powodu kogoś, kto odbiega od twojej normy, nie znaczy, że trzy miłości później, zabierając się do rzeczy identycznie lub podobnie, musisz znowu ponieść klęskę. W istocie bowiem miłość to przede wszystkim intensywność doświadczeń – i tych dobrych, i tych złych. Na ogół ludzie postrzegają miłość (i takiej pragną) jako bezpieczną przystań chroniącą przed życiowymi sztormami. Dobrze, jeśli tak się zdarza. Życie większości ludzi jednak jest szare, nudne i powtarzalne. Gdy zawita tam miłość, będzie ona jedynym porywem wiatru, jaki kiedykolwiek wydmie ich żagle, jedynym prawdziwie transcendentnym doświadczeniem w ich życiu. Czasem ten wiatr ma siłę sztormu, a czasem jest łagodną bryzą popychającą nasz okręt do przodu. Poznałem w życiu różne kobiety i mogłem się przekonać, że podejście, które działa względem jednych, nie działa względem drugich. Gdyby jednak miłość można było z góry przewidzieć, byłaby ona zapewne nudna i z całą pewnością o wiele mniej pożądana.

Jedyna słuszna interpretacja

Wiele lat temu, kiedy uczyłem literatury, wziąłem udział w pewnej dyskusji z moimi kolegami nauczycielami; zastanawialiśmy się, jak najlepiej omówić z uczniami znakomity wiersz T.S. Eliota *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*. W połowie ciekawej, bezładnej rozmowy do pokoju weszła inna nauczycielka. Przysłuchiwała się nam chwilę, po czym oznajmiła, że wszyscy jesteśmy w błędzie, gdyż wiersz dotyczy tylko i wyłącznie TEGO, a cała sztuka polega na tym, aby interesująco przekazać tę ideę uczniom. Odpowiedziałem jej, że mówi jak faszystka – nie ma jednej interpretacji wiersza. Nie można twierdzić, że wiersz jest tylko o TYM JEDNYM. Dzieciaki nie znoszą takich ograniczeń, bo odbierają im one całą przyjemność płynącą z czytania i dyskusji. Nauczycielka nie zgodziła się ze mną. Od słowa do słowa nasza dyskusja stała się dość ostra, a potem nieprzyjemna.

Epizod ten przypomniiał mi się niedawno, gdy ktoś podesłał mi wpis z bloga, którego autor interpretował fragment mojej powieści sprzed lat. Choć rozpoznałem cytaty, to jednak znaczenie, które mu przypisał ów autor, miało się do wyrażonej tam intencji jak dzień do nocy. W pierwszym odruchu pomyślałem – o rany, ten bloger nic nie rozumiał. Ale potem przypomniła mi się ta dawna dysputa na temat *Prufrocka* i skrzywiłem się, uświadamiając sobie, że każdy z nas ma potencjał do tego, by w okamgnieniu stać się literackim faszystą, gdy tylko inaczej od nas zinterpretuje jakiś tekst albo – w szerszym kontekście – życie innych ludzi.

Halo, kto mówi?

Podobają mi się twierdzenia w stylu „na świecie istnieją dwa rodzaje ludzi...”, ponieważ często okazują się prawdziwe. Są na przykład ludzie, którzy płacą za drinki, i są tacy, którzy nie płacą. Jedni ciągle żalą się na swój los, a inni nie żalą się w ogóle. I tak dalej. Można tę zasadę rozciągnąć do głosu, który odzywa się, gdy odbierzesz telefon. Na świecie istnieją mianowicie dwa rodzaje ludzi: tacy, którzy natychmiast ci się przedstawiają („Cześć, mówi John”), i tacy, którym się wydaje, że poznasz ich po głosie („Cześć” i kropka). A gdy ich nie poznasz – i będziesz musiał zapytać „kto mówi?” – z pewnością zranisz ich uczucia, zanim rozmowa w ogóle się zacznie.

Albo taka wersja: Kiedy przed laty uczestniczyłem w promocji mojej książki, po odczycie podeszła do mnie jakaś kobieta i zapytała: „Pamięta mnie pan?”. Zaprzeczyłem. Momentalnie zrzęda jej mina. W jej głos wkradły się napięcie i uraza. Okazało się, że szesnaście lat wcześniej była moją uczennicą w dziesiątej klasie. Szesnaście lat temu. Popatrzyłem na nią wzrokiem mówiącym „chyba pani żartuje”. Ona spojrzała na mnie jak na stetryczalego kretyna. Nie jeden raz znalazłem się w tego rodzaju sytuacji. Dlatego błagam – ilekroć do kogoś dzwonicie, zaczniście od przedstawienia się (przynajmniej przy pierwszych paru rozmowach). Może nie trzeba tego robić, dzwoniąc do męża, dziewczyny albo matki, ale ludziom nienależącym do grona waszych najbliższych znajomych – przedstawcie się koniecznie. I na miłość boską, nie mówcie: „Cześć, to ja”. Dziesięć minut temu odebrałem telefon i usłyszałem odzywkę tej treści. „Jaki ja? – odparłem. – Znam wiele różnych ja”.

Gwiazdy na ciężarówce

W mokry, deszczowy poniedziałek, po opadach śniegu, służby miejskie zdejmują z ulic gwiazdkowe dekoracje, które zamontowano tam jeszcze w listopadzie. Kolorowe przybrania jarzące się jak uliczne światła, ogromne wieloramienne gwiazdy wiszące nad chodnikami i tym podobne elementy. Miasto niniejszym obwieszcza, że Boże Narodzenie dobiegło końca. Stoję przy kontuarze kawiarni i patrzę, jak dwóch mężczyzn na żurawiu hydraulicznym odkręca jedną z ogromnych białych gwiazd. Po uwolnieniu z cum rzucają gwiazdę na platformę ciężarówki obok jej wycofanych z użycia towarzyszek. Widok jest dość posępny: zgniła styczniowa pogoda i bożonarodzeniowe gwiazdy ciskane na ciężarówkę jak uprzykrzone konary drzew, które podczas burzy zaplątały się w trąbkę elektryczną. Kelnerka przygląda się chwilę tej scenie, po czym posyła mi maleńki uśmiech. „Cieszę się, że moje dzieciaki tego nie widzą” – mówi i wraca do swoich zajęć. Oto czego trzeba nam w takich chwilach jak ta: celnej uwagi wypowiedzianej przez kawiarnianą filozofkę, która ustawia wszystko we właściwym świetle.

Od czego są przyjaciele?

„Każdy powinien dożyć 92 urodzin, doznać orgazmu i w tej samej sekundzie – paść trupem”.

Powyższe zdanie występuje w jednej z moich książek, nie pamiętam już w której. Przyjaciel przysłał mi niedawno maila, w którym zawiadamia mnie, że widnieje ono na stronie pornograficznej (obok mojego imienia i nazwiska) pod czarno-białym zdjęciem ukazującym wszystkie możliwe, hmm... szczegóły anatomiczne. Gdy słowa te wymaszerowały spod mojego pióra, ani przez moment nie powstała mi w głowie myśl, że spotka je kiedyś taki zaszczyt.

Niech żyje sztuka!

Arcydzieło w śmietniku

W genialnym dokumencie Sydneya Pollacka poświęconym architektowi Frankowi Gehry'emu jest taka na długo zapadająca w pamięć scena. Wszyscy, którzy mieli okazję obejrzeć Muzeum Guggenheima w hiszpańskim Bilbao albo Halę Koncertową Walta Disneya w Los Angeles, wiedzą, że Gehry jest połączeniem wielkiego artysty i wizjonera. W filmie pada pytanie, skąd architekt czerpie inspirację do swoich projektów. Gehry podnosi stojący przy jego biurku kosz na śmieci i odpowiada: „Na przykład – stąd. W każdym koszu widać cienie i kąty, załamujące się rozmaicie światło. Kombinacje niemożliwych rzeczy złączonych przez przypadek, związki, których nie powinno być, ale są. Jeśli ma się naprawdę otwarte oczy, trzeba tylko zajrzeć do kosza, żeby odnaleźć tam natchnienie”.

Pan Sturm i pani Drang

Żyli w burzliwym związku. Mało powiedziane! Żyli pośród huraganu. Ich związek był jak pięcioaktowa włoska opera pełna rozstań i powrotów, czułych łez, wycelowanych palców, gwałtownych oskarżeń, patetycznych odejść i czule szeptanych lub karmazynowym atramentem pisanych deklaracji: „Ja bez ciebie żyć nie mogę!”. Byli i okrętem, i zbałwanionym morzem, przez które usiłowali przepłynąć. On miał żonę, a ona męża, potem oboje byli rozwiedzeni, tyle że nierównocześnie. Wracali do siebie i zrywali ze sobą, żarli się i godzili. I tak bez końca. Burza i napór, bez których nie można było się obyć. Pan Sturm i pani Drang.

Mimo to przez ich związek biegła jedna linia basowa, łączyła ich jedna nieprzerwana nić: ich dusze nigdy nie mogły się sobą nasycić, choćby w ich życiu byli inni ludzie, choćby dzieliło ich tysiące mil, choćby mijały tygodnie i lata bez słowa. Jakaś część ich duszy – taka czy inna – nie wyobrażała sobie życia bez tego drugiego i ten psychiczny klej wiązał ich razem.

Niedojedzony lunch

Piękny sierpniowy dzień: zabieram psa na długi spacer do parku Augarten, a następnie zachodzę na lunch do jednej z moich ulubionych parkowych restauracji. Lokal jest wypełniony zaledwie do połowy, przeważają pojedynczy ludzie pijący kawę lub herbatę. Piesek i ja siadamy, zamawiamy i delektujemy się chwilą. Szczęście. Rodzaj szczęścia, które ogarnia cię pod koniec lata, kiedy można już tylko pałętać się i wystawiać twarz ku słońcu. Ułamek sekundy później podchodzą do nas dwie wysztafirowane starsze panie i pytają, czy mogą się przysiąść. Zdziwiony patrzę na rozstawione dokoła puste stoliki. Zdziwienie odmalowuje się chyba na mojej twarzy, bo jedna z nich dodaje:

– Lubimy siedzieć tutaj.

No więc mówię „oczywiście” i kobiety kłapią na krzesła. Cisza. Kelner przynosi mi lunch, one zamawiają coś do picia. Długa cisza. Wreszcie jedna wzdycha i odzywa się:

– Biedny Hansi.

Druga także wzdycha.

– Nie żyje. Rak prostaty. To musi być trudne dla mężczyzny.

Podnoszę oczy – obie gapią się prosto na mnie. Zaraz spuszczam wzrok. Jeszcze dłuższa cisza. Zerkam ponownie: nadal świdrują mnie spojrzeniem.

– A co u Elfi?

– Zmarła. Nie słyszałaś?

– Nie! Na co umarła?

– Na raka jelita grubego. Co za tragedia.

– Jakie są właściwie objawy raka jelita grubego?

– No cóż...

Podczas gdy kobieta zaczyna opisywać ze wszystkimi barwnymi

szczegółami objawy raka jelita grubego, wziernikowanie okrężnicy, worek na kał i tym podobne detale, ja spoglądam na swój zjedzony do połowy lunch i zastanawiam się, czy nie pora się stąd zmywać.

Pytanie do samego siebie

Beletryści: istotne pytanie, które musicie sobie zadać, opowiadając swoją historię, brzmi następująco: Dlaczego czytelnik miałby się przejmować losem waszych bohaterów? Czemu komuś miałyby zależeć na tym, aby się dowiedzieć, jak ta historia dalej się potoczy i co się zdarzy tym bohaterom.

Niedawno zacząłem oglądać serial telewizyjny, ale przerwałem po dwóch odcinkach, gdyż występujące w nim postacie mnie nie interesowały. Czułem się tak, jakbym spędził dwie godziny w towarzystwie sympatycznego nudziarza, z którym nie miałem ochoty się więcej widywać. Słynni fikcyjni złoczyńcy, jak Hannibal Lecter albo Walter White, interesują nas dlatego, że są pełnokrwistymi, nietuzinkowymi ludźmi, którzy akurat stoją po stronie zła. Ale nawet tak głupawy film jak *Wstrząsy*, w którym ziemia zostaje zaatakowana przez ogromne robale, może sprawić widzowi dużą frajdę, ponieważ scenarzystom udało się wymieszać grozę i czarny humor w idealnych proporcjach. I co równie ważne – dwaj główni bohaterowie są zabawni, niesztampowi i na swój szorstki sposób sympatyczni.

Kiedy się czyta recenzje powieści zamieszczone w Amazon.com, prędej czy później natrafia się na tekst w stylu: „Bohaterowie nic mnie nie obchodzili i od pewnego momentu było mi wszystko jedno, co się z nimi stanie, więc odłożyłem książkę”. Czy lubisz swoich bohaterów czy też nie – pamiętaj, że piszesz dla publiczności i musisz podtrzymać jej zaciekawienie, nie tylko rozwojem samych wypadków, ale także ich uczestnikami, chyba że nie zależy ci na tym, aby ludzie doczytali twoją historię do końca. Pewien nauczyciel pisania kreatywnego, omawiając kiedyś wiersz ze swoim studentem, ujął to następująco: „Ten wiersz być może łamie twoje serce, ale nie łamie mojego”.

Rozzłoszczony cień

– Mógłby pan powtórzyć tę nazwę?

– Zespół rozzłoszczonego cienia.

– Co to ma znaczyć?

Lekarz przeniósł notes do drugiej ręki i nadał swojej twarzy wyraz spokoju, którego bynajmniej nie czuł w obecności tego irytującego pacjenta. Nieco wcześniej jedna z dyżurujących pielęgniarek skwitowała go słowami: „Gdyby na świecie istniał kraj o nazwie Dupek, ten facet zostałby dożywotnim prezydentem”.

– Zespół rozzłoszczonego cienia występuje wtedy, kiedy dusza człowieka staje się tak bardzo niezadowolona z jego zachowania, że zaczyna się do niego odzywać.

– Mój *cień* odzywa się do mnie?

Lekarz potwierdził skinieniem głowy.

– Bo nie podoba mu się moje zachowanie?

– Zgadza się.

Nie wiedzieć skąd dobiegł ich znajomy głos: „No więc, czy *teraz* mi wierzysz?”.

Mężczyzna spojrzał na lekarza, który skinął głową.

– Tak, to jest właśnie pański cień.

Mężczyzna zmarszczył się i skrzyżował ręce na piersi.

Dochodzący znikąd i zewsząd głos zapytał tonem nagany:

– A zatem: co masz na swoje usprawiedliwienie?

Gdy padły te słowa, mężczyzna patrzył na lekarza. Ten niecałkiem zdołał ukryć uśmiezek wypełzający mu na twarz.

Ty i twoje menu

Jak wiadomo, są restauracje, które oferują trzy- lub czterodaniowy posiłek w stałej cenie. Nieuchronnie takie menu zawiera coś, czego nie lubię, na co nie mam ochoty albo co bym chciał zmienić. Rzadko płacę stałą cenę. Podobnie rzecz się ma z niektórymi ludźmi: wolałbyś mieć możliwość wyboru, zamiast brać cały „zestaw”. „Czy mogę prosić o twoje poczucie humoru i ciekawe uwagi o życiu, a zrezygnować z twojej huśtawki nastrojów i nieuczciwości?”

Niebezpieczne mapy

Dzieci przypominają starożytnych kartografów kreślących pierwsze mapy, usiłujących opisać nowy świat, który dopiero zaczęto eksplorować. Wyrysowane przez nich mapy były absurdalnie nieścisle i absurdalnie odważne. Tu mieszkają potwory! Ani kroku dalej, bo spadniesz ze skraju ziemi! Tędy do piekła...

Wyprawiali się na morza i oceany w kruchych łodziach, zapuszczali się do lasów, ruszali pieszo przez pustynie, mając przy sobie skromne racje żywnościowe, nieodpowiednie ubrania i broń, która musiała się okazać bezużyteczna w starciu z potworami, które czekały, żeby ich pożreć. Jedyne, co podtrzymywało ich w wędrówce, to nadzieja i ciekawość.

Potwory, jakie sobie wyobrażamy w dzieciństwie, są równie przeraźliwe jak te, na które natykamy się jako dorośli. Ponadto lądy, które zdążyliśmy jako dorośli opisać, zostały dawno już przebyte i są na ogół bezpieczne.

Ty jako chmura

Niemal każdy z nas nosi w sobie człowieka z przeszłości, który tkwi nam w duszy niczym drzazga. Wiesz, kogo mam na myśli: na pierwszy plan wysuwa się kochanek, który rzucił cię przed laty z niezrozumiałych, niedających się zaakceptować powodów. Szkolny łobuz, który znęcał się nad tobą na boisku. Nauczyciel, który cię zainspirował, otwierając w twojej głowie drzwi, z których istnienia nie zdawałeś sobie sprawy. Sąsiad, który mimo cierpienia odszedł z godnością, pozostając do końca człowiekiem życzliwym i uczynnym.

Na ironię zakrawa to, że gdybyś miał się spotkać z tymi ludźmi i zakomunikować im, że wywarli na tobie wielkie wrażenie, byłiby szczerze zaskoczeni albo zakłopotani. W istocie bowiem byłeś zaledwie maleńką chmurką na ich horyzoncie, punkcikiem na ich ekranie, kimś, o kim bardzo szybko zapomnieli. Ty jednak – pamiętasz ich doskonale.

Kilka myśli z notatnika

Pytanie jest proste, ale zasadnicze: co dodałeś do tego świata?

Wszystkim nam przyznano określoną, skończoną ilość czasu. Jedni ludzie, z którymi się stykamy, wzmacniają nasz czas, a inni go lekceważą, dbając wyłącznie o czas własny; garstka ludzi nadużywa naszego czasu swoimi słowami lub czynami. Choć trudno się do tego przyznać, często sami jesteśmy winni tego, że pozwalamy innym poniewierać naszym czasem na Ziemi, zwłaszcza tym spędzonym z nimi.

Dlaczego ludzie nas kochają? Bez końca głowimy się nad tym pytaniem, ale wychodzimy zawsze od naszego punktu widzenia. To zbyt wąski ogląd. Bywa, że ktoś kocha nas za coś, czego o sobie nie wiemy. Na przykład: za nasze dłonie. *Moje dłonie?* Dlaczego ktoś miałby zakochać się w moich dłoniach? Owszem, zakochał się i ma po temu swoje powody. Trzeba się z tym pogodzić i uświadomić sobie, że ten ktoś pokochał człowieka innego niż ten, którego znasz. Jest taka ładna sentencja francuskiego pisarza André Malraux: „Nie twój interes, czemu cię kocham”.

W świecie idealnym życie obfitowałoby w magię, miłe niespodzianki i nieoczekiwane bukiety kwiatów. Niestety, rzadko tak bywa. Jednak na co dzień możemy niekiedy dołożyć swoją małą cegiełkę do życia ludzi, którzy są dla nas ważni.

Radość porusza się prędko. Smutek pełźnie.

Moje Narody Zjednoczone

Ludzie muszą zdać sobie sprawę, że nie są pojedynczymi osobami, które raz po raz zachowują się dziwacznie i nietypowo. Że składają się z mnóstwa różnych jaźni, które ustawicznie walczą i konkurują ze sobą. Trzeba jakoś nakłonić je do zgody w kilku podstawowych kwestiach. Wyperswadować im ciągle spory. Sęk w tym, że każda z nich ma różne potrzeby. Jedna jaźń pragnie bezpieczeństwa, a druga przygody. Chcę być kochana. Chcę mieć święty spokój... To nie są ścierające się przeciwieństwa, ale osobne jaźnie mówiące „żądam i domagam się!”. Chodzi o to, aby nakłonić je do zgody w konkretnej życiowej kwestii.

Oddychający świat

Prawie codziennie widuję go gdzieś na osiedlu. Zawsze tak samo ubrany – w śnieżnobiały letni garnitur i czystą białą koszulę zapiętą na ostatni guzik. Długie srebrne włosy nosi zaczesane do tyłu, zadbane i starannie ułożone. Sądząc po wyglądzie, ma około siedemdziesiątki. Kiedy stoi w bezruchu, można by pomyśleć, że wygląda jak biała chmura – tylko po kiego diabła nosi garnitur w taki upał? Odpowiedź ujawnia się, kiedy się porusza, wykonując sztywne, nieskoordynowane ruchy świadczące o przebytym udarze mózgu albo innej chorobie neurologicznej. Zdradza go zaciśnięta w pięść dłoń, którą przyciska do boku. Przypuszczam, że doznał udaru, ale to bez znaczenia. Wskakując na moment w jego głowę i spoglądając na świat jego oczami, widzę olśniewającą biel garnituru, guziki koszuli i uczesane włosy – podoba mi się, że mówi w ten sposób: „*Spierdalaj stąd, Śmierci!* Wiem, że mnie dopadniesz i może jesteś już blisko. Ale ja się nie poddam bez walki: włożę ten idealnie biały garnitur, pozapinam guziki koszuli pod samą szyję, zmuszając do wysiłku swoje martwe dłonie, i zaczeszę włosy. Nie sprzedam tanio swojej skóry. Dopóki żyję, dołożę wszelkich starań, aby wyglądać jak król w oczach oddychającego świata”.

Smutek brzucha

Kiedy oboje się położyli, delikatnie oparła głowę na jego nagim brzuchu. Upłynęła dłuższa chwila, zanim przerwała milczenie: „Dużo tu smutku”.

Zmarszczył się, zaskoczony jej uwagą, i popatrzył na nią znad swojego torsu, sądząc, że się przesłyszał. „Co takiego?”

W odpowiedzi przesunęła wolno swoją dużą dłoń, tam i z powrotem, po ciepłej skórze na jego brzuchu. „Tak, tutaj” – mówił jej gest. „Dobrze mnie usłyszałeś”.

Przyszłość na dziesięciu tysiącach metrów

Zazwyczaj budzę się wcześniej rano, o piątej albo szóstej. O tej porze, choć mieszkam w centrum, świat jest wyrazisty, czysty i cichy. Najpierw wychodzę z sunią na spacer. Kiedy oboje przechadzamy się opustoszałą zwykle ulicą, wodzę wzrokiem po niebie, wypatrując smug samolotowych. Uwielbiam je – grube białe cięcia na błękitnie porannego nieba. Romantyzm lotu o tak wczesnej porze, bez względu na to, czy samolot leciał całą noc, czy dopiero wystartował. Dokąd zmierza o szóstej rano? Skąd przylatuje? Ktoś tam nie może się już doczekać lądowania. Ktoś inny drży ze strachu przed tym, co czeka go na tym samym lotnisku. Dzieci pierwszy raz zobaczą śnieg albo plażę, wielkie miasto, babcię i dziadka...

Któregoś ranka przystanąłem na chodniku, gapiąc się rozmarzonym wzrokiem na przecinający niebo samolot. Sunia warowała cierpliwie u moich stóp, dopóki nie poczułem, że szarpnęła za smycz. Zorientowałem się wtedy, że tuż obok stoi sąsiadka i uśmiecha się do mnie. „Na co pan tam patrzy tak wcześnie rano?” – zapytała. W pierwszym odruchu chciałem powiedzieć coś rozsądnego, na przykład: „Na samolot”. Ale zamiast tego odrzekłem: „Na setki ludzkich przyszłości”.

Dzień i noc

Życie i śmierć nie idą w parze. Nie mogłyby z sobą zatańczyć, bo każde chciałoby prowadzić. Współistnieją ze sobą na tej zasadzie, że jedno zawsze zależy od drugiego. W istocie gardzą sobą nawzajem, tak jak noc gardzi dniem i na odwrót. Gdyby były bliźniakami, zadusiłyby się w kołysce. Każde pachnie w specyficzny sposób. Wszystko, co żyje, tchnie wonią ciepłą, organiczną, niestałą. Aromat śmierci jest zimny i niezmienny.

Małe anioły

Psy to małe anioły, i mówię to całkiem serio. Kochają bezinteresownie, wybaczą momentalnie, są najwierniejszymi przyjaciółmi, którzy zrobią wszystko, byle nas uszczęśliwić. Spacer podczas ulewy? Proszę bardzo! Pizza o trzeciej nad ranem? A jakże! Kto wysłucha twoich problemów, gdy wszyscy odwrócili się do ciebie plecami? One. Gdyby ktoś posiadał niektóre z tych cech, trzeba by stwierdzić, że jest to wyjątkowy człowiek. Gdyby miał je WSZYSTKIE, należałoby go nazwać aniołem. Ale ponieważ mowa jest o „zwykłym” psie, stwierdzamy tylko, że jest słodki i zabawny, koniec kropka. Zastanówcie się chwilę: jakie zalety cenicie najbardziej u drugiego człowieka? Często te właśnie rzadkie cechy występują u psów, tyle że wskutek przyzwyczajania nie zwracamy na nie uwagi.

Opowiedz mi

Opowiedz mi o swojej ulubionej chwili, a ja opowiem ci o mojej. O tej chwili, gdy *naprawdę* wierzyłaś, że jesteśmy nieśmiertelni, że nie można nas pokonać, że jesteśmy bogami, wojownikami ninja, czarnymi pasami, złotymi medalistami – ponieważ ty miałaś mnie, a ja ciebie, i to wystarczyło.

Opowiedz mi o chwili, gdy „ja” ustąpiło miejsca „my” i odsunęło się w cień na czas, który wydawał nam się trwać wiecznie. O tej chwili, gdy byłaś przekonana, że do końca życia nikt nas nie złamie ani nie rozdzieli. O chwili, gdy wiedziałaś z całą pewnością, że ją znaleźliśmy, że nic nam nie grozi, że jesteśmy w domu. Opowiedz mi.

Małe cuda

Ile trzeba zsumować małych cudów, aby otrzymać jeden wielki? Ile porannych filiżanek kawy albo herbaty, ile cmoknięć w policzek od ukochanej mówiącej „cześć” raczej niż „kocham cię”? Pies wybiegający ci na spotkanie, ilekroć stajesz w drzwiach, pierwszy kęs jedzenia o pustym żołądku, pierwszy łyk, kiedy chce ci się pić. Ich widok, gdy wychodzisz z bramy przylotów. O, są! Ogrzane suszarką skarpety w zimne dni, okno z widokiem na morze, list, na który czekasz, czek, na który czekasz, powrót z dawien dawna wytęsknionej osoby...

Ile trzeba zsumować małych cudów, aby otrzymać jeden wielki?

Moja chwila z Janine

Mój ojciec miał smykałkę do kupowania kiepskich samochodów. Gdy tylko wjeżdżał na podjazd przed domem swoim ostatnim nabytkiem – autem nowym lub używanym, pięknym lub praktycznym, wszystko jedno – można się było założyć, że to następny klekot, który wkrótce zdechnie. Kulminacja tego stanu rzeczy przypadła na moje lata studiów, kiedy rodzice wrócili po pół roku z Rzymu, gdzie ojciec pisał scenariusz do filmu, który nigdy nie powstał. Jednym z prezentów, którymi obrodziło ich rzymskie *dolce vita*, był metalicznie szary kabriolet alfa romeo. Nie pamiętam już modelu auta, ale miał on długie, seksowne nadwozie w typie włoskiej wyścigówki. Ojciec pojeździł nim w Stanach jakieś dwa miesiące, zanim zaczęły po kolei „wysiadać” drogie części.

Rodzice mieszkali wtedy w Nowym Jorku, ale ojciec z jakiegoś powodu uparł się oddawać auto do przeglądu i naprawy mechanikowi z naszego dawnego miasteczka położonego godzinę drogi od centrum. Brat albo ja odstawialiśmy je tam i odbieraliśmy po naprawie. Tym razem padło na mnie. Nienawidziłem tej alfy romeo. Trudno było ją prowadzić, trudno skręcać, była niewygodna. Chociaż zawsze kochałem samochody, ten nie przypadł mi do gustu i starałem się go unikać, jak tylko mogłem. Tego dnia pojechałem pociągiem do miasteczka, pokonałem pieszo drogę ze stacji do warsztatu i zapłaciłem (jak zwykle gigantyczny) rachunek za naprawę. Ruszyłem z powrotem do Nowego Jorku.

Najseksowniejsza dziewczyna w liceum, do którego uczęszczałem, nazywała się Janine Delmerico. Każdy chłopak ma w ogólniaku swoją Janine Delmerico. Oszalałmiająco piękną uczennicę z wyższej klasy, która płynie szkolnymi korytarzami, niesiona przez różowe chmurki i zawistne spojrzenia. Pragnęli jej wszyscy chłopcy, nienawidziły jej wszystkie dziewczęta. Janine chodziła z kapitanem drużyny bejsbolowej. Plotkowano, że „zrobili to”, ale oczywiście niczego nie można było zweryfikować. My wyprowadziliśmy się z miasteczka jakieś pięć lat wcześniej, toteż nie widziałem Janine od dłuższego czasu. Tego dnia zatrzymałem się w kłopotliwym samochodzie ojca na czerwonym świetle w samym centrum. Czekając na zmianę światła, rozejrzałem się wokół i zobaczyłem wgapioną we mnie bardzo ładną kobietę. A może patrzyła na mój seksowny samochód? Kto to wie? Była śliczna, a ja siedziałem za kierownicą – to wystarczyło. Nagle dotarło do mnie, że to przecież ona: Janine Delmerico gapiała się na mnie wzrokiem, w którym najwyraźniej kryło się zaproszenie. Janine Delmerico puszczała do mnie oko. Minęło sporo czasu, odkąd o niej śniłem, ale jak tylko zorientowałem się, że to ona, nastąpiła jedna z tych chwil w życiu, które się pamięta: ona patrzyła na MNIE!

Aż naraz zapaliło się zielone światło i stojący z tyłu samochód zatrąbił, żebym ruszał, zamiast gapić się na kobietę. Próbując zaszpanować, dodałem ostro gazu – i silnik zgasł. Przekręciłem kluczyk w stacyjce, ale bez rezultatu. Włoski silnik ani nie zamruczał, ani nawet nie szcęknął. Po prostu zdechł. Zerknąłem w stronę Janine: szczyrzyła się w niezbyt miłym uśmiechu. Kręciłem kluczykiem, ale za każdym razem – nic, nic, nic. Auto było ciężkie, lecz kiedy wysiadłem, by je zepchnąć na chodnik, zdaje się, że postanowiło przybrać z pięćset kilogramów, tylko po to, aby mnie rozjuszyć. Zdażyłem jeszcze zobaczyć, jak Janine się oddala, uśmiechając się pod nosem, jak zwykle pociągająca.

Ludzie jak LEGO

Niektóre związki międzyludzkie przypominają zabawę klockami LEGO. Planujemy wspaniałą budowlę, którą chcemy wznieść wspólnie z drugim człowiekiem, ale wkrótce okazuje się, że nie starcza nam wyobraźni i umiejętności. W końcu stawiamy coś niedorobionego i topornego, przy czym zostaje nam wiele klocków walających się po podłodze. Na jakiś czas oddechciewa nam się dalszych zabaw klockami LEGO.

Fryzury i tatuaże

Dzieliła swoje romanse na fryzury i tatuaże. Fryzury zmieniały się z dnia na dzień. Wielkie halo. Zależały od zachcianki albo humoru. Później jedynymi dowodami na ich istnienie były zapomniane zdjęcia z tyłu szuflady. Natomiast tatuażowe romanse były trwałe i już. Można je było usunąć z serca, ale zostawały po nich widmowe blizny.

Diabeł i pies Zło

Wielu ludziom się wydaje, że diabeł robi wokół siebie dużo szumu. Ogień! Swąd siarki! Gromy i błyskawice! Oto ja, diabeł – drzyjcie, śmiertelnicy! Ale to wszystko jest zaledwie oprawą. Naprawdę złe rzeczy dzieją się po cichu. Nie mamy o nich pojęcia, dopóki nie zakradną się i wyjąwszy narzędzia, nie wezmą się do dzieła. Weźmy na przykład raka. Rak nigdy nie wali pięściami w drzwi, wrzeszcząc – wpuść mnie, wpuść mnie, bo rozniosę ten dom w drzazgi! Nic z tych rzeczy. Rak wślizguje się na pysznym steku z grilla, na dziesiątym papierosie wypalonym tego dnia, na kilku godzinach zbyt długo spędzonych na słońcu. Albo taki stalowy trzpień w krzeselku karuzeli wirującej pod niebo, który powoli się obluzuje. A nawet zdrada – czy zachodzi z hukiem? Wypowiedziane cicho „tak”, gdy każda cząstka naszej duszy mówi nam „nie!”. Wszystko to dzieje się w ciszy.

Zazwyczaj diabeł i jego pies Zło działają cichaczem i przemawiają szeptem. Nie chcemy ich słyszeć.

Dźwiękowe perfumy

Pomruk ciężarówek na dalekiej autostradzie

Samolot lecący wysoko na niebie

Dzieci bawiące się w odległym parku albo na basenie

Samotny pies szczekający pośród nocnej ciszy

Ptasi szczebiot wpadający rano przez otwarte okno

Trzask pocieranej zapałki

Strzelający popcorn

Westchnienie psa

Miły dla ucha „prask!” zamykanych drzwi luksusowego auta

Drżący szum wiatru w koronach drzew

Jesienne liście ślizgające się po chodniku

Kasztany spadające z drzew i uderzające o ziemię wczesną jesienią

„Stuk-puk” kół toczącego się pociągu

Mięso skwierczące na grillu

Śmiech dziecka

Kliknięcie zamykanej walizki

Ogień buzujący w kominku

Syk otwieranej puszki coca-coli

Szemranie prysznic

Plusk fal na brzegu plaży

Deszcz na zewnątrz, gdy ty jesteś w przytulnym wnętrzu

Odgłos zamykanych drzwi wejściowych mówiący ci, że wreszcie są w domu

Chrzęst pierwszej zgryzanej prażynki

Jej głos

Jedni przynoszą basen, a inni trampolinę

Dzięki reakcjom czytelników na moje książki, na facebookowe posty i wpisy na stronie MEDIUM dowiedziałem się – jako pisarz – jak ważna jest dla niektórych możliwość wyrażenia się na piśmie. Często otrzymuję tasiemcowe odpowiedzi na zamieszczone teksty. Uświadomiłem sobie, że ludzie nie tylko odnoszą się do moich pomysłów, ale także zrzucają z siebie rozmaite ciężary. Piszą często dlatego, by uporządkować myśli i emocje, zupełnie jak w grze w Scrabble, gdzie z płytek z literami układa się konkretne słowa. Niejednokrotnie reakcje czytelników wykraczają daleko poza to moje teksty i zahaczają o ich prywatne życie. Nie ulega wątpliwości, że nie tyle odpowiadają na to, co napisałem, ile mówią w ten sposób, czy moje słowa pomogły im czy też przeszkodziły w doświadczaniu otaczającego ich świata. Mieszając dwie metafory, można by powiedzieć, że to, co piszę, jest dla nich trampoliną, z której skaczą, aby pogrążyć się z powrotem w basenie własnego życia.

Bagaż twoich cieni

Powiedz: Czy teraz jest lepiej? Czy budzisz się szczęśliwsza, pełna energii, nie mogąc się doczekać, co ci przyniesie nowy dzień? Czy w tym nowym życiu, które sobie wybrałaś, zdarza ci się dostatecznie często zapominać o tym, że zabrany w drogę bagaż zawiera wszystkie twoje stare cienie, tę samą szafę i przybory do makijażu, lęki, błędy i zmartwienia – tę samą osobę, która usiłowała uciec przed dawną tobą. Gdziekolwiek się bowiem udasz, nie uwolnisz się od przeszłości, tak jak nie uwolnisz się od własnego cienia, nawet w najczarniejszym pokoju. Ona czeka na nas cierpliwie, nieśmiertelna i niezniszczalna, aż po ostatnie tchnienie.

Espressowy staruszek

Takie sceny za każdym razem radują mi serce: do zatłoczonej w niedzielę kawiarni wczłapuje, stawiając mozolnie krok za krokiem, sędziwy mężczyzna. W końcu przemierza całą salę i dociera do stolika pod oknem. Moja pierwsza myśl jest taka, że przydałaby mu się laska albo chodzik, byłoby mu łatwiej w życiu. Staruszek opuszcza się ostrożnie na krzesło i uśmiecha jak dziecko – udało się. Samotny pan w kawiarni: można ich zobaczyć na całym świecie. Czasem czytają gazetę. Czasem jedzą coś słodkiego, trzymając łyżeczkę w trzęsących się rękach. Wyobrażam sobie, że staruszek zachodzi do tej kawiarni w każdą niedzielę, żeby sprawić sobie ucztę. Może przed laty bywał tu z żoną i dziećmi, które już nie żyją; została mu jedynie ta mała ceremonia. Co zamówi? Siedzi na tyle blisko, że słyszę – kiedy zbliża się do niego kelnerka – każde wypowiedziane słowo: kawałek tortu Sachera, ciastko z bitą śmietaną i podwójne espresso. Rozkoszne ciasto plus podwójna dawka mocnej czarnej kawy – zwłaszcza ona sprawia, że wyszczerzam się w uśmiechu jak hiena. Uwielbiam go. Uwielbiam tę chwilę. Jeśli dane mi będzie dożyć tak sędziwego wieku, to proszę, błagam na wszystkie świętości, abym mógł być taki sam jak on.

Moja kosmitka

Przez długi czas jechali zatopieni w milczeniu. Padły słowa, które nie powinny były paść. Nie padły słowa, które zatrzymały się na końcu języka i zostały połknięte, gdyż *akurat w tym momencie* lepiej było zamknąć usta na kłódkę, niż zamykać następne drzwi.

Nagle wyciągnęła rękę i podkręciła radio na cały regulator. „Kocham tę piosenkę tak, że mogłabym ją wyruchać”. Oszołomiony obrócił się szybko i spojrzał na nią. Miała zamknięte oczy i uśmiechała się – nigdy przedtem nie widział takiego uśmiechu na jej twarzy. Nigdy dotąd nie przeklinała ani nie używała takiego języka. Muzyka grała zbyt głośno, ale jej nie ściszyła. Siedziała raptem pół metra od niego, ale po tych słowach, po tym dziwnym uśmiechu, po całym tym mrocznym, bolesnym dniu w samochodzie można było odnieść wrażenie, że znajduje się na innej planecie. Albo że *pochodzi* z innej planety.

Papierowa alchemia

Przytrzymaj w dłoniach nową książkę, którą pragniesz przeczytać. Otwórz ją i przesuń końcami palców po gładkiej, śnieżnej bieli nowych kartek. Unieś książkę do nosa i poczuj jej zapach, obracając ją w rękach. Odczytaj tekst na tylnej okładce. Odczytaj tekst na froncie. Zapoznaj się z opisem fabuły i notką biograficzną autora. Popatrz na zdjęcie. Ponownie powąchaj książkę. Wyczekiwałeś tej podróży, odkąd dowiedziałeś się o publikacji. Może napisał ją twój ulubiony autor i czekałeś na tę chwilę przez wiele miesięcy. Może wcześniej go nie czytałeś, lecz doszły cię słuchy, że powieść jest dobra. Może to jest właśnie ta książka, której potrzebujesz do badań źródłowych. Może godzinę temu nie miałeś pojęcia ani o istnieniu tej książki, ani jej autora, wtedy bowiem poznałeś się z nimi na wystawie w księgarni. Weź łyk kawy, herbaty, gorącej czekolady, trzymając książkę w drugiej ręce, i uśmiechnij się do niej. Odwlec odrobinę początek lektury, rozsmakuj się w oczekiwaniu tej cudownej chwili – podobnej do momentu, w którym czujesz, że samolot odrywa się od ziemi i wzbija w powietrze. Kindle i czytniki są poręczne, ale papierowe książki to czysta alchemia.

Kim jesteś?

– Pewnie mnie teraz nienawidzisz – odezwała się cicho.

Pokręcił głową.

– Nienawidzę? Skądże znowu. Zdawało mi się kiedyś, że cię znam, ale po tym, co zrobiłaś, jak się zachowałaś, jest oczywiste, że zupełnie cię nie znam. Nie potrafię nienawidzić obcego człowieka.

Nasze ego na smyczy

Czasami szczeróć polega na spuszczeniu ze smyczy naszego ego. Czasem zamiast mówić „chcę być z tobą szczerzy” i niszczyć to, co zaraz nastąpi, lepiej trzymać język za zębami.

Walc ciężarowców

W Wiedniu zaczyna się sezon balowy. Austriacka telewizja pokaże niektóre z tych imprez, wśród nich i takie, których istnienia nikt by się nie spodziewał. Bal Szefów Pracowni Cukierniczej, Bal Myśliwych, Bal Elektryków... Mnie najbardziej podoba się Bal Ciężarowców. W odróżnieniu od innych nie odbywa się on w żadnym ze wspaniałych wiedeńskich pałaców, tylko w parku rozrywki Prater, rozślawionym przez film *Trzeci człowiek*, a dokładniej – w gospodzie leżącej w nieco podejrzanym części miasta. Impreza wyróżnia się tym, że oprócz zwyczajowych walców, jedzenia i picia w jej trakcie rozgrywany jest konkurs podnoszenia ciężarów. Na środku parkietu ustawia się specjalny pomost, na którym mężczyźni i kobiety – ciężarowcy hobbyści, jak ich się tu nazywa – wyciskają i podrzucają sztangę oraz robią przysiady przy akompaniamencie okrzyków i gwizdów pozostałych balowiczów.

Walc i podnoszenie ciężarów na tym samym parkiecie. Takie rzeczy zdarzają się tylko w Wiedniu.

Abiav

Krawiec to stary ponurak. Rzadko się uśmiecha, nawet jeśli witasz się z nim serdecznie. Ten facet jest aż do bólu konkretny, ale to mistrz w swoim fachu, a jego ceny są bezkonkurencyjne. Trzeba się tylko przy nim pilnować, bo wszystko traktuje śmiertelnie poważnie. Wchodzisz do jego małego zakładu, mówisz krótko, czego ci trzeba, i zmykasz stamtąd, bo krawiec jest zajęty – o czym informują cię jego laserowe oczy i zdawkowe skinienia głową.

Drugie, o czym trzeba wspomnieć, to niemal stały brak klientów. Sądząc po ubraniach wiszących wewnątrz, mogłoby się wydawać, że krawiec ma pełne ręce roboty, rzadko kiedy jednak widziałem tam kogoś poza nim, pochylonym nad kawałkiem materiału. Toteż byłem zaskoczony, gdy poszedłem tam niedawno naprawić dzinsy. Zbliżając się do zakładu, zobaczyłem, że wewnątrz roi się od ludzi. Na środku stała piękna młoda kobieta o pełnych kształtach ubrana w nieprawdopodobnie ozdobną suknię ślubną mieniącą się kolorami tęczy, falbankami i koronkami. Podszedłem bliżej i zobaczyłem, że krawiec klęczy na jednym kolanie, mierząc albo poprawiając jakiś element stroju. Co ważniejsze – śmiał się. Wszyscy się śmiali, doliczyłem się tam ośmiorga ludzi, choć mogło być ich więcej. Była to z pewnością rodzina panny młodej, po ich wyglądzie i języku domyśliłem się, że to Romowie, czyli (choć nie lubią tej nazwy) Cyganie.

Bawili się na całego. Kiedy nieśmiało uchyliłem drzwi, podnieśli wzrok i co najmniej połowa z nich zaprosiła mnie do środka – prosimy, prosimy.

Przez tych kilka minut, które spędziłem w zakładzie, wypełniła mnie nieoczekiwana, pokrzepiająca radość. Przyszła panna młoda pękała z dumy ze swojej sukni. Naburmuszony krawiec bez przerwy się uśmiechał. Rodzina ciągle gadała i wybuchała śmiechem. Cudowne przeżycie. Po powrocie do domu nie mogłem oprzeć się pokusie, aby odszukać romski słownik i sprawdzić, jak nazywa się wesele: abiav.

Magazyn

Zdążyłem już wynieść z umysłu większość twoich mebli. Otwiera się tam teraz wielki, pusty, dźwięczący echem pokój, oświetlony smutnym, nikłym światłem wsączającym się przez brudne, częściowo powybijane szyby. Czasem do środka wlatują ptaki, świergocząc i ciskając się na wszystkie strony – szukają drogi wyjścia. Całość wygląda jak szarobury, sypiący się, pokryty graffiti magazyn nad rzeką, który przez lata straszyl opustoszały, aż został niedawno przeznaczony do rozbiórki.

Ty: miasto

Jesteś miastem, które zawsze pragnąłem odwiedzić, i cudownym smakiem, którego nie sposób opisać: słodko-kwaśnym, niczym solony miód, gdyby taki istniał.

Nie mam walizki ani ubrania przed podróżą do ciebie, noszę wszystko, czego będzie mi potrzeba, gdy dotrę na miejsce.

Zjawiam się więc z nieogoloną twarzą i świeżym bukietem twoich ulubionych kwiatów.

Ty zawsze jesteś w domu.

Duchy na moim biurku

Ćwiczenie umysłowe na dzisiaj: wywołać z niepamięci przedmioty, które w różnych latach spoczywały na moich biurkach, a po których dziś już wszelki ślad zaginął.

Paczka papierosów, czerwona maszyna do pisania, skórzany notes zawierający odręcznie napisaną powieść, której nikt nie chciał wydać, miłosny list z Włoch, wieczne pióro Montblanc z lat czterdziestych, które kupiłem za 50 centów na pchlim targu, pierwsze wydanie *Krainy Chichów*, kiel mojego pierwszego psa, srebrny talizman w kształcie słonika, który otrzymałem od fana, flakon wody kolońskiej, którą uwielbiała, powrotny bilet lotniczy do Los Angeles, którego nie wykorzystałem, okulary ojca, które zachowałem po jego śmierci, patyczek, od którego zaczął się zbiór *Zaślubiny patyków*, łańcuch, na którym wisiał tylko klucz od ich mieszkania, twoje fotografie.

Wszystko zniknęło.

Łazarzowe szkło

Podczas porannego spaceru myślałem o wypłukanym przez morze szkłe i o tym, jak świetną metaforą jest ono tego, na co liczymy w życiu. Początkowo szkło nie miało większej wartości. Wchodziło w skład zielonkawej butelki do coca-coli, brązowej butelki do wina albo błękitnej szklanki. Nic wielkiego. Wypija się zawartość i wyrzuca butelkę. W pewnej chwili szkło pęka, a jego kawałki rozpraszają się. Jeden z nich wpada do oceanu. Dłuższy czas, może przez wiele lat, mieszka tam, rzucane i pomiatane wte i wewte, zdane na jego pastwę. Choć to nie najlepsze życie, szkło utrzymuje się na powierzchni. Ciągłe ruchy wody wygładzają jego ostre krawędzie. Gwałtowne sztormy, piekące słońce, słona woda – wszystko to je zmienia. W końcu szklany kawałek zostaje wyrzucony na jakąś plażę. Jest tym samym szkłem co dawniej, ale zarazem czymś nowym, odrodzonym jak Łazarz. To samo, ale nie takie samo. Słońce i kwaśna woda wypaliły jego barwę, tak iż staje się przezroczyste, eteryczne i piękne. Krawędzie zniknęły. Szkło przybiera kształt, formę, która jest oryginalna i jedyna w swoim rodzaju. Prędzej czy później ktoś je znajduje i natychmiast zwraca na nie uwagę. Znalazcy podoba się nowa postać szkła. Zabiera je do domu, a niekiedy też nosi jako ozdobę. Traktuje jak skarb.

Pragnę cię tak zgłodniałej...

Pragnę cię tak zgłodniałej, jasnej i zdyszanej, że nie jesteś w stanie funkcjonować. Głowę masz wypchaną watą pożądania, nadzieją, marzeniami i ogólnym szczęściem, aż chodzisz krzywo ulicą i witasz się z sygnalizacją świetlną.

Cięcie

Zapytał ją o najokrutniejsze słowa, jakie kiedykolwiek jej powiedziano.

„Nie masz dobrego serca. Powiedział mi to na samym końcu. Nie mogę o tym zapomnieć. Czasem najłagodniejsze słowa tną najgłębiej”.

Wstęp do *Krainy Chichów*

W jakimś sensie praca nad *Krainą Chichów* była ostatnim aktem rozpacz, ostatnią kulą w rewolwerze, skokiem w przepaść bez spadochronu. Pisałem od szesnastego roku życia – zanim dobiłem do trzydziestki, zdążyłem napisać wiele opowiadań i trzy powieści, których nikt nie chciał wydać. Można sobie snuć marzenia i żywić nadzieje, że życie pójdzie w wymarzonym kierunku, ale od pewnego momentu trzeba się pogodzić z tym, że kraina Oz jest dla nas nieosiągalna i że będzie lepiej, jeśli wybierzemy sobie bardziej realny cel podróży. Innymi słowy, mój sen o byciu pisarzem najprawdopodobniej się nie ziści, toteż powinienem zająć się czymś innym. W tamtych latach za dnia uczyłem w szkole, a nocą pisałem. Wracałem do domu późnym popołudniem, odpoczywałem przez godzinę lub dwie, odrabiałem prace szkolne aż do kolacji, a potem pisałem dopóty, dopóki twórcze światło nie zgasło mi w głowie. Tak powstała moja trzecia nieopublikowana powieść. Mój ówczesny agent literacki, przeczytawszy ją, zadał mi jedno pytanie: Nie lubisz żadnej ze swoich postaci? Bo mnie się wydaje, że nie bardzo.

Którejś niedzieli na wiedeńskim pchlim targu zobaczyłem stare wieczne pióro Montblanc; sprzedający żądał za nie równowartości 50 centów. Pióro było w pełni sprawne, ale wtenczas obiecałem sobie, że go nie użyję, dopóki nie rozpocznę nowej powieści. Kilka miesięcy później, bawiąc na urlopie we Francji, napełniłem pierwszy raz pióro dwudziestoletnim fioletowym atramentem marki Waterman, który znalazłem tego dnia w sklepie ze starzyzną. Na okładce nowego notesu napisałem KRAINA CHICHÓW, ściągając nazwę z chińskiej restauracji, obok której przejechałem kiedyś w autobusie, oraz ze słynnej wiedeńskiej operetki (w bardzo swobodnym przekładzie). Wiele miesięcy później, po powrocie do Wiednia, napisałem scenę, w której pies odzywa się ludzkim głosem. Jak już o tym mówiłem w innym miejscu, nie mam pojęcia, skąd wziął się ten pomysł, ale najważniejsze jest to, że nie podałem go w wątpliwość. Zdaje się, że zatrzymałem się na minutę, powiedziałem głośno: „właśnie odezwał się PIES”, po czym kontynuowałem opowieść. Do tej pory cała moja twórczość była solidnie zakorzeniona w rzeczywistości – ale w tym momencie świat, mój pisarski świat, uległ przemieszczeniu. Nie oglądałem się za siebie.

Dwaj pierwsi redaktorzy, którym pokazałem gotowy maszynopis, odrzucili go. Pierwszy z nich, znana figura, przeczytał go i poradził: „Wyrzuć gadające psy, a może coś z tego będzie”. Drugi redaktor powiedział: „Książka mi się podoba, ale nie mam dość odwagi, żeby ją opublikować”. Trzeci powiedział „Tak” i stało się. W ciągu tych lat *Chichy* sprzedały się w ponadmilionowym nakładzie na całym

świecie i zostały przetłumaczone na mnóstwo języków. Ludzie mówią mi nieraz, że to moja najlepsza książka, i choć dotychczas powstało ich dziewiętnaście, nie protestuję przeciwko takiej ocenie. Jeśli chcą to wykuć na moim nagrobku – „Autor *Krainy Chichów* – to proszę bardzo.

W interesującej powieści Hemingwaya *Wyspy na Golfsztromie* główny bohater, ojciec kilkorga dzieci, jest pytany o to, które z nich lubi najbardziej. Oczywiście odpowiada, że każde kocha na swój sposób, ale ponieważ najstarsze kocha najdłużej, więc to dziecko ma dla niego szczególne znaczenie. Takie same odczucia mam wobec *Krainy Chichów*.

Wstęp do *Zaślubin patyków*

To jeden z tych dni, kiedy idziesz z psem na długi spacer wzdłuż rzeki, dlatego że jest ładna pogoda, że jest niedziela i że nie masz nic lepszego do roboty. W połowie drogi zatrzymujesz się, patrzysz wokół i uświadamiasz sobie, że TA chwila życia przepelnia cię absolutnym, niebiańskim zadowoleniem. Nic nie może się z nią równać. Niestety czas pędzi – wiesz, że za dwa dni albo dwa tygodnie zapomnisz o tym wspaniałym popołudniowym szczęściu, którego doświadczyłeś, żyjąc z szeroko otwartymi oczami i uszami.

Spostrzegasz leżący na ziemi patyk i podnosisz go. Wyjmujesz z kieszeni pióro i piszesz na patyku datę i miejsce, w którym go znalazłeś. Zaczynasz je kolekcjonować: gdziekolwiek jesteś, ilekroć w życiu zdarza ci się coś ważnego – wielkiego czy małego – rozglądasz się za patykiem, żeby zaznaczyć tę okazję. Piszesz datę i miejsce, kładziesz go na półce. Zbierasz patyki przez lata. Zbiór powiększa się. Raz po raz zastanawiasz się, co z nimi począć. Sterta, o dziwo, wcale nie rośnie, bo z czasem stałeś się wymagający, jeśli chodzi o godne upamiętnienia chwile twojego życia. Kilka przyniesionych do domu patyków wypadło z kolekcji, po tym jak uznałeś, że momenty istotne okazały się nieistotne.

Któregoś dnia kiełkuje w tobie myśl, że można by wykorzystać ten zbiór najważniejszych patyków. Sądzisz, że pomysł dałoby się rozwinąć w powieść. Mniej więcej w tym czasie twoja żona wyjeżdża na dwudziesty zjazd absolwentów liceum, skąd wraca z mrozącą krew w żyłach opowieścią na temat swojej pierwszej wielkiej miłości. Wypytyujesz ją ostrożnie, czy nie miałaby nic przeciwko temu, abyś wykorzystał tę historię w nowej powieści, do której się przymierzasz. Wyraża zgodę.

Zbiór patyków i zjazd absolwentów stały się podwalinami *Zaślubin patyków*. Jak te elementy zgrały się z sobą i co utworzyły – dowiedcie się, czytając książkę.

Wstęp do *Głosu naszego cienia*

Dorastałem w miasteczku położonym około godziny drogi od Nowego Jorku. Leżało ono w Dolinie Hudson nad rzeką o tej samej nazwie. Większość mieszkańców stanowili irlandzcy lub włoscy potomkowie robotników, którzy położyli nowojorską sieć kolejową i w końcu osiedlili się w tym regionie. Z tego, co słyszę, miasteczko nabrało szyku z racji bliskości Manhattanu, a domy, które niegdyś sprzedawano za sumy pięciocyfrowe, dziś osiągają siedem cyfr. W moich wspomnieniach miejsce to zapisało się jako szorstka miejscina dla niższej klasy średniej, w której były dwie włoskie restauracje serwujące sos pomidorowy, a na randkę z dziewczyną można było pójść albo do zapyziałego kina, gdzie leciał wciąż ten sam film, albo na kręgielnię „Scappy’s Harmony Lanes”.

Większość nazwisk moich przyjaciół kończyła się albo na literę „i” (Fanelli), albo „o” (Costello), czasem zjawiał się jakiś Newman albo O’Connor. Chłopcy byli twardzi jak skała, dziewczyny zaś pięknie rozkwitały i wodziły nas jak szczeniaki na smyczy – chyba że akurat biliśmy się albo zadzieraliśmy z policją.

Ale był jeden taki gość (zawsze znajdzie się ktoś taki, prawda?), który napędzał stracha wszystkim po równo: Johnny M., przyjaciel mojego starszego brata. Ja znałem go wyłącznie jako fajnego, hojnego, buzującego energią wesołka, dopóki brat pozwalał mi się z nim kolegować. Później okazało się, że Johnny M. to absolutny psychopata, przed którym wszyscy w miasteczku – nawet dorośli – trzęśli się ze strachu. Ciągłe wdawał się w jakieś wariackie, niebezpieczne albo przerażające awantury. Obrabował z broni miejscowe centrum weterana, podobno spalił dom jednego ze swoich wrogów, a podczas bójki rozkwasił przeciwnikowi twarz otwieraczem do butelek i cegłą. Miał na koncie jeszcze parę tym podobnych wyczynów.

Wziąłem się do pisania *Głosu naszego cienia*, mając zamiar opisać swoje spokojne, stare miasteczko i Johnny’ego M., który, nawiasem mówiąc, zginął w strzelaninie z policją po tym, jak porwał dziewczynę i próbował uciec z miasta. Prawdziwa historia.

Chociaż *Głos naszego cienia* nie jest prawdziwy, to prawdziwi są zarówno Johnny, jak i miasteczko; zmieniłem tylko co nieco nazwiska i pewne detale.

Wstęp do *Na pastwę aniołów*

Bez względu na to, ile książek napisze dany autor, co najmniej jedna z nich uchodzi za najbardziej dla niego reprezentatywną. Nie sposób zawczasu przewidzieć, kiedy ta książka powstanie – na początku, w środku czy pod koniec kariery twórczej. Z reguły nie decyduje o tym nawet sam pisarz: w pewnym momencie książka wyskakuje z niego i stanowi streszczenie poglądów na temat życia, śmierci, miłości, Boga – wszystkich wielkich kwestii. Czytelnicy, ma się rozumieć, spierają się, któremu dziełu należy się miano najbardziej reprezentatywnego. *Wojna i pokój* czy *Anna Karenina* Tolstoja? *Bracia Karamazow* czy *Biesy* Dostojewskiego? *Wielki Gatsby* czy *Czuła jest noc* Fitzgeralda? Mnie jednak ciekawi najbardziej to, którą książkę sam autor uważa za najbardziej reprezentatywną. Tytuł którego dzieła chciałby widzieć na swoim nagrobku jako podsumowanie nie tylko jego twórczości, ale też przekonań dotyczących życia i jego funkcjonowania. Odpowiedź bywa nieoczekiwana. Zapytałem kiedyś pewną sławną pisarkę, która z jej licznych powieści najlepiej ją reprezentuje. Odpowiedziała mi pytaniem, czy mam na myśli jej ulubioną książkę. Zaprzeczyłem, wyjaśniając, że mam na myśli taką, która najpełniej łączy w sobie wszystko to, co próbowała wyrazić w swoim pisarstwie. Ku memu zdumieniu, bez wahania wymieniła wczesną powieść, której większość ludzi nie czyta, a ci, którzy czytają, nie są pod wielkim wrażeniem. Później zdobyła ogromną sławę i fortunę, ale po dziś dzień uważa, że to wczesne, nieduże dziełko mówi wszystko.

Przez wiele lat byłem zdania, że *Na pastwę aniołów* to moja najbardziej reprezentatywna powieść. Rzadko czytam własne rzeczy, ale niedawno miałem powody, aby przeczytać *Anioły* w dwóch długich podejściach (czytanie idzie mi powoli). Choć od jej napisania minęło prawie dziesięć tysięcy dni, wciąż zgadzam się z zawartymi w powieści uwagami o tym, jak należy próbować żyć oraz co zrobić, kiedy śmierć zaszepcze nam do ucha. Nie mam pojęcia, czy zostanie ona kiedyś powieścią dla mnie *reprezentatywną* – jest jeszcze parę książek, które chciałbym popełnić, zanim zegar życia zwolni swój chód. Ale gdybym miał się jutro nie obudzić i ktoś postanowiłby wyźłobić na moim kamieniu „Napisał *Na pastwę aniołów*, przyjąłbym to bez protestów. W recenzji innej mojej powieści pojawiły się następujące słowa: „Książka kreśli własną mapę miłości, życia i chaosu. Sprawia, że to, co niewytłumaczalne, staje się zwyczajne, natomiast – jeśli wolno mi się tak górnolotnie wyrazić – to, co zwyczajne, staje się warte zachodu, nadzwyczajne, a potem znów niewytłumaczalne”.

Przyjmuję tę ocenę także wobec niniejszej powieści... jak również *wszystkich* moich dzieł, reprezentatywnych i niereprezentatywnych.

Wstęp do *Muzeum Psów*

Nieraz czułem – i pisałem o tym – że jedna z naszych życiowych tragedii bierze się z niemożności zrozumienia, iż to, co najlepsze, zdarza się teraz. Tamten letni wieczór w greckiej tawernie, zachód słońca nad Morzem Egejskim i luźne pogawędki o wszystkim po trochu – złożyły się na najbardziej romantyczne dni, jakich kiedykolwiek doświadczysz. Uświadamiasz to sobie dopiero po latach. Październikowy wieczór, w którym siedzieliście na podłodze nowego, pustego mieszkania, czekając na meble, planując, co gdzie umieścić, zarysowując kontury nowego życia, był z dzisiejszej perspektywy jednym najlepszych wieczorów w twoim życiu. Choć nie wydarzyło się wtedy nic wielkiego, wszystkie twoje nadzieje i pragnienia zamknęły się w tych czterech świeżo pomalowanych ścianach domu, w którym unosiła się woń dopiero co odświeżonego parkietu. Mógłbym wymienić dalsze przykłady, ale rozumiecie, do czego zmierzam.

Muzeum Psów powstało w najszcześniejszym okresie mojego życia, i co więcej – z jakiejś cudownej przyczyny – *zdawałem sobie z tego sprawę*. Wiedziałem, że tamte dni, moja twórczość, kontakty z ludźmi wzbiły się na wyższy pułap, którego przedtem nie osiągnąłem. Powieściowy protagonista, Harry Radcliffe, zmaterializował się bez oporów na kartach powieści, bo w odróżnieniu od innych moich bohaterów, znałem go od pierwszej strony. Kiedy zasiadałem do pisania, musiałem się tylko zrelaksować i dopuścić go do głosu. Daję słowo, Harry odwalił za mnie całą robotę; ja jedynie spisałem jego opowieść. Poszło jak z płatka. Ilekroć żartował, śmiałem się, mając wrażenie, że to on dobiera słowa, a ja przelewam je tylko na papier. Piszę książki odręcznie, po czym przepisuję je na komputerze. Wspominam o tym dlatego, że pamiętam, iż Harry monologował czasem tak szybko, że nie mogłem za nim nadążyć, napominając go w myślach: „Zwolnij trochę, dobra? Nie jestem w stanie pisać szybciej”.

Dlatego myślę o *Muzeum Psów* jako o darze od bogów, napisanym podczas dni soczystych i pysznych jak lipcowy arbuz. Harry to porządny facet. Myślę, że go polubicie, nie zważając na jego niewierność, zrzędlivość i megalomanię, a także na fakt, że przeszedł załamanie psychiczne. Aha, właśnie – w ramach terapii widuje się z szamanem, który uczy go latać...

Wstęp do *Poza ciszą*

Poza ciszą jest jedną z dwóch realistycznych powieści, które napisałem. W tamtym czasie znużyło mnie czytanie recenzji, których autorzy stwierdzali coś w stylu: „Ile można? Kolejna powieść Carrolla, w której znowu występują gadające psy, latające dzieci i szamani”. No więc zawzięłem się i powiedziałem sobie – w porządku, następna powieść będzie całkowicie realistyczna: żadnych szamanów ani gadających psów. Niech to będzie, przynajmniej częściowo, wielka historia miłosna z rodzaju tych, które pisze się najtrudniej, ponieważ – kawa na łąkę! – większości ludzi wydaje się, że mają dużą wiedzę w tym przedmiocie (nawet jeśli jest to wiedza kiepska).

Tylko raz do napisania książki zainspirowała mnie nieświadomość. Nie bez wstydu wyznaję, że niemal cały pomysł na *Poza ciszą* objawił mi się we śnie. Nie powiem, co mi się przyśniło, bo to zepsułoby wam przyjemność lektury. Ale pamiętam, że obudziłem się rano i zawołałem: „Ło!”. Zaraz sięgnąłem po pióro i papier, aby jak najdokładniej zapisać sen, zanim mi wywietrzeje z głowy.

Pierwsza linijka powieści brzmiała pierwotnie tak: „Trzymam pistolet przy głowie mojego syna. On waży około stu trzydziestu funtów, pistolet nie więcej niż dwa”. Chciałem od pierwszej strony chwycić was za koszulę, ponieważ jako czytelnik uwielbiam, kiedy powieść mnie tak traktuje i nie wypuszcza już do końca. Obecnie linijka ta otwiera drugi akapit tekstu, gdyż mój ówczesny redaktor oznajmił, że obraz jest tak agresywny i przerażający, że może byłoby lepiej, gdybym nieco podprowadził do niego czytelnika. Mam nadzieję, że *Poza ciszą* zostanie z wami na długo i że zaprzyjaźnicie się z nią w trakcie lektury. Że stanie się przyjacielem, który opowiada na tyle dobre i wciągające historie, że przegapiacie przystanek, na którym mieliście wysiąść, bo po prostu musicie się dowiedzieć, co się za chwilę zdarzy.

Wstęp do *Dziecka na niebie*

Kiedy uczyłem w szkole, pilnowałem, aby uczniowie przeczytali – od deski do deski – *Tragiczne dzieje doktora Fausta* Christophera Marlowe’a oraz *Fausta* Goethego. Było to z mojej strony samolubstwo, ale nie mogłem się oprzeć. Bez wątplenia obydwie dzieła to wspaniała literatura, a jeśli mówię o samolubstwie, to dlatego, że przez lata miałem obsesję na punkcie Fausta i chętnie słuchałem tego, co młodzi ludzie mają do powiedzenia o dotkniętym tragiczną skazą doktorze i jego życiowych wyborach. Sprzedać duszę diabłu w zamian za władzę? Za pieniądze? Ze seks? Z reguły dzieciaki odpowiadały, że nawet by *nie pomyślały*, żeby się zaprzedać. Wtedy wcielałem się w rolę adwokata diabła i pytałem: „A gdybym wam obiecał, że dostaniecie Nagrodę Nobla, wymarzoną gwiazdę filmową albo wszystkie bogactwa Arabii Saudyjskiej, albo...”. Od tego momentu dyskusje klasowe nabierały rumieńców.

Myślę, że nie zdradzę wielkiej tajemnicy, jeśli powiem, że *Dziecko na niebie* jest do pewnego stopnia wariacją na temat historii Fausta. Za inteligentnymi, twórczymi i ambitnymi ludźmi pragnącymi za wszelką cenę dopiąć celu ciągnie się często swąd piekielnej siarki. Każdy artysta marzy w głębi serca, aby jego dzieła zyskały nieśmiertelność. Nie przyzna się do tego, bo to egoizm, ale taka jest prawda. No więc załóżmy, że bym ci powiedział, iż twój wiersz, obraz, zdjęcie etc. będą żyły na wieki, *pod warunkiem* że podpiszesz się własną krwią we wskazanym miejscu...

Jest taki stary dowcip: przed bezrobotnym aktorem, którego konto bankowe i perspektywy pracy zbliżają się do zera, zjawia się diabeł i mówi: „Uczynię cię przystojnym jak Gary Cooper, sławnym jak Clark Gable, bogatym jak Krezus oraz sprawię, że każda kobieta, którą spotkasz, padnie ci do stóp”. Aktor na to: „W porządku, ale gdzie tu jest haczyk?”. „W zamian – wyjaśnia diabeł – chcę tylko dostać dusze twojej matki, ojca, siostry, brata, ciotek, wujków i najlepszego przyjaciela”.

„W porządku – mówi aktor – ale gdzie tu jest haczyk?”

Wstęp do *Śpiąc w płomieniu*

Jako dzieciak nie lubiłem czytać. Książki po prostu mnie nie pociągały, mimo że wychowałem się w rodzinie czytelników. Kiedy miałem dwanaście lat, brat zaproponował, że da mi dolara, jeśli przeczytam *Myszy i ludzi* Steinbecka. Zgodziłem się wyłącznie dlatego, że chciałem pójść na golfa z Wendy Nelson i potrzebowałem pieniędzy. Gdy odpowiedziałem poprawnie na wszystkie pytania z jego testu, brat zapłacił mi i zapytał, czy książka mi się podobała. Bardzo – odparłem. Spytał, czy chciałbym przeczytać następną. Nie. Byłem jednym z tych, którzy późno się rozwijają; w wieku piętnastu lat nagle przewidziałem na oczy i zacząłem pożerać każdą książkę, która wpadła mu w ręce. Ta spóźniona pasja była zarówno moim błogosławieństwem, jak i przekleństwem.

W środku *Śpiąc w płomieniu* – i jak czekolada w lizaku Tootsie Roll – tkwi znana baśń. Często słyszę od czytelników: „Na pewno w dzieciństwie uwielbiałeś baśnie”. Odpowiadam nieśmiało, że w ogóle wtedy nie czytałem, a jedyne znane mi baśnie pochodziły z oglądanych non stop filmów telewizyjnych albo znienawidzonych lektur szkolnych. Z mojego doświadczenia wynika, że istnieją dwa rodzaje pisarzy: ci, którzy wiedzą, co się stanie, zanim przystąpią do pisania, i ci, którzy nie mają o niczym pojęcia. Ja jestem z tych „niemających pojęcia”. Tak więc w połowie powieści, gdy uświadomiłem sobie, w którą stronę ta historia podąża, zacząłem czytać każdą bajkę, jaką mogłem znaleźć. To była ogromna frajda, ale uzmysłowiłem też sobie, że pewne historie powinno się czytać w pewnym wieku. Jeśli odkryjesz je zbyt wcześnie albo zbyt późno, nie trafią w środek tarczy twojej wyobraźni – a przecież o to chodzi w sztuce. W związku z tym uważam, że ponowna lektura ukochanych niegdyś książek bywa niebezpieczna. Mając siedemnaście lat, przeczytałem *Spójrz ku domowi, aniele* Thomasa Wolfe’a. Książka ta wywarła na mnie piorunujące wrażenie i spowodowała, że zapragnąłem zostać pisarzem. Niestety parę lat temu wziąłem się do niej ponownie i nie zdołałem dokończyć. To tak, jakby próbować wzniecić z popiołów starą miłość.

Z przyjemnością odrobiłem zadanie domowe, czytając baśnie, jednak szkoda, że nie spotkałem się z nimi w dzieciństwie, kiedy moje serce i umysł były bardziej chłonne na zdumienie i możliwości. Mam tylko nadzieję, że przeczytawszy *Śpiąc w płomieniu*, dojdziecie do wniosku, że powieść trafia do was we właściwym czasie. Bardzo bym się z tego cieszył.

Mapa jej wszechświata

Znacznie później napisał do niej, pytając, czy mogliby się spotkać i porozmawiać. Chciał jej powiedzieć o kilku ważnych rzeczach, których wtedy nie wiedział o sobie, a które – jak z czasem się okazało – zaważyły na ich związku. Dodał, że nie wie, czy chce się spotkać, żeby ją przeprosić, żeby się wytłumaczyć czy aby wyjaśnić sytuację. Miał nadzieję, że będzie wspaniałomyślna i że powie „tak”, mimo tego, jak zakończył ich znajomość. Miał tylko jedną prośbę: żeby go wysłuchała.

Odpisała mu, co następuje: „Od tamtej pory tak bardzo oddaliłeś się od mojego serca, że aby odnaleźć drogę powrotną, potrzebowałbyś szczegółowej mapy wszechświata i paru ładnych lat świetlnych. Kiedyś byłeś dla mnie prawie wszystkim, ale nie miałeś najmniejszego pojęcia, jak czytać moją mapę.

Nie”.

Epitafium

Świat nie potrzebuje niczego od ciebie, ale ty powinienes dać coś światu. Po to żyjesz. Zabijając się, przyznałbyś rację większości, która mówi, że niczym się nie różnisz od miliarda czaszek pod ziemią. Daj światu *cokolwiek*, krótko- lub długotrwałego, a już odniosłeś zwycięstwo.

Tytuł oryginału: *The Crow's Dinner*

Copyright © 2017 by Jonathan Carroll.

All rights reserved.

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Projekt okładki i fotografia na okładce © 2017 by Ryder Carroll

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Krzysztof Kwiatkowski

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Kolacja dla wrony*, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-825-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

